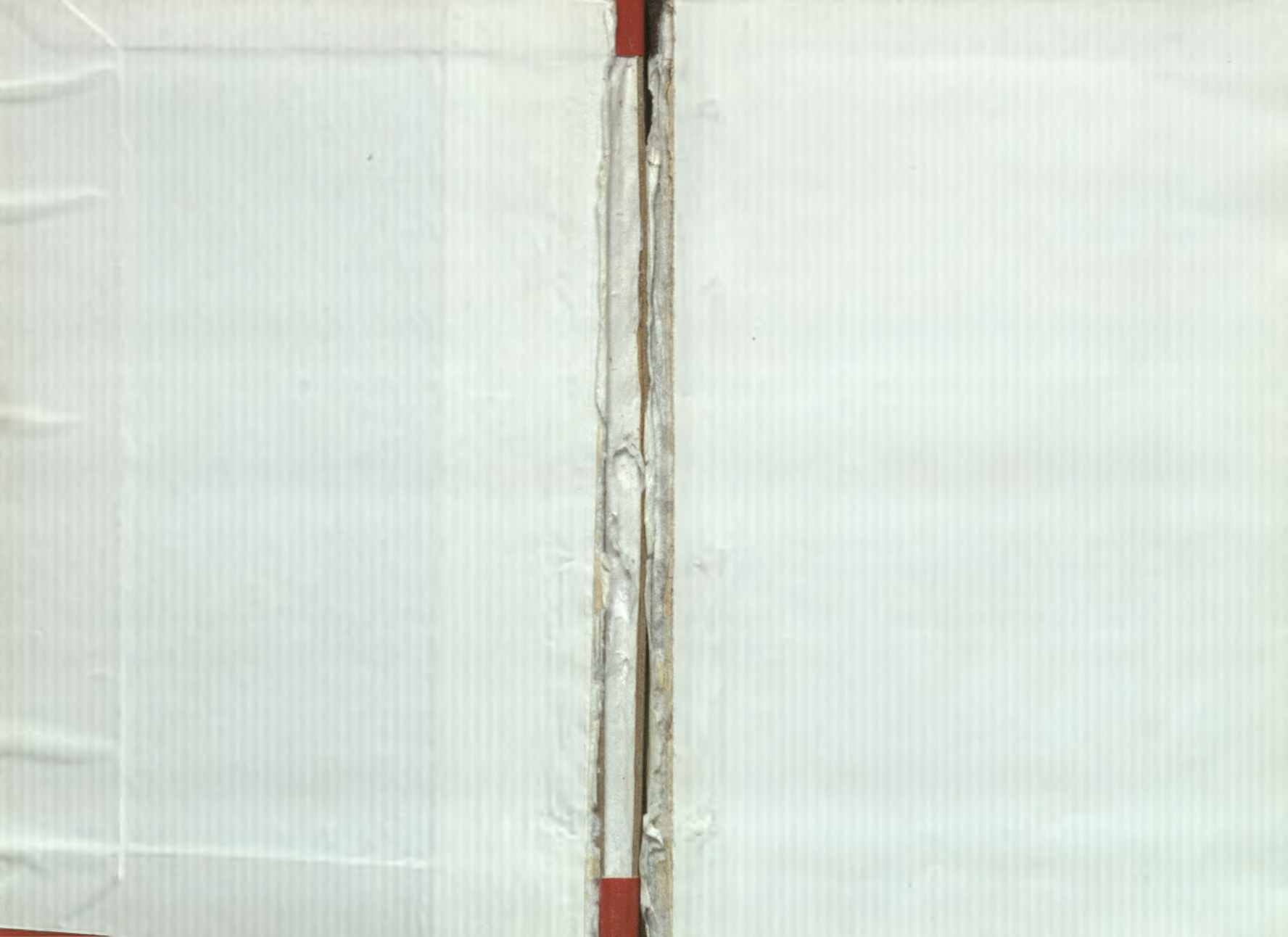
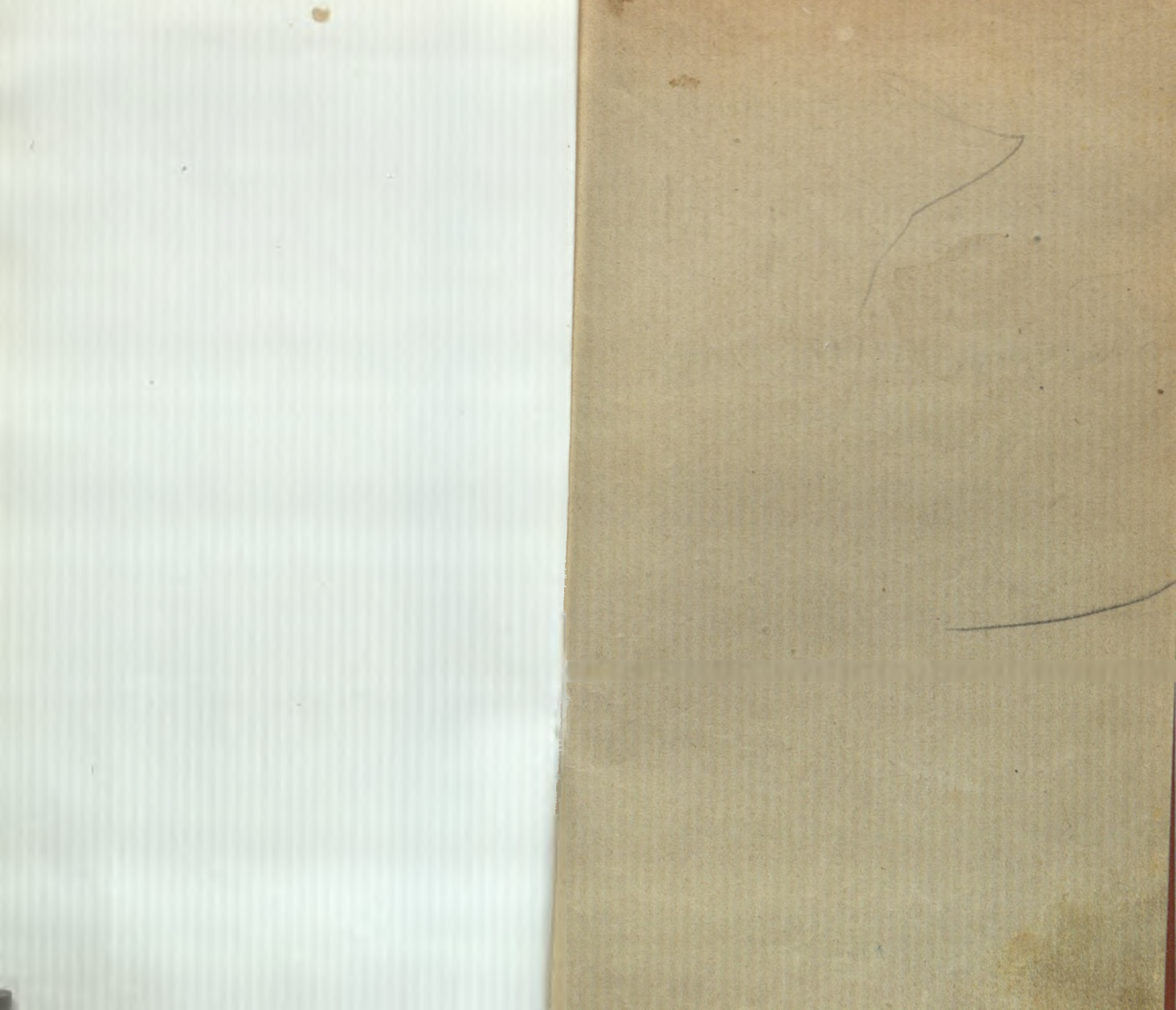






WYCIECZKI PO KRAJU.

Al. Janowski.

4034

WYCIEZKI

91(408)

PO

KRAJU

I.

KIELCE—
CHĘCINY—KARCZÓWKA—Ś. KRZYŻ—
BODZENTYN—WĄCHOCK—IŁŻA—
RADOM.

Z KSIĘGOZBIORU
STEFANA KEMPLA

WARSZAWA

NAKŁADEM AUTORA

Skład główny w Księgarni Jana Fiszera
Nowy Świat 9.

1900.

Druk K. Kowalewskiego.



Дозволено Цензурою
Варшава, 13 Апрѣля 1899 г.

10621
Cyt. MIEJSKA Reg.
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Radom
888
~~3853~~
~~8230~~
Reg.

PRZEDMOWA.



Czasy, kiedy uczono nas mówić pierwszej po francusku, niż w ojczystym języku, minęły bezpowrotnie. Przekonaliśmy się też, że berlińska, lub paryska marka fabryczna niekoniecznie gwarantuje za dobroć towaru, a wyrób krajowy równie dobry, lub nawet lepszy, zwykle taniej dostać można.

Ale nie zwalczyliśmy w sobie dotąd uprzedzenia, że w płaskim i jednostajnym kraju naszym nie spotkamy nic godnego widzenia, a po malownicze widoki nad „szmaragdowy Ren“, lub do stóp „królowej Adryjatyku“ wędrować potrzeba.

Tatry wywalczyły sobie prawo zaliczenia do miejsc malowniczych, ale na obszarze Królestwa jeden tylko Ojców cieszy się przychylną opinią ogółu.

A jednak miejsc niemięcej pięknych, a więcej pamiętnych znajdziemy znaczną ilość rozrzuconych w obrębie Królestwa, i trzeba tylko szczyptę dobrych chęci i wytrwałości, aby dotrzeć do nich.

Oddać jednak należy sprawiedliwość, że w ostatnich czasach coraz silniej objawia się u nas dążność do poznania kraju i dlatego, pragnąc ułatwić orjentowanie się w podróży, przystępuję do wydania szeregu wskazówek, jak najszybciej i najtaniej można odbywać „Wycieczki po kraju“.

Szczegółowy i wyczerpujący przewodnik po kraju jest u nas rzeczą niezbędną konieczności, nim jednakże ktoś zrobi nim usługę społeczeństwu, do pojedynczych i dorywczych potrzeb niniejsze wskazówki winny być pomocne.

Do pracy swej czerpałem materiały z obfitej skarbnicy naszych wydawnictw, a w pierwszym rzędzie służyły mi:

- 1) Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, monumentalna praca prof. B. Chlebowskiego.
- 2) Starożytna Polska M. Balińskiego i T. Lipińskiego.
- 3) Wielka encyklopedia Orgelbranda.
- 4) Opis Królestwa Polskiego Józefa M. Wislickiego.
- 5) Sprawozdania Komisji do badania Historji Sztuki w Polsce. Wyd. Akad. Umiej. w Krakowie.
- 6) Lud Osk. Kolberga, olbrzymie i niewyczerpane źródło ludoznawstwa.
- 7) Roczniki Ateneum, Biblioteki Warszawskiej. Wisły, Tygodnika Ilustrowanego i Kłósów, gdzie wiele zajmujących opisów Królestwa można znaleźć. Do tych więc niezmiernie wyczerpujących źródeł zwrócić

się należy, jeśli niniejsze opisy miejscowości są niekompletne.

Teraz zaś należy dodać parę ogólnych uwag o wycieczkach: co do ilości osób najlepiej dają się urządzać wycieczki po trzy lub cztery osoby, bo ilość taka na jedną furmankę najłatwiej się zabierze i nocleg najporęczniej zarządzi. Piesze wędrowki mogą być znacznie liczniejsze, ale wtedy z wielu wygod zrezygnować należy. Za to humor i swoboda obficie powetują brak wygod.

Żywność o ile możliwości z dużych miast brać ze sobą należy, bo ubogie nasze miasteczka i wsie nie mogą nic ofiarować wędrownikowi prócz mleka i jaj. Wina czerwonego trochę jest bardzo w drodze przydatne, bowiem tak do wody, jak i do herbaty dolewane, czyni je smaczniejszymi i zdrowszemi.

Ceny jazdy kolejną są wszędzie podane, ceny jazdy na statkach są zmienne, jak koryto królowej naszych rzek, ceny koni średnio liczy się rubla za milę po szosie, więcej trochę po drodze bocznej. Noclegi, obiady i t. p. wydatki są bardzo różne, ale w każdym razie nie wysokie.

Lud w ogólności życzliwy jest dla podróżnego i chętnie śpieszy z pomocą lub wskazówką. Chociaż więc drogi są trochę trzęsące, statki wolno płyną, a obiad nie codziennie na wycieczce jeść można, niechaj to nie odstrasza wędrowca, bo w odpoczynku i swobodzie na świeżem powietrzu, w zadowoleniu z malowniczych widoków, w przyjemności obejrzenia miejsc

pamiętnych i drogich nam otrzyma sową nagrodę, okupującą hojnie trochę drobnych niewygód podróży.

Śmiało więc z niniejszą książeczką w kieszeni niechaj wędrownik pospieszy do tych uroczych zakątków ziemi ojezystej, bo wycieczka taka da mu zdrowie ciała i duszy, niejedno cierpienie boską siłą przyrody ukoi, a stargane pracą i stołecznem życiem nerwy do łagodnego i ożywczego akordu z całą bogatą matką naturą dostroi.

Al. Janowski.

I.



rótką i taną wycieczkę można zrobić w ciągu 3—4 dni, aby zwiedzić najpiękniejsze strony naszego kraju, pełne pamiątek historycznych i nadzwyczaj malowniczych widoków, a mianowicie obejrzeć: Kielce, Chęciny, Karcówkę, Górę Ś-to Krzyską, Bodzentyn, Wąchock, Iłżę i Radom.

K I E L C E

MIASTO GUBERNIALNE. 22.000 MIESZKAŃCÓW.

Odległość: od Warszawy 168 wiorst, od Radomia 73 wiorst. Stacya dr. żel. Iwangr.-Dąbrowskiej.

Droga: z Warszawy na Koluszki i Bzin (Skarżysko) z dworca dr. żel. W.-Wied. trwa godz. 8, klasa III kosztuje rub. 2 kop. 40. Bilet powrotny ważny na dni 7, z dworca dr. żel. Nadw. przez Iwangród, kosztuje rub. 3 kop. 60.

Stacya od miasta odległa o 1 wiorstę, cena dorożki kop. 20—25.

Hotele: Polski, Europejski, Saski, oraz pokoje umebrowane przy ul. Małej. Przy hotelach są restauracje.

Cukiernie: Viewegera i Króla. W lecie restauracja i cukiernia w ogrodzie.

Ponieważ Kielce najdogodniej jest zwiedzać po południu, gdy biura rządu gubernialnego w dawnym pałacu biskupim są wolne, więc przed południem, zostawiwszy w hotelu rzeczy i zjadłszy śniadanie, należy pojechać do Chęcin, pozostawiając na poobiedzie Kielce, a pod wieczór Karczówkę. Konie do Chęcin kosztują: wygodna dorożka na resorach 2 ruble, wózek taniej, droga piesza i do roweru bardzo przyjemna i wygodna.

Często spotkać się można z twierdzeniem, że nazwa Kielce powstała od Celtów czy Kiełtów gallijskich, ale więcej będzie prawdopodobne wyprowadzenie tej nazwy od pierwiastku kiel, kielec, do czego w okolicy tutejszej górzystej i lesistej, a stąd pełnej zwierzyny, bardzo łatwo mógł znaleźć się powód. Już w odwiecznych czasach musiała tu być zamieszкана osada, skoro podania mówią, że św. Wojciech, idąc na Pomorze, zatrzymał się tu, kazał i nabożeństwo odprawiał. Na jego to cześć mieszkańcy kościołek modrzewiowy postawili, obierając mu za patrona męża wsławionego męczeństwem za wiarę.

Od wieków należały Kielce do biskupów krakowskich i tu w roku 1142 zmarł po długiej chorobie biskup Gandencyusz czyli Radost. Widocznem więc jest, że i dwór biskupi już tu był, skoro mogli oni tu-

taj przez dłuższy czas rezydować. Z zupełną jednak już pewnością ukazują się Kielce w historii, kiedy Gedko, czyli Gedeon h. Gryf, biskup krakowski, wznosi tu z ciosu świątynię pod wezwaniem N. M. P. w r. 1171 i wkrótce do godności kolegiaty ją podnosi.

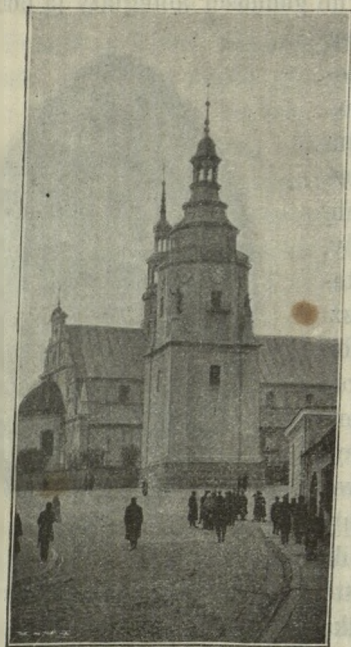
Wojny domowe Bolesława Wstydlivego ze stryjem Konradem Mazowieckim sprowadziły na Kielce spustoszenie, a nim się z niego podźwignęły, już w roku 1240 tatarzy zniszczyli je doszczętnie. Uroczę położenie na górze wśród lasów nad brzegiem sporej rzeczki Silnicy, której kryształowe wody żywo płynęły, stanowiło zawsze dla ludzi zachętę do sta-



Pieczczę kolegiaty kieleckiej tego tu zamieszkania. To też po napadach wrogów, lub pożarach szybko wznosiło się miasto z popiołów.

Odbudowano więc spalony przez tatarów dwór biskupi i miasto z gruzów podnosić się zaczęło. Na prośby biskupa Bodzanty Kazimierz Wielki uwolnił mieszkańców od podatków i ciężarów. To też Kielczanie otaczali czcią swego ukochanego protektora,

a gdy ten na starość oślepił i w Kieleckiem dworzyszczu osiadł, to mieszkańcy przychodzili z dziatkami, aby kraj szaty świętobliwego starca ucałować. Tutaj też i zmarł ów dzielny szermierz kościoła (patrz Bodzentyn) 12-o grudnia 1366 roku.



DZWONNICA KATEDRY KIELECKIEJ.

py XVI wieku, przebudowuje wspaniałe dwór biskupi, przy kolegiacie w roku 1527 stawia okazałą dzwonnice i ogromny dzwon, swem imieniem ochrzczony, zawiesza. Gamrat, nieodłączny przyjaciel

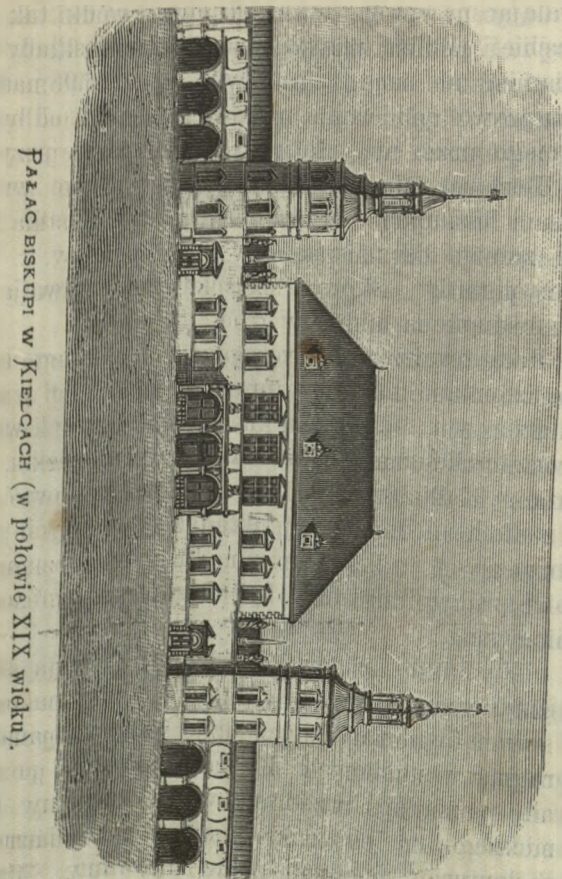
Następcy jego goszczą w ulubionym grodzie bardzo często, to stając tu w przejeździe do sąsiedniego Bodzentyna, to mieszkając stale. Piotr Tomicki, jeden z najznakomitszych dyplomatów Euro-

swej protektorki Bony, zawsze tu mieszka, gdy królowa sąsiednie Chęciny zajmuje. Myszkowski sute przywileje w r. 1579 zlewa na mieszkańców, im tylko pozwalając na wyrób i wyszynk piwa i wódki tak, że w obrębie i pobliżu miasta nawet biskupie składy takie istnieć nie mogą. Radziwiłł w r. 1598 nadaje miastu prawo pobierania brukowego i opłat od bydła pędzonego przez nie. Potwierdza wszystkie przywileje Bernard Maciejowski, dodając prawo wrębu w lasach biskupich. Andrzej Stanisław Kostka Załuski założył dla mieszkańców kasę pomocy, t. zw. „Mons pietatis“. Słowem szeroką rzeką zlewają się łaski biskupie na ulubiony gród.

Jako towarzysze i protegowani biskupiego dworu są członkami kolegiaty tutejszej znakomici w nauce ludzie: w r. 1456 był tu kustoszem rektor i wielki dobrodziej akademii krakowskiej Jan Dąbrówka, komentator Kadłubka. Tu Marcin Kromer, powróciwszy z akademii Bonońskiej, układał plany swych prac historycznych, tu ks. Hieronim Juszyński, znany ze swoich prac w literaturze, był oficjałem i profesorem seminaryum.

Gdy infułę krakowską wdział na swoją skroń potężny i rozumny korabita Jakób Zadzik, znakomity ze swych dyplomatycznych dzieł kanclerz państwa, zapragnął w ulubionych Kielcach zostawić po sobie trwałą pamiątkę: rozebrano więc drewniany dwór Tomickiego i na jego miejscu stanął pełen harmonijnych konturów renesansu pałac murowany. Miał to być gmach okazały, pełen dzieł sztuki, jednak sam

fundator nie zdążył dokończyć rozpoczętego dzieła i dopiero jego następca, Trzebicki, ukończył je całkowicie.



PAŁAC BISKUPI W KIELCACH (w połowie XIX wieku).

Pierwsza wojna szwedzka wstrząsnęła dobrobytem miasta, zwłaszcza zaś rozbudzone przez biskupa Tylickiego górnictwo, eksploatujące okoliczne kopalnie rudy miedzianej i ołowianej pod kierunkiem umyślnie sprowadzonych z Włoch górników, upadło zupełnie.

Podczas drugiej wojny szwedzkiej Karol XII zajął bez oporu miasto i zamieszkał w pałacu biskupim. W początku lipca 1702 r. stanął tu przed nim poseł cesarski Zinzendorf, pośredniczący do zgody z Augustem II.

20 lutego 1746 r. zmarł w pałacu tutejszym Jan Lipski, ostatni przed rozbiorem kardynał polski, a 30 lipca 1788 r. zmarł tu biskup Kajetan Sołtyk. Następnego roku pałac i dobra zabrano na rzecz skarbu koronnego.

Troskliwa opieka biskupów pozostawiła po sobie jako pamiątkę dwa nader ciekawe pomniki t. j. katedrę i pałac.

Katedra stoi na najwyższym punkcie miasta, skąd panuje nad niem i nadzwyczaj okazała się przedstawia. Założona w XII wieku, przechodziła jednak wiele przeróbek i poprawek, które zupełnie ją przekształciły. Zbyt szczupła do potrzeb miejscowych kilkakrotnie była powiększana: w XVI wieku Konarski i Myszkowski, w XVII wieku Jan Albert Waza, kardynał, następnie Felicjan Szaniawski powiększając jej mury, zdobią gmach wewnątrz i zewnątrz, ale te przeróbki zacierają, niestety, cechy starego romańskiego gmachu. Wewnątrz świątynię zdobią obrazy

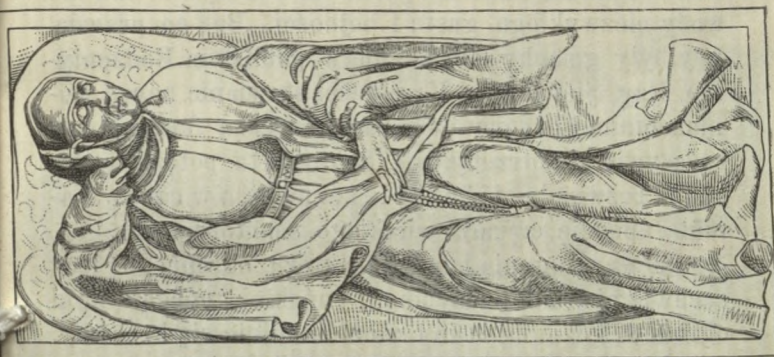
Czechowicza i rzeźby artysty krakowskiego z początku zeszłego wieku Frąckiewicza. Z nagrobków najstarszy jest Elżbiety z Krzyckich Zebrzydowskiej, matki Andrzeja biskupa, który jej ten pomnik posta-



KATEDRA W KIELCACH.

wił w roku 1553. Przedstawia on leżącą postać kobiety wykutą z checińskiego marmuru, a ostre rysy tej siostrzenicy, siostry i matki biskupiej tchną niejaką surowością, która u syna w głośnie na kraj cały

zapalczywość się przerodziła. Elżbieta była siostrzenicą Tomickiego, biskupa krakowskiego, a siostrą Krzyckiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Pamięć zacnego biskupa Felicjana Szaniawskiego uczczono pomnikiem, choć ciało jego spoczywa w Krakowie. Wdzięczne Kielce postawiły tę pamiątkę za dbałość o rozwój miasta i założenie seminaryum oraz szkoły,



NAGROBEK ELŻBIETY ZEBRZYDOWSKIEJ.

do której sprowadził z Węgier ks. Komunistów, zwanych Bartoszkami. Tu spoczywają zwłoki Andrzeja Stanisława Załuskiego, który tak lubił Kielce, że wolał spocząć tu, niż w przynależnem mu miejscu, w katedrze na Wawelu. Oba te pomniki zdobne są malowanymi na blasze portretami biskupów.

Więcej pamiątek katedra nie zawiera. Obecnie cały gmach starannie odnowiono, a wewnątrz zdo-

bią malowidła artysty malarza Nizińskiego z Krakowa.

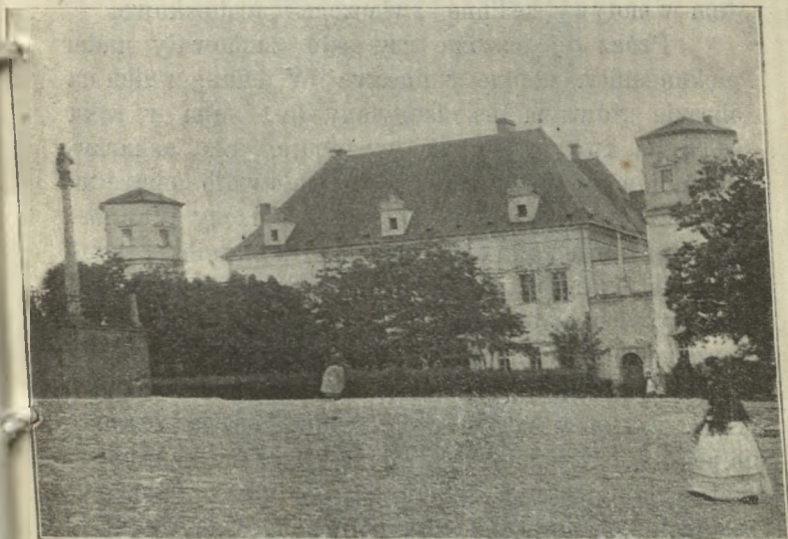
O wspaniałości i potędze biskupów krakowskich, książąt na Siewierzu, prawi nam cuda Zadzikowy gmach, były pałac biskupi, gdzie dziś mieści się rząd gubernialny. Gmach ten, godzien stanąć w najpierwszej stolicy Europy, zbudował, jak wspomniano wyżej, Jakób Zadzik, kanclerz państwa, a złożył w nim dowody niezwykłego gustu i hojności. Boć co prawda, gdy były gmachy mieszkalne w pobliskim Bodzentynie, Iłży, Siewierzu i Krakowie, stawianie nowej monumentalnej budowy było raczej rzeczą fantazji, niż rzeczywistej potrzeby. A fantazja ta potężnego biskupa rozwinęła się bujnie i skamieniała w całą wspaniałą epopeję czynów wielkiego senatora.

Pałac ten nie miał charakteru obronnego, lecz cechy letniej miłej rezydencji pańskiej, tonącej wśród ogrodów, gdzie figarnie i winnice bujnie się krzewiły.

Przepych w budowie był niesłychany; opis tego zamku z roku 1645 prawi między innemi o „stołowej izbie z trojgiem drzwi marmurowych z oknami wielkimi i piecem znacznie malowanym“, o „sklepie zameczystym, alias piwnicy do win niemałej, 14 łokci wszędy i w dłuż mającym“, o „posadzkach marmurowych i złocistych wierzechach“, o „herbach i inszych opus ś. p. IMci ks. Zadzika wystawionych“.

Pałac ten jest tej prawie szerokości co i długości, stąd dach jeden pokrywać go nie mógł, ale musiano dać ich dwa, złączone rynną, zwaną zwykle hultajem. Front od strony katedry zdobi włoska mar-

murowa loggia o trzech arkadach, nader lekko i ozdobnie pomyślana. Stąd prowadziły schody na piętro, gdzie nad ową podjazdową loggią świeciły trzy wielkie okna sali jadalnej. Gmach cały posiadał 16 sal



GMACH RZĄDU GUBERNIALNEGO (b. pałac biskupi).

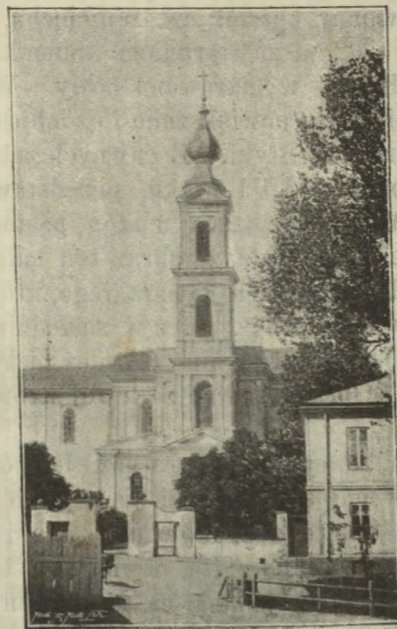
dużych, a 8 mniejszych. Były tu gościnne sale dla senatorów, biskupów i prałatów, jedną zaś stronę nazywano pokojami królewskimi

Z owych 16 wielkich sal jedna dochowała się doskonale, a jest nią sala portretowa biskupów, gdzie od najpierwszego Prohorusa, aż do Karola Skórkow-

skiego († 1851) przedstawieni są ci dostojnicy na obrazach. Obrazy te jednakże nie mają wartości portretowej, dopiero poczynając od Zadzika stanowią one wierne podobizny biskupów. Sufit sali zdobią belkowania pokryte malowidłem niesłychanie bogatym w motywy roślinne, zwierzęce i arabeskowe.

Prócz tej jeszcze trzy sale zachowały nader piękne sufit, zdobne w obrazy. W jednej z nich na obrazie głównym przedstawiony jest sejm w roku 1638, na którym Zadzik występuje, jako oskarżyciel arjanów; nieoszacowane to malowidło portretuje ludzi ówczesnych, ich stroje i gmachy Warszawy, którą przez okna sali widać. Po rogach są wyobrażenia czterech pór roku. W drugim pokoju są przedstawione w obrazach dzieła dyplomatyczne kanclerza: więc przyjęcie posłów Ferdynanda II po zawarciu traktatu w Sztumdorfie, umowa pod Smoleńskiem, traktat w Altmarn, oblężenie Torunia, zawarcie pokoju w Sztumdorfie. Między osobami działającymi widać portrety kanclerza Zadzika, Jerzego Ossolińskiego, hetmana Stanisława Koniecpolskiego i wielu innych znakomitych senatorów. W trzeciej sali większy obraz przedstawia bitwę w roku 1611, w której zginął brat kanclerza Maciej Zadzik, i pożar Troickiej części Moskwy, po rogach zaś przedstawione są cztery żywioły. Prócz obrazów zdobią wzmiankowane sufit nadzwyczaj piękne roboty snycerskie, zdobne w złocenia i polichromje, czem przypominają najświetniejsze roboty tego rodzaju z czasów pełnego włoskiego renesansu. Na spotkaniu belek znajdują

się wisiory suto złożone, rodzaj wydłużonych rozet, a całość tak jest bogata i ozdobna, że słusznie szanowny prof. W. Łuszczkiewicz mówi, iż same te su-



Kościół św. Wojciecha w Kielcach.

fity godne są oddzielnej monografii. Pałac zdobny był w wysokie wieże i kamienne posągi, a krużgankami łączył się z kolegiatą, „na tych wieżach pobić blachowe otwierane pobielane. Gałki alias banie

miedziane, na nich wietrzniki z herbami ś. p. IMci księdza Zadzika" — mówi wspomniany opis z 1645 roku.

Stojący na przedmieściu Borzęckiem wspomniany już drewniany kościół św. Wojciecha, rozebrany został w r. 1762, a za staraniem kanonika krakowskiego ks. Rogali wymurowano nowy. W ostatnich latach kościół ten powiększono i ozdobiono kilkoma pięknymi obrazami Styki. Z dawnych zabytków pozostał tu obraz z XVI wieku, przedstawiający zaślubienie N. M. P. Klęcząca u stóp postać biskupa z h. Habdank wskazuje, że obraz ten malowany był z polecenia biskupa Jana Konarskiego, który lubował się widać w malarstwie, gdyż w sąsiednim Bodzentynie (obacz) pozostał po nim również piękny i ciekawy tryptyk. Obraz ten wisi po lewej stronie w prebyterium.

Na środku rynku stał ratusz, lecz dziś jest on rozebrany, a magistrat mieści się w jednej z kamienic. Miasto dobrze zabrukowane, ulice ma niezbyt szerokie, a choć słabo naftą oświetlone, bez kanalizacyi i wodociągów, jednak na przybyszu robi nadzwyczaj miłe wrażenie schludnością swych murowanych parterowych domków. Ludowa piosenka jednak ostrzega:

Kielce, Kielce, moje Kielce!
Kielce murowane.
Oj! nie jeden tam zapłaczę,
Kto się tam dostanie.

Muszą jednak Kielczanie być dobrym materiałem na mężów, skoro w innej piosence mówi jakaś dziewczyna z dumą:

W Krakowie się urodziła,
W Żarkach urodziła, sta
W Warszawie się wychowała
Do Kielc za mąż poszła.

Jako rezydencya władz rządowych i biskupia, Kielce dla gęsto zaludnionej okolicy stanowią centrum życia naukowego i towarzyskiego. Miasto posiada gimnazjum męskie i żeńskie, seminarium, prócz tego kilka szkół prywatnych, wydaje organ własny „Gazetę Kielecką“, która liczy 27 lat istnienia i ma 700 prenumeratorów. Życie towarzyskie ześrodkowywa się trochę w resursie, klubie cyklistów i kółku śpiewaczem. Bale i zabawy publiczne odbywają się bądź w teatrze przy hotelu Polskim, bądź w sali resursy. Lato w Kielcach prawdziwie przyjemnie spędzić można. Żadne z miast Królestwa nie ma tak pięknych i malowniczych okolic. Wycieczki na Karczówkę, do Słowika, Chęcin, Morawicy, Białogona uprzyjemniają pobyt, a nawet, nie wydalając się z miasta, można zażyć miłego spaceru w pięknym ogrodzie miejskim. Sąsiednia góra, Kadzielnia zwana, zdobi miasto swą malowniczością, trapią jednak mieszkańców dymy z pieców wapiennych ustawionych pod nią. Posiadają Kielce Dyрекcyę szczegółową Tow. Kred. Ziemskiego, Kasę Przemysłowców. Z fabryk cieka-

wą jest fabryka marmurów, huta szklana, fabryka przetworów chemicznych, cementownia, duży browar. Wszystko to jednak są małe zakłady w porównaniu z olbrzymimi fabrykami żelaznymi w okolicy, jak np. słynne zakłady Starachowickie, które, będąc już w pobliżu Wąchocka, warto obejrzeć.

Lud w okolicach Kielc ma cechy poczciwego i wesołego krakowiaka. Jest nader uprzejmy i gościny; w chacie swej chętnie podróżnego przyjmie, nie chcąc nigdy wziąć za to zapłaty. Ale поближе gór Świętokrzyskich, ze swych puszczy i dzikości sławnych, w umysłach ludu zostawiło dużo przesądów i zabobonów. Latawice, planetniki, boginki i inne dziwy bujnej fantazji ludowej, są przedmiotem głębokiego wierzenia. Wierzą też w osoby Niedoli i Biedy, o których lud śpiewa:

Śpi Bieda, śpi Bieda,
Niedola ją budzi:
Stawaj że, Biedusiu,
Pójdziewa do ludzi.
Pójdziewa do ludzi
Ucyć ich rozumu,
Jak ich naucywa,
Wróciwa do dumu.

Po zwiedzeniu Kielc należy udać się na ciekawą i malowniczą Karczówkę, wieczorem zaś wcześniej położyć się spać, aby do dnia wyruszyć na Górę Ś-to Krzyską, gdzie 4 mile drogi częścią szosy, częścią

zaś bocznej kamienistej czeka podróżnego. Konie zamówić trzeba wieczorem, płaci się je około 3 do 4 rubli.

X. Wł. Siarkowski. Groby kościoła N. M. P. w Kielcach. Warszawa. 1872.

F. M. Sobieszczański. Wycieczka archeologiczna po gub. Radomskiej. „Bibl. Warszawska“. 1852.

„Kłosy“, tom XIII, str. 11 i 25.

KARCZÓWKA.



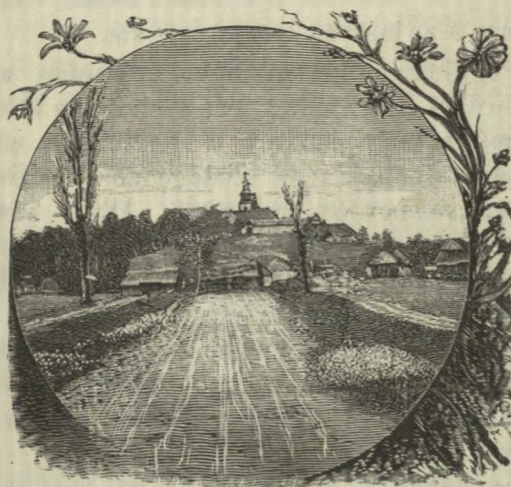
Straszna zaraza morowa grasowała w XVII wieku. Tysiące ludzi dziennie wymierało po ludnych i bogatych miastach, inni, przerażeniem zdjęci, uchodzili, chroniąc się po górach i puszczach niedostępnych. Nie stało sług Bożych, by nieść konającym ostatnią pociechę, nie stało rąk, by chować trupy i te po ulicach się walały, zwracając ku niebu wykrzywione boleścią twarze.

Na tronie biskupim krakowskim zasiadał uczony i pobożny Marcin Szyszkowski. Z pomiędzy licznych zamków i pałaców najmiłszym księciu biskupowi był pałac kielecki, gdzie chętnie przebywał, ciesząc się z rozwoju ulubionego miasta.

Wtem widmo zarazy morowej poczęło zbliżać się i ku tej, wśród gór położonej, rezydencji. Nakazał biskup modły i nabożeństwa, sam w pontyfikalnych szatach obchodził procesjonalnie ulice miasta, by krzepić ducha mieszkańców, a nieraz po całych

nocach leżał krzyżem przed ołtarzem, błagając Pana, by uchronił ukochane Kielce od straszliwej klęski.

Wśród gorących tych modłów, biskup uczynił pewnej nocy ślub, że, jeżeli zaraza ominie Kielce, to jako dziękczynienie za tę łaskę na sąsiedniej górze, zwanej Karczówką, wystawi kościół.



Wysłuchał Pan kornych modłów sługi swego, zaraza oszczędziła Kielce, a biskup, wypełniając swój ślub, w r. 1624 wystawił na górze kościółek. Do nowej tej świątyni w dniu 4 listopada 1628 r. sprowadził tu fundator z kolegiaty relikwije św. Karola Boromeusza, patrona od zarazy morowej.

Ale mały ten kościółek wydał się Szyszkowskiemu niedość odpowiednim i z tego powodu zmienił pierwotne zamiary: kościół znacznie powiększył, postawił zabudowania klasztorne, które zamierzał oddać OO. Bernardynom, gdy w tem niespodziewany, a silny spotkał opór ze strony Paulinów Częstochowskich. Ojcowie ci wywodzili z buli papieskiej, że zabronione jest budować tak blisko Jasnej Góry inne klasztory, a zwłaszcza Bernardyńskie.

Po długich pertraktacjach Paulini ustąpili, a Bernardyni zajęli nową swą siedzibę, z której malowniczością mało punktów w Królestwie może się porównać. Jedną ważną niedogodność trapiła nowy klasztor, a mianowicie brak wody. Długo biedził się fundator, czy rurami ją skąd prowadzić, do czego trudno było znaleźć uzdolnionych robotników, czy też kuć w skale na oślepie studnię, co olbrzymich wymagało nakładów, a małą dawało nadzieję powodzenia. Na początek dowożono wodę beczkami ze wsi Czarnewa, a sposób ten do dziś się utrzymał, bo studni dotąd nie wykopano.

Prawdziwą osobliwością kościoła tego jest posąg św. Barbary w prawym ołtarzu, z jednolitej bryły rodzimego ołowiu wyrobiony. Posąg ten, wysoki 2 łokcie i 9 cali, nie ma wartości artystycznej, ale jest prawdziwą osobliwością mineralogiczną.

Bryłę tę, oraz dwie jeszcze podobne wykopał w górze Machnowskiej, 7 grudnia 1646 roku, górnik z Niewachłowa, Hilary Mała.

Dość ciekawą jest legenda górnicza o tem odkryciu. Mała w pierwsze święto Wielkiej-Nocy poszedł na górę Machnowską, aby obmyśleć, gdzieby otworzyć nowy szyb. Nagle ujrzał kręcące się tumany piasku, a następnie widział wyraźnie, jak trzy osoby w ziemię się zapadły, jednocześnie zaś usłyszał głos: „Kop w tych miejscach, gdzie się osoby zapadły, aż się dokopiesz trzech brył kruszcu. Na każdej będzie litera na znak, jakiego świętego statua ma być z niej wykuta“.

Mała zabrał się do roboty. Całe mienie swe wydał na tę pracę. Kilka miesięcy już przeszło, a zapowiedzianych brył nie znalazł. Sprzedał chatę swą, z dobytku tylko jedna kura mu pozostała, ale i tę nareszcie sprzedać musiał, a sam już z żoną tylko kopał niezmordowanie.

Nareszcie silna wiara jego została nagrodzoną. Mała odnalazł zapowiedziane bryły, z których wyrobiono posągi Najśw. M. P., św. Antoniego i św. Barbary. Pierwsza statua oddaną była do Kielc, druga do Borkowic, trzecia na Karczówkę.

Legenda każda to poetyczna bogata tkanina, pod którą kryje się zawsze maleńkie gorczyczne ziarno prawdy. Mała wiarą musiał uzupełniać sobie ten fakt znany wybornie górnikom tutejszym, że im głębiej kopać w tych górach szyby, tem większe i czystsze napotykały bryły galeny, czyli rudy ołowianej: słusznie też zupełnie pisze „Gazeta Kielecka“ z r. 1874: „Kto wie, czy pod tą poetyczną formą podania ludu o dziełach Mali nie kryje się nauka dla

przyszłych pokoleń; kto wie, czy określenie wysiłków pracy, podjętej dla odszukania skarbu przez jedną niedołęzną jednostkę z takim świetnym rezultatem,



SCHODY DO KLASZTORU NA KARCZÓWCE.

nie jest wskazówką dla nas, potężnego ogółu, do szukania ukrytych bogactw w łonie naszej ziemi“.

Złotemi głoskami winny te słowa być wryte na każdym kroku w tej krainie, tyle bogactw mineralnych kryjącej.

Cichy i miły żywot płynął ojcom w tej klasztornej ustroni. Niezwykła malowniczość położenia, sine lasy, otaczające klasztor, cudny widok na leżące u stóp Kielce i odległe Chęciny, musiały skłaniać ojców do kontemplacji, a że Bernardyn rad czasem choć kulawego dośiadał pegaza, więc i tu owoce swej poetyckiej pracy pozostawił.

Gwardyan tutejszy, Andrzej Kuźniarski, miał niesłychany zapał do poezji, która rzeczywiście mogła straszną zawiścią napoić częstochowskich pisarzów. Pegaz zacnego gwardyana pędzi tak, jakgdyby po stromej drodze ciągnął na górę klasztorną owe beczki z wodą z Czarnowa.

Wszystkie ważniejsze zdarzenia opisane były wierszem przez ojca gwardyana i porozwieszane po korytarzach klasztornych. Niestety jednak, nielitościwa wilgoć łakomym zębem zgryzła, ku wielkiej stracie literatury bernardyńskiej, owe mozolne dzieła ojca Andrzeja, pozostał nam jedynie opis znalezienia przez Małą owych brył ołowianych, a brzmi on, jak następuje:

„Roku tysiąc sześćset czterdziestego szóstego
W wigilią Matki Boskiej—grudnia dnia siódmego
Trzy były grana wielkie wykopane
W górze Machnowskiej, ale tak nazwane:
Najświętsza Matka, Antoni, Barbara,
Tu dla Karczówki wspaniała ofiara,
A to za biskupstwa Piotra Gębickiego
Krakowskiej katedry księcia Siewierskiego;

Starosta Czechowski kazał ich obrobić,
 By temi statunami kościoły ozdobić.
 W Kielcach katedrze Marya została,
 W Borkowicach Antoni, — to pismo zeznaje.
 Hilary Mała, ze wsi Niewachłowa,
 On to wynalazł — masz wieść co do słowa.
 Ksiądz Andrzej Kuźniarski, gwardyan tutejszy,
 Z archiwum ułożył te szesnaście wierszy“.

Zapewne był też tu opisany pobyt niezwykłego gościa, jakim był Stanisław August, który, wracając z Krakowa, zwiedzał Karczówkę w dniu 13 lipca 1787 roku. Mowami witano drogiego gościa, głosy dzwonów radośnie rozbrzmiewały ze szczytu góry, król wysłuchał mszy świętej, potem napawał się długo cudnym widokiem okolicy i w dalszą ruszył drogę.

Idźmy w jego ślady i wracajmy do Kielc, rzućmy raz jeszcze okiem na posąg św. Barbary, na wspaniałe marmurowe świeczniki kościelne, na portret fundatora w korytarzu i na pięknie rzeźbione kamienne schody, wiodące do kościoła.



CHEŃCINY.

Powiat i gub. Kielecka, 7,000 mieszkańców, odległość do Kielc 14 wiorst, od Warszawy 168 wiorst.

Słyszałem opowiadanie, że pewien lord angielski, wyczytawszy gdzieś o istniejącem mieście marmurowem, ruszył corychlej w podróż, aby to cudo obejrzeć. Marmur! toć to materiał tak piękny i bogaty! Kto zna pałace Weneckie, lub katedry Włoch, ma doskonałe pojęcie, jak pięknie zdoł on gmachy. Słodko też marzył szanowny lord, że ujrzy zaczarowany gród pałaców i posągów, rzeźbionych kolumn i omszałych cystern.

Jakież jednak było zdumienie syna mglistego Albionu, gdy z trzęsącego wózka wysiadł na rynku Cheńcin, gdzie oświadczone mu, iż tu jest kres jego podróży, całe bowiem to miasteczko z marmuru jest stawiane.

Rozczarowany lord z pogardą rzucił okiem po biednych odrapanych domach miasteczka, po świdrujących go ciekawemi oczyma brudnych żydach i, nie

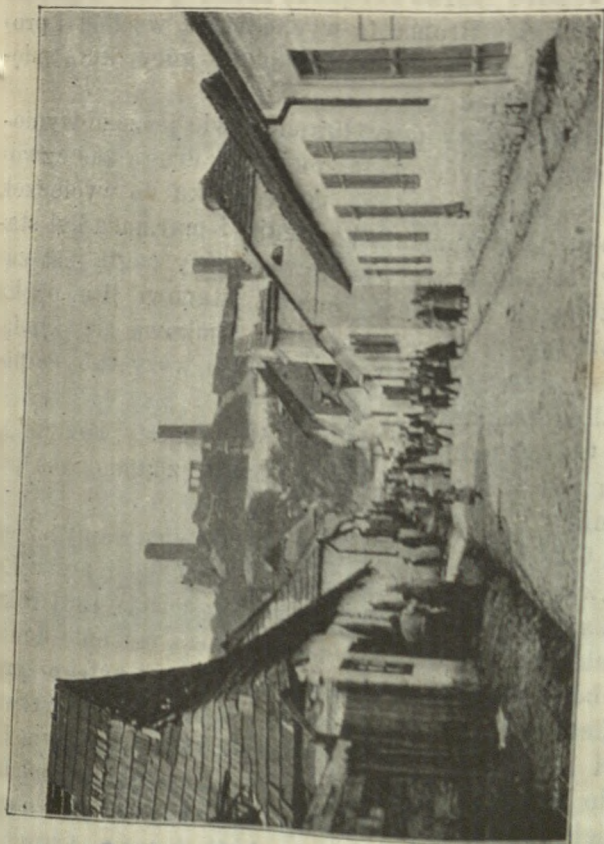
odpowiedziawszy nawet na pytanie uprzejmego faktora: „czy jasnie pan Mendla potrzebuje?“, kazał zawrócić do Kielc, skąd corychlej do Londynu pośpieszył.

Syn dumnego Albionu nie mógł zrobić inaczej, bo prócz brudów miasteczka nie więcej nie widział i nie czuł, ale każdy z nas coś więcej zobaczyć tam może, bo to miasto kryje w sobie droższe dla nas od marmurów skarby wspomnień.

Wśród licznych grzbietów gór Kielecko-Sandomierskich góry Chęcińskie należą do wyższych, dosięgają bowiem 1200 stóp, sama zaś góra zamkowa w Chęcinach stanowi trochę odosobniony podłużny szczyt, bodący niebo kilku basztami, które już z góry Michałowskiej, o 12 mil odległej, widzieć się dają. Góra ta dość stromemi stoki spada ku dolinie, gdzie rozłożyło się miasteczko, a przystęp do niej wcale do łatwych nie należy. Jednak trud wdrapania się na sam szczyt sownie okupuje cudowny zeń widok: kilka mil kwadratowych, jak otwarta karta księgi, rozłożone jest przed okiem zdumionego widza, gęsto rozsiane wioski bieleją ścianami swych chat, w drobne pokrajane zagony zielenią się pola uprawne, a płowe wstęgi dróg stanowią ramy tych obrazów. Ku północy wyraźnie odrzyna się na niebie szczyt Karczówki, u spodu we mgłę spowite spoczywają Kielce, ku południowi wije się wstęgą Nida, a zamyka cały obraz siniejąca w dali smuga Karpat.

Zamek tutejszy słynął jako niezdobyta warownia i tu w czasie niepokojów krajowych przechowywano

klejnoty koronne Tu też Łokietek, udając się na Krzyżaków, złożył wszystkie skarby archikatedry gnieźnieńskiej, aby w ręce łupieżcy nie wpadły.



WIDOK CHĘCIN.

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu

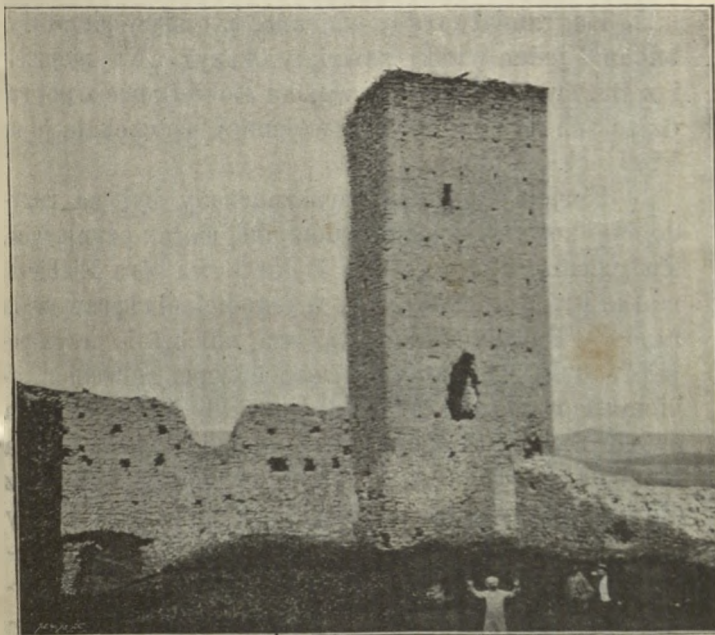
Plan zamczyska musiał być zastosowany do kształtu szczytu góry, a więc wyciągnął się w długi, wąski, nieprawidłowy wielobok, kończący się z jednej strony basztą okrągłą i bramą wjazdową, przy której dotąd widzieć można sklezione nisze, gdzie zapewne stały posągi. Brama ta wychodzi na wschód i prowadzi do niej wąska droga naokoło góry, kuta między złomami skał.

Prócz baszty przy bramie dwie jeszcze wyniosłe zostały wieżycy: jedna okrągła, druga zaś czworokątna, przy której jest mała furtka do wycieczek z zamku. Cały zamek z kamienia i marmuru był stawiany, baszta tylko wjazdowa u góry cegłą jest zakończona. Fundament gmachu stanowi lita opoka marmurowa, z której cała góra zamkowa się składa. Te trzy baszty i trochę murów oto wszystko, co pozostało z zamku.

Gdyby jednak mury te mówić umiały, ileż ciekawych rzeczy powiedzieć by mogły zdumionemu podróżnikowi.

Czyż nie opowiedziałyby one o owym walnym zjeździe, zwołanym (według Lelewela) do Chęcin przez Łokietka na dzień św. Trójcy (14 czerwca) 1331 roku. A fakt to dla historii naszej nieskończenie doniosły, bo sankcją narodu uwieńczył pracę całego życia Łokietka. To dziwnego hartu i niesłychanej wytrwałości księżę kujawskie, pomimo tylu przeciwności, skuto w jedno potężne państwo rozdrobioną między udzielnych książąt Polskę. Skroń swą uwieńczył energiczny i wytrwały ten król koroną Chrobrego.

go, ale brakło mu jeszcze potwierdzenia tych prac przez cały ogół narodowy. I oto ciągną wspaniałe poczty wielmożów, panów rad Mało i Wielkopolski, ciągną stany koronne na zjazd. Jakże żałować



BASZTA CZWOROKĄTNA W CHĘCINACH.

należy, że nie wszystkie uchwały jego do nas doszły, lecz i to, co pozostało, zdumiewa doniosłością zatwierdzonych praw. Zgodzono się powszechnie: że gdy pod jednym panem jeden cały zostaje naród, tedy

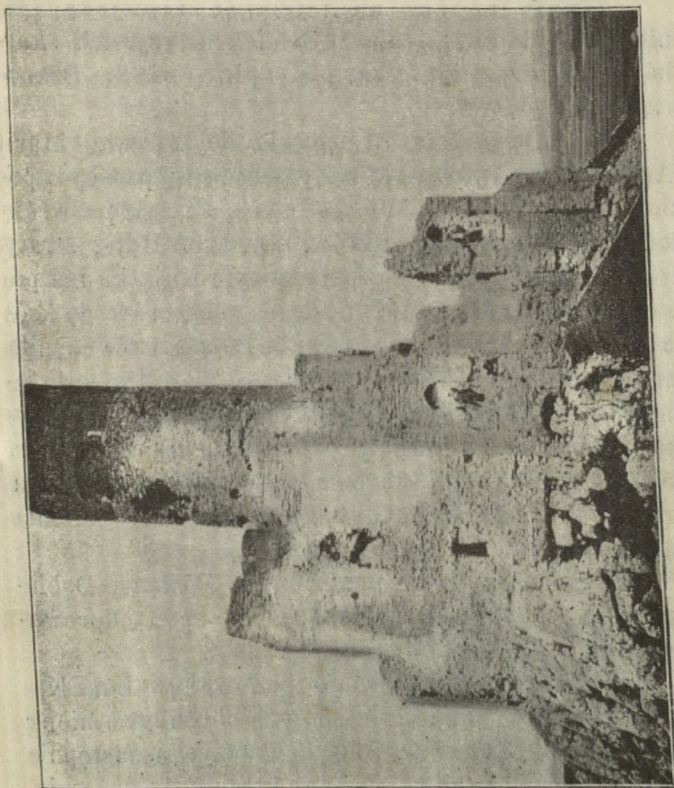
jednakiemi prawami wszyscy rządzić się mają, jedno ma być sądownictwo i jedna moneta dla całego narodu. Jeszcze nie przebrzmiały wzniosłe dźwięki „Te Deum“ po zapadłych uchwałach, gdy w czyn przyszło zmienić niektóre ich punkty.

Zagrzmiały trąby wojenne, z tysięcy piersi wybuchnął jeden wielki zawzięty okrzyk: „Na niemce!“ i z Bogarodzącą ruszyły wojska Łokietkowe z pól radzieckich na pola chwały wojennej, co czekała je na Płowieckiem błoni.

Zamek Chęciński przeznaczony był na rezydencję koronnych pań, wdów lub matek panujących. Tu często i długo gościła Łokietkowa córka Elżbieta, matka króla Ludwika, gdy w jego imieniu sprawowała rządy w Polsce. Mądra ta pani, niechętnie przez polaków była widziana, nie lubi bowiem słowianin kobiecych rządów. W Wielkopolskiej kronice Janka z Czarnkowa, archidyakona gnieźnieńskiego, siostra Kazimierzowa ma nader nieprzychylne karty, i przez długie wieki pamięć jej czerniono; dopiero znakomity nasz Szajnocha skruszył kopję w obronie czci Elżbiety, odsłonił w swych szkicach rzeczywistą jej wartość i przekonał, że zaiste godnem była ona dziećciem swego bohaterskiego ojca i wielkiego brata.

Jako niezdobyta twierdza zamek tutejszy za Jagiełły został zamieniony na więzienie stanu. Tu trzymał Jagiełło lat trzy Andrzeja Wingolda, przyrodniego swego brata, za podniesienie przeciw niemu oręża. dopiero na wstawienie się Witolda, król Andrzejowi łaskę okazał. Tutaj też więziono możnego

Warcisława z Gotardowic za sprzyjanie Krzyżakom, a i wzięty do niewoli W. mistrz Michał Küchmeister



SZCZĄTKI BRAMY ZAMKOWEJ W CHĘCINACH.

v. Sternberg długie dni więzienia tu odsiadywał. Jako najdroższy klejnot koronny schronił Jagiełło na

szczyt tej wyniosłej góry pierworodnego syna swego Władysława, rok zaledwie liczącego, gdy morowa zaraza srożyła się w dolinach.

Ciągle też sama niedostępność zamczyska skłoniła Bonę do zwiezienia tu swoich olbrzymich skarbów, i te przez jakiś czas pod opieką włocho Braccacia tu spoczywały.

Gdy Bona stała Braccacia do królowej Marji Angielskiej, aby poparła u Zygmunta jej prośby o pozwolenie wyjazdu do Włoch, sama jak zakłętą wróżką, pilnowała swych skarbów, aby, broń Boże, straty jakiej w tym skrętnie gromadzonym majątku nie ponieść. Stał król i córki posłów i senatorów do królowej matki, aby nie opuszczała Polski i nie czyniła im wstydu przed obcemi narodami, że od dzieci własnych uciekać musiała, ale Bona, łudząc się, że otrzyma rejencję neapolitańską, ubłagać się nie dała i w r. 1554 z drogiem swym skarbem wyjechała, bez żalu za krajem, w którym 38 lat przeżyła, bez westchnienia za pozostawionemi tu dziećmi.

Wyznaczony z ramienia króla Walenty Dębiński, kasztelan Sąddecki, starosta Chęciński odprowadził królewską matkę do granic Polski.

Podczas nieszczęśliwego panowania Jana Kazimierza zamek podzielił los innych obronnych miejsc Rzeczypospolitej. W r. 1657 Rakoczy, a następnie Szwedzi zamek spalili, a miasto złupili doszczętnie, powtarzająca się następnie przez cztery lata zaraza morowa do reszty zniszczyła bogate to miasto, tak, że z 341 domów zaledwie 48 pozostało. Ledwie za-

częło się miasto po tej klęsce cokolwiek odbudowywać, gdy druga wojna szwedzka w r. 1707 w perzynę je zamieniła. Zamek odtąd przestał być mieszkalny, ale służył jeszcze na pomieszczenie sądu i kancelarii grodzkiej

Już to pożary nie szczędziły tego rozrzuconego u stóp góry miasteczka. Kazimierz Jagiellończyk i Jan Olbracht nadali miastu obszerne przywileje i statuty gwareckie na wzór olkuskich. Dobrodziejstwa te nader pomyślnie wpłynęły na zamożność miasteczka, ale owe nieszczęśliwe pożary obracały w perzynę dobytek mieszkańców, stąd też Zygmuntowie, Batory, Wazowie i Sobieski podtrzymują o ile możliwości miasto, ponawiając stracone w pożarze przywileje, lub hojnie nowemi szafując.

Opieka królewska czuwała nad rozwojem kopalń i hut, a było nad czem tu pracować, bo pod ubogą i mało urodzajną górną warstwą ziemi tutejszej nieprzebrane kryły się skarby: kopano tu malachity, lazury, srebro, miedź i ołów, rudy te do Anglii wywożono, a i na miejscu w mnogich hutach topiono. Stąd zapewne szły owe zwoje blach ołowianych i miedzianych do krycia dachów na licznych kościołach i zamkach. A chcąc mieć do prac tych ludzi odpowiednio wykształconych, dzielny i mądry Batory polecił otworzyć tu szkołę i z własnej szkatuły fundusz na utrzymanie nauczyciela wyznaczył.

Już w końcu XIV wieku mamy wzmianki o kopalniach Chęcińskich, występują bowiem żupnicy tutejsi; w XVI wieku złotodajną tę godność dzierżyła

w swem ręku można rodzina krakowskich Bonarów, a szczęśliwą do pracy mieli rękę moźni ci panowie, sama bowiem produkcja ołowiu z kopalń Chęcińskich za rok 1531 wyniosła 4750 centnarów, co na owe czasy dało pokazną sumę 76000 złotych ówczesnych, czyli przeszło 300.0000 dzisiejszych.

Wśród zamieszek krajowych i ciągłych wojen przemysł tutejszy zanikał, choć nie ulega wątpliwości, że owe dziewięć gór, wśród których tuła się ubogie dzisiejsze Chęciny, kryją nieprzebrane skarby mineralne.

Niektórzy uczeni powątpiewają o istnieniu tu malachitu i lazuru, a jednak okazy malachitów tutejszych są ozdobą wielu gabinetów mineralogicznych; Stanisław August tu szlifowanymi płytami malachitu ozdobił ściany swych sal, a według Rzączyńskiego starosta tutejszy Bidziński ofiarował papieżowi Inocentemu XI stolik z lazuru, wydobytego z tutejszych kopalń.

Obecnie z tylu skarbów jedynie tylko marmurolomy są czynne. Wątpić należy, czy były one znane w odległej starożytności, gdyż brak nam o tem wzmianek, ale za Wazów dużo tu kopano marmuru ku ozdobie licznych kościołów i gmachów wznoszonych przez nich. Schody, futryny okien i drzwi, ołtarze i inne części budowli, o ile z tych czasów się zachowały, są prawie zawsze z tutejszych marmurów robione.

Zygmunt III kazał też w sąsiedniej Wierzmonieckiej górze wykuć dwie kolumny po 38 stóp wysokie, na których miał w Warszawie stawiać posągi,

pono na pamiątkę uśmierzenia buntu Zebrzydowskiego, ale jedna z nich pękła, drugą zaś do Warszawy sprowadził syn jego Władysław IV i wystawił na niej posąg ojca w r. 1643, a górę Wierzmoniecką zwał odtąd Zygmuntofską.

Za sasów, z upadkiem całej gospodarki krajowej, i marmurolomy tutejsze zaniedbano. Dopiero Stanisław August, zwiedziwszy to miasto i kopalnie, polecił zająć się ich rozwojem. Sprowadzono tedy włochów: Dominika Schianta, majstra do dobywania, Leonarda Galli do wyrabiania i Edwarda Gigli do polerowania marmurów. Król kazał wyłożyć płytami jedną z sal zamkowych i stąd otrzymała ona nazwę marmurowej.

Wśród burzy, kończącej wiek XVIII i poczynającej XIX, wszystko znów poszło w zapomnienie, dopiero minister Tadeusz hr. Mostowski, mąż wielkich zasług, otworzył w r. 1817 kopalnie i fabrykę marmurów, projektując przy tem założenie szkoły rysunkowej i snycerskiej. Jednak kopalnie wielkich wymagały nakładów, a małe przynosiły zyski, połączono je przeto z więzieniem Chęcińskim i oddano w dzierżawę na lat 12 nadzorcy tegoż więzienia Wincentemu Sokołowskiemu, stawiając mu w kontrakcie warunki, aby zakład powiększał i kształcił krajowców, pragnących się z obróbką marmurów obznajmić. Wyrobiono wtedy w owej fabryce różnych przedmiotów z marmuru za sumę 30000 złp.

Sokołowski jednak warunków nie dotrzymywał, fabryka upadała i dla tego w r. 1833 zamknięto ją zupełnie.

Dziś wykuvane w pobliżu Chęcin marmury obrabia fabryka prywatna w Kielcach i tam niektóre drobiazgi na pamiątkę wycieczki nabyć można.

Starostwo Chęcińskie było jedno z najbogatszych w kraju, stąd też była to wieczna kość niezgody między możnemi rodami korony, raz tylko w nagrodę prawdziwych i nieocenionych zasług było ono nadane temu co to:

„Nie z soli, ani z roli,

Tylko z tego, co boli“ wyniósł się do szczytu sławy w Rzeczypospolitej: Stefanowi Czarneckiemu. Ostatnim starostą był Bogumił Załuski i ten otrzymywał ze starostwa czystej intraty 17,764 złp.

Po zamku najstarszym zabytkiem był tu stawiany przez Kazimierza W. kościół i klasztor Franciszkanów, ale w r. 1586 zajęli go kalwini i nie tylko, że z wszelkich sprzętów i ozdób ogołocili, ale nawet mury rozwalili. Dopiero Zygmunt III zwrócił te ruiny właścicielom i ci budowle wznieśli na nowo. W r. 1657 kozacy i węgry Rakoczego klasztor ten złupili, a trzech zakonników tutejszych w okrutny sposób umęczyli. Obecnie w zabudowaniach poklaskstornych mieści się więzienie.

Kościół parafjalny, z XIV lub początku XV wieku pochodzący, był budowany w stylu pięknego ostrołucza, ale późniejsze przeróbki znacznie go oszpecily. Mimo to jednak zachował wiele wdzięku przez rzadko spotykaną myśl budowniczego, który całość gmachu wsparł na czterech lekkich filarach. Kościół ten, również jak i franciszkański, dostał się

nowinkarzom, bo za Zygmunta Augusta Stanisław Szafraniec, starosta tutejszy, oddał go kalwinom. Dopiero za staraniem Stanisława z Ruszczy Branickiego, starosty tutejszego, w r. 1605 z rozkazu Zygmunta III katolikom zwrócony został.

Gdy piorun strząsnął wieżycę kościelną, postawiono na jej miejsce inną, znacznie niższą, a przy tej okazji ściany szczytowe i dach sam o 5 łokci zniżono. Niestety, częsty to u nas wypadek takiego barbarzyńskiego ćwiertowania gmachów.

Nader ciekawym zabytkiem jest tu ołtarz z marmuru i alabastru przedstawiający Ukrzyżowanego Chrystusa, a pod ołtarzem rzeźba, wyobrażająca pokłon trzech króli. Ołtarz ten i przyległą doń kaplicę budował wójt tutejszy niejaki Fotyga, którego zwłoki dotąd pod kaplicą spoczywają wybornie zachowane. Nie sądził zapewne pocziwy wójt, że nie tylko dziełami swej pobożności, ale i sam on swą ziemską powłoką będzie wywoływał zaciekawienie wędrownika. W zakrystyi kościoła godną widzenia jest monstrancja srebrna z XVII wieku (1638) i bardzo dawnej roboty kielich

Prócz wymienionych jest tu jeszcze trzeci kościół PP. Franciszkanek, klaryskami tu zwanych od imienia swej fundatorki Klary Grędoszewskiej.

Nie ulega wątpliwości, że w przedchrześcijańskiej epoce na szczycie góry zamkowej musiały stać świątynie bożyszcz pogańskich, a szeroka stąd propaganda ich kapłanów długo rozciągała wpływ na okolicznych mieszkańców.

Stąd liczne bardzo przesady i zabobony trzymają się ludu tutejszego, który mniej wprowadzie od braci swej z pod gór S-to Krzyskich, ale jednak sporo ma jeszcze wierzeń w tajemniczy świat nadzmysłowy. Z osobliwszych zwyczajów tutejszych ciekawy był zwyczaj Turunia, czyli tura, inaczej zwanego kłapaczem. W zapusty chłopacy przebierali jednego za wielkiego zwierza, który na kiju trzymał głowę z paknł uwinętą z dwoma długimi szczękami. Pociągana za sznurek szczeka kłapała do taktu muzyce, a chłopacy ochoczo przyspiewywali:

Krasna pani z pannami
Wyszła na ganeczek
I wyjrzała w szczyre pole
W szczyre pole na podole,
I zobaczyła żwirza tura,
Żwirza tura, co złote rożki ma.

Jak każdy człowiek lubiący wytchnienie, tak i tych stron mieszkaniac rad po trudach wypoczywa, ale błogość rzetelnego, długiego wypoczynku obiecuje sobie w życiu przyszłym, pośpiewując:

Ej! nie mas ci to nie mas
Da jak kosterze w piekle:
Da naje się napije
Da nasiedzi się w cieple.

Uboga ziemia tutejsza nie zawsze widać zaspakaja te potrzeby, skoro marzenia o tem aż za grób sięgają.

W sąsiedniej wiosce Podzamczu stoi stary dwór starościński i brama, stawiana pono na cześć Jana III wracającego z pod Wiednia.

Ale, zwiedziwszy miasto, wracać trzeba do Kiele na obiad, bo w Chęcinach dostać go nie można, a w ogóle na wycieczce rzadko zachodzi taka sposobność aby dobrym obiadem posilić się można.

Jednak, wracając, choć krótką chwilkę należy zatrzymać się, aby zwiedzić piękną miejscowość Słownik, ulubione miejsce wycieczek i letnich mieszkań. Na porosłej młodym lasem górze spacer jest nadzwyczaj przyjemny, źródelko kryształowej wody, bystro płynąca rzeczka Trupieniec, i widok sąsiednich gór składają się na prawdziwie czarujący krajobraz.

F. M. Sobieszczański. Wycieczka archeologiczna po gub. Radomskiej. „Bibl. Warsz.“. 1852.

J. U. Niemcewicz. Podróże.

GÓRA ŚWIĘTO-KRZYSKA.



Wzrosłem wśród mazowieckiej płaszczyny lub podlaskich piasków człowiekowi góry wydają się krainą zaczarowaną. Wszak tam przebywa cały ów świat fantastyczny, którego dzieje chłonie skupiona uwaga dziecięca, z ust nianiek chwytająca cudne słowa baśni i legend. Tam to zamki stoją dumne, tam w słodkim śnie zakłète spoczywają królewny, tam w jaskini zbójców dwunastu się kryje, lub mieszka siwy, wszystko wiedzący pustelnik. W górskich to źródłach kąpią się rusałki, na szczytach orły ścielą gniazda swoje, a wichher jęczy pośród skalnych złomów. Buki z jodłami, wzięwszy się za ręce, zazdrośnie strzegą tajemnic wyżyny, mrokiem posępny kryjąc stoki góry.

Iluż to mistrzom pędzla albo pióra z górskiej wyżyny spłynęło natchnienie, iluż to bardów muzycznymi dźwiękami pieśń gór zakłętą słuchaczom oddały.

Nic też dziwnego, że i dusza ludzka ku górskim szczytom rwie się i podąża; nic też dziwnego, że wieszcz ciepłem słowem w góry nas ciągnąc pragnie całą duszą:

„W góry, w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szalase do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży,
Gdzie się serce z sercem mierzy,
A ze źródła woda bieży.
Tutaj silniej świat oddycha,
Tu się szczerzej człek uśmiecha,
Gdy się wiosną śmieją góry“.

W. Pol.

Chociaż na obszarze królestwa nie znajdziemy gór tak potężnych, o jakich pisze niedawno zgasły, a tak mało jeszcze u nas popularny wieszcz Asnyk w swoim sonecie:

Tu myśl twórcza straszliwą pięknnością wykwita:
Pięknnością niezmierzonej potęgi i siły,
Co, gromami na skałach rozdartych wryta,
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej bryły.

Dziki zamęt! Glazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody, co czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

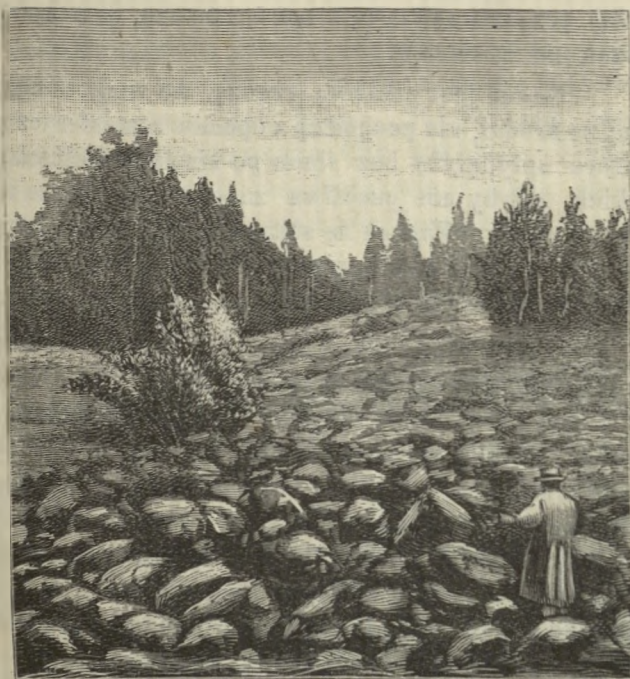
Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje jak mała dziecina
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

Jednak wycieczka do gór Łysych, inaczej Świętokrzyskimi zwanych, dostarczy znaczną ilość wrażeń całkiem niepospolitych i zupełnie okupujących trudy i koszty.

Wśród licznych pasem gór Kielecko-Sandomierskich, wypełniających powiaty Kielecki, Jędrzejowski, Opatowski, Sandomierski, Ilżecki, Koński i Opoczyński, pasmo gór Świętokrzyskich wznosi się najwyżej nad poziom morza, bo osiąga wysokości 1900 stóp, podczas gdy najwyższe z kolei pasmo gór Opatowskich już tylko do 1300 stóp dochodzi.

Samo pasmo Łysogórskie tworzy długi około 2 mil ostry grzbiet kwareytowy, zakończony dwoma wyższymi szczytami: na północy Łysicą, wysoką na 1908 stóp, a na południu Łysą górę, wysoką 1813 stóp. U stóp Łysicy stoi klasztor Świętej Katarzyny, na szczycie zaś Łysej góry—klasztor św. Krzyża. Całe pasmo gór pokrywa nieprzebytą oponą gęsty las buków i jodeł, które korzeniami trzymają się dzielnie rozpadlin w skałach. Mimo to liczne są miejsca, gdzie spiętrzone odłamki skał, nie dopuszczają leśnych olbrzymów, ale dziwaczne rumowiskiem pokrywają

stoki góry, tworząc tak zwane u ludu gołoborza. Od takich to miejsc całe pasmo gór otrzymało nazwę Łysych. Góry Świętokrzyskie stanowią dział wodny



GOŁOBORZE.

między doliną Wisły i Pilicy, a ze stoków ich liczne w obie strony spływają strumienie i rzeczki. Stąd biorą początek rzeczki Świślina, Pokrzywianka i Słu-

pianka, dopływy Kamionny; Opatówka, Koprzywianka i Czarna, wpadające do Wisły; Beldonka, Czarna Nida i Łośnia, niosące swe wody do Nidy.

Wody, spływające z tych stoków są kryształowej przezroczystości i oprócz żelaza, innych domieszek nie zawierają.

Nader jest ciekawą rzeczą, że wody te nie płyną ze źródeł, ale pochodzą z opadów atmosferycznych, które spłynęłyby bez śladu po zimnych skałach górskich, gdyby nie osobiwa zaporą, jaką same sobie wytworzyły. Zaporę tę stanowią torfowiska, jakgdyby zawieszane w połowie wysokości góry, często nawet na wzniesieniu 1200 stóp nad poziomem morza.

Z tych to torfowisk sączą się strumyki i następnie zamieniają się one w rzeki. Mimo swojej niezbyt znaczną stosunkowo wysokość, góry te mają florę zupełnie górską, średnia temperatura na ich szczycie o dwa stopnie jest niższą, niż w Warszawie, oziminy na szczycie już się nie udają, a różnice północnych ich stoków od reszty Królestwa są dość znaczne. Gdy na nadwiślańskich równinach śniegi już zginęły, tu jeszcze sankami jeżdżą, gdy tam już żniwa, tu zboża jeszcze zielone.

Góry Świętokrzyskie badane były pod względem przyrodniczym już przez Staszycę, następnie przez Puscha i innych przyrodników. Pusch pierwszy orzekł, że wzniesienia te stanowią skały kwarcytowe, gdzie znaleźć można zupełnie przezroczyste lub lekko zabarwione kryształy kwarcu, a trafia się też podo-

bną ametyst, chalcedon, granat, karniol, agat, lecz w nader drobnych kruszynach.

Stary to kawał skorupy ziemskiej te łyse szczyty, jest to bowiem jedna z czterech wysp prastarego lądu Europy. Jeszcze ani Tatr, ani Alp nie było, a olbrzymie morze gotowało dopiero na swoim dnie potężne skały osadowe, z których miały powstać Giewont i Łomnica, Mont-Blanc i St.-Gothard. Rozhukane bałwany tego morza były wściekle o krystaliczne wyżyny dzisiejszej środkowej Francji, okolic nadreńskich, kotliny Czech i gór Ś-to-Krzyskich.

Znany nasz przyrodnik Siemiradzki zwrócił uwagę, że, podczas gdy na południowym stoku gór pod lekką warstwą ziemi i żwiru dostać się można do jednolitej skały kwarcowej, to północne stoki pokryte są nadzwyczaj grubą warstwą potrzaskanych odłamków skalnych, jednolita zaś ściana nigdzie się nie ukazuje.

To naprowadziło uczonego na myśl, że w okresie lodowym sunący z północy olbrzymi lodowiec diluwialny, spotkawszy po drodze grzbiet Święto-krzyski, nie mógł go przekroczyć, lecz przesunął się bokiem po północnym stoku, druzgocąc spotkane skały na drobne odłamy.

Promienie ciepłego słońca stopiły siłę tego olbrzyma, co w lodowym uścisku chciał zetrzeć życie z powierzchni ziemi. Z początku liche mchy i liszaje odważyły się zająć wolne przestrzenie skał, za nimi podążyły wątłe trawy i paprocie, aby utworzyć pod-

ścielisko dla coraz doskonalszych tworów świata roślinnego.

Długie przeminęły lata od owej chwili, gdy z potężnym łoskotem trząsał północny lodowiec skaliste boki gór, okolicę tutejszą nieprzebyta pokryła puszcza, a w niej na szczytach gór wzniesiono pogańskie świątynie na cześć bożyszcz wiatrów i burz Świst, Poświst i cudnej bogini Pogody.

Słynęły te świątynie po całym obszarze Słowiańszczyzny, a błogo było duchowi tego, czyje kości w pobliżu świętych miejsc złożono. To też w pobliższej wsi Nietulisko, (może kiedyś Nientulisko?) znaleziono, jak pisze F. M. Sobieszczański, wielkie cmentarzysko pogańskie, mieszczące na dużej przestrzeni kilkaset urn i łzawic ze szczątkami kości.

Niedostępność tych miejsc i potężny wpływ kapłanów pogańskich tłumiły iskierki światła chrystyanizmu. Już w niezbyt odległym Krakowie lub Sandomierzu czyniła kultura znaczne postępy, gdy tu wszystko jeszcze szumiało dzikością.

W tych to puszczech Chrobry polował na tury, zubry, łosie i niedźwiedzie, on też, szerząc dalej chrześcijańskie dzieło swego ojca, na szczycie Łysej góry, na miejscu bożnicy Śwista i Pośwista w r. 1008 założył klasztor sprowadzonym z Francji Benedyktynom, którzy przybyli tu z najdroższym swym skarbem: częścią drzewa Krzyża Świętego.

Droga ta relikwia szybko zasygnęła po całym obszarze Polski i stała się celem licznych pielgrzymek z najodleglejszych kresów państwa. Na dni od-

pustów ciągnęła tu liczna rzesza kupców, by przy napływie ludności łatwiej spieniężyć swe towary. A że pod owe czasy najpoważniejsze uroczystości przeprowadane były wesołością i śpiewem niekoniecznie nabożnym, więc i owe jarmarki u stóp pustelni były wyprawiane z takim rozpasaniem, że, dbający o spokój klasztoru, opaci musieli starać się o przeniesienie targów do leżącego u stóp góry miasteczka Słupi.

Sława tego miejsca wywołała niezwykle rozwój klasztoru i pomnożenie go w bogactwa. Wezbrana rzeką płynęły tu niesłychane skarby z rąk królów i biskupów, władków i kmieci. Obok cudowności relikwi zasłynął klasztor ze swych nieprzebranych bogactw i z tego powodu stał się celem łakomych wycieczek Tatarów, Litwy i Rusi. Zwłaszcza sąsiednia Litwa nie tylko Laszki synowe pod burką w litewskie puszcze dźwigała, ale do tych synowych znaczne sobie dobierano posagi, łupiąc bez miłosierdzia bogate kraje nadwiślańskie.

Tak też w r. 1370 Kiejstut i Lubart, wracając z pod Wiślicy, złupili i obdarli kościół i klasztor, a świętokradzką ręką nawet drzewo Krzyża Świętego zagrabili. Jednak według słów legendy wóz, na który naładowano ten skarb, nie chciał ruszyć z miejsca, a woły i konie padały przed nim na kolana. Musiała więc Litwa relikwię oddać, i kornie błagać o przebaczenie. Porozumienie o zwrot tej polskiej relikwi, zwanej na Litwie „Krzyżem lackim“ przyspieszyły, jak pisze Szajnocha w swem wiekopomnym dziele „Jadwiga i Jagiełło“, zbliżenie się obu naro-

dów, i w kilkanaście lat po owym głośnym napadzie Kiejstuta korzył się w tutejszym kościele przed nowym swym Bogiem synowiec jego, Jagiełło.

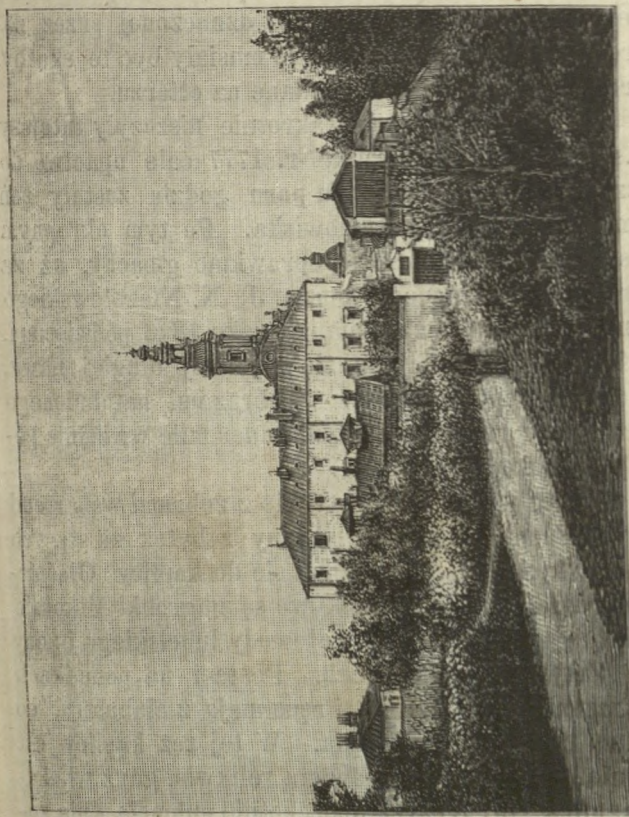
Król ten osobiwą czią otaczał tutejszą świątynię. Przed każdym ważniejszym krokiem swego życia tu parę dni na modlitwie spędzał, stąd też w r. 1410 wyruszył na ową wiekopomną grunwaldzką potrzebę, a szedł ze Słupi na górę pieszo po kamienistej drodze, bijąc się w piersi i sypiąc sowite jałmużny niedzardom. On też kazał wewnątrz całej świątyni artystycznie pomalować greckim mistrzom.

Potomkowie jego zachowali cześć swego poprzednika dla tej górskiej pustelni, a Wazowie nie mniej od Jagiellonów otaczali czią tutejszy klasztor. Zygmunt III ofiarował tu własnej roboty trzy srebrne posągi.

Szwedzi kusili się kilkakrotnie o zdobycie rozgłosnych bogactw klasztornych, te jednakże były starannie przechowywane w kryjówce pod opieką kilku najstarszych zakonników, reszta zaś zgromadzenia nawet o nich nie wiedziała. Olbrzymim też skarbem była tutejsza biblioteka, zajmująca kilka sal w klasztorze, pełna niesłychanie rzadkich manuskryptów.

Po wielkiej rewolucji francuskiej gościnny konwent tutejszy udzielił schronienia wygnanym benedyktynom francuskim. Lecz przytuleni serdecznie goście owi odpłacili się czarną niewdzięcznością pocziwym ojcom, gdyż zupełnie zniszczyli i spalili bibliotekę. Na dobitkę zaś, gdy szczątki owej biblioteki przenoszono do innej sali, jeden z braci znalazł na

starym szpargale opis kryjówki, gdzie schowane były skarby klasztorne. Uszczęśliwiony powierzył ten se-



WIDOK KLASZTORU NA ŁYSEJ GÓRZE.

kret dwóm innym braciom i namówił ich do ucieczki z temi skarbami. Jakoż projekt się udał, ale rząd

Austrijacki, do którego wówczas należał klasztor, skarby zabrał i po oszacowaniu wyznaczył klasztorowi jako odszkodowanie sumę 14000 złp. rocznie. Niebywała wysokość tej sumy, oznaczona przez zaborców, wskazuje, jak wielkie musiały być te skarby, kornie przez wiernych składane na ołtarzu.

Straszne pożary kilkakrotnie niszczyły tutejszy klasztor: 26 października r. 1777 całe opactwo do szczytu spłonęło i w ciągu paru godzin zostały zeń dymiące zgliszcza i rumowiska. Po tym okropnym ciosie długo dzwigano i poprawiano gmachy, aż za staraniem ówczesnego opata J. N. Niegolewskiego stanęła obecna świątynia w roku 1806 poświęcona. Kościół ten, składający się z jednej długiej nawy, ozdobiony jest wewnątrz 7 obrazami natchnionego pędzla Smuglewicza i czyni nader miłe wrażenie pogody i spokoju.

Przez krużganki gotyckie z żebrami wspartymi na tarczach herbowych, jedyny zabytek ze starych czasów kościoła, przechodzi się do kaplicy Oleśnickich, gdzie na ścianie ciekawe są nagrobki Mikołaja z Oleśnicy Oleśnickiego, wojewody lubelskiego i żony jego Zofji z Lubomirskich. Postaci na pomnikach są z marmuru, a twarze i ręce mają z alabastru, co bardzo niezwykle wygląda. W tej też kaplicy jest obecnie przechowywana święta relikwia, gdyż właściwa kaplica Św. Krzyża doszczętnie spłonęła i nie została odbudowana. Według podania mają też tu spoczywać zwłoki tyle głośnego bohatera ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

Po krętych ale dość wygodnych schodach dostać się można na szczyt wieży kościoła, skąd roztacza się widok na kilka mil rozległy. A widok to niepowszedni, gdyż przy pogodnym dniu na południu kontury Tatr wybornie rozróżnić można, a uzbrojone w lunetę oko dokładnie zobaczyć może: Bodzentyn, Kielce, Chęciny, Busko i Kazimierz nad Wisłą.

Ciekawe też odebrać można wrażenie ze szczytu wieży, gdy góra ginie we mgle. Często bowiem na dole dzień jest pogodny, góra zaś od połowy jest pograżoną w chmurze. Jakaś bezbrzeżna nieznająca cisza otacza wtedy widza. Ten nieprzebita dla oka ocean mgły jakiegoś dziwne budzi uczucia lęku, a zarazem spokoju.

W zabudowaniach klasztornych mieści się obecnie więzienie, a jeżeli dziś bywa ono zapelnione, to w owe dobre czasy „zbójów“ przydałoby się było również.

Dzikość i nieprzystępność okolicy sprzyjała tworzeniu się band łupieżców, a puszcza dawała im pewny przytułek, to też z odległych wieków słynęli „Zbójce Święto-krzyscy“ i w przysłowie nawet weszli, jako obraźliwy epitet na całym obszarze Polski. Już w końcu XV wieku miała ówczesna sprawiedliwość niemały kłopot ze zbójczynią Rusinowską, która konno na czele swej bandy stawała, łupiąc szlachtę okoliczną. Niezwykle ciekawy to zapewne był typ owa zbójczyni, co wpadła nareszcie w ręce sprawiedliwości i w roku 1505 obwieszono ją podczas sejmu w Radomiu.

Po niej zasłynął zbój Zakuta-Zarzycki, później dowodzili bandami bracia Piorunowie i Kolbusowie, około roku 1820 gęsto tu spotykano obozowiska cygańskie a w 1825 grasowała banda pod wodzą żyda z Węgier Tewela i chłopą Łembka z pod Ś.-Krzyża. W r. 1833 miał bandę z 27 ludzi złożoną chłop Patałacha i jego pomocnik Sikora.

Głucha puszcza tutejsza nie łatwo dawała przenikać prawdziwemu światłu, obcujący z dziką naturą lud stał się bardziej zabobonny niż sąsiad jego z nad szerokiej Wisły. Jeżeli cały kraj głęboko wierzył w Sabaty czarownic na Łysej górze, to tembardziej on, słysząc świst wiatru, lub niezwykle odgłosy boru, musiał zaludnić góry postaciami bujnej swej fantazji.

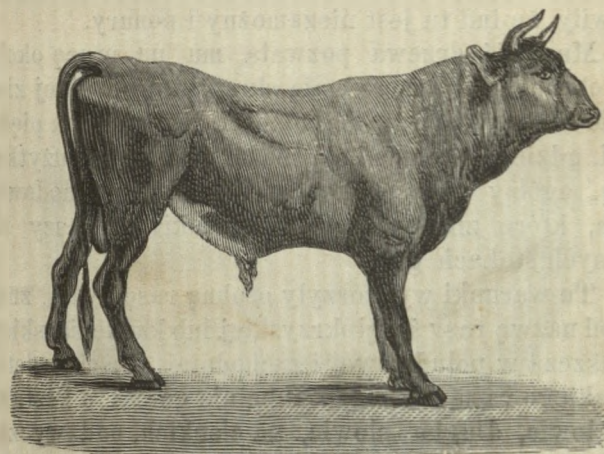
Na niezarośnięte gołoborza tego polskiego Brokenu zjeżdżała się z całego kraju liczna rzesza czarownic. A wycieczka ta nie była ani kosztowną ani kłopotliwą, należało tylko wytrzeć się maścią wygotowaną z ciałek zmarłych bez chrztu dzieci i, siadłszy na łopatę lub miotłę, zawołać:

Płot nie płot,
Wieś nie wieś,
Biesie, nieś!

I po mgnieniu oka już można było zasiadać na uczcie, gdzie pieśni, hulanka i tańce przeciągały się do zapiania kura. Między uczującą rzeszą kręcił się mały potworek, zwany przez lud Bobo; jest to karzełek wzrostu rocznego dziecka z bardzo starą twa-

rzą. Pełne są dzikiej malowniczości te kwarcytowe salony, a posadzkę ich pokrywa w cudne wzory dywan porostu górskiego t. zw. *Lichen geographicus*.

Prócz tych uczt czarownic ileż jeszcze innych postaci zamieszkuje puszcę: upiór, strzyga, płaczka, boginki, zmora, potępieńcy, latawce, planetniki i cały korowód tych tajemniczych postaci, straszących ciemny lud tutejszy, gnieździ się po górach.



RASA BYDŁA ŚWIĘTOKRZYSKA. (Wszechświat, 1887, № 10).

Ale nie tylko czarownice i upiory, nie tylko zbóje i cyganie byli postrachem mieszkańców. Wnętrze puszczy roiło się mnogością zwierza. Sarny, jelenie i daniela niszczyły zboże na polach, a wilki i niedźwiedzie dusiły dobytek domowy.

Chłop tutejszy, żyjący ciągle pod strachem napadów wilezych, za nic dawniej nie wymówił nawet nazwy tego zwierzęcia, bojąc się przesądnie, aby nie wywołać go z kniei. Określał go tylko ogólnie wyrazem „zwirz“. Niemniej groźnym, choć rzadziej pod ludzkie siedliska podchodzącym był król puszczy, niedźwiedź, długo trzymający się stron tutejszych, bo jeszcze w r. 1840 strzelano doń tutaj.

Ten ciągły postrach i mała urodzajność ziemi sprawiły, że lud tu jest niezamożny i ponury.

Mnogość drzewa pozwala mu na pracę około jego obróbki, bez czego małe skrawki urodzajnej ziemi nie zdołałyby wyżywić ludności. Najmniejsza piędź ziemi, gdzie zboże udać się może, jest na to zużytkowaną, ogólny więc brak pastwisk utrudnia hodowlę bydła, które zmuszone jest wyszukiwać paszy po stromych stokach gór.

Te warunki wytworzyły osobną rasę bydła, znaną pod nazwą rasy świętokrzyskiej lub kamieniarskiej. Zwłaszcza w południowej i zachodniej części Świętokrzyskiego rasa ta ma typ zupełnie górski, o kształtnej głowie, długim tułowi, na cienkich, nadzwyczaj muskularnych nogach. Typ to nieoceniony do potrzeb roboczych, a i mleczność jego jest zadawalniająca. To też na jarmarkach Łowickich woły tutejsze były bardzo poszukiwane i dobrze płacone. Również czysto lokalna jest tu rasa koni włościańskich, które są małe, ale kształtne, zwinne, nadzwyczaj silne i wytrwałe.

Schodząc ze szczytu góry Ś-to Krzyskiej ku Nowej Słupi spotykamy nader oryginalny zabytek

starożytnej rzeźby: jest to wykuta z kamienia klęcząca postać, zwrócona twarzą ku klasztorowi. Kiedy, przez kogo i w jakim celu posąg ten został postawiony, nie pewnego powiedzieć się nie da. Liczne legendy krążą o tej postaci, jak np.: że posąg ten wykuł nawrócony litwin, co dotknął ręką świętej relikwi



FIGURA KAMIENNA POD NOWĄ SZUPĄ

i za karę ręka mu zmartwiała. Według innej legendy jakiś pokutnik siedł na kolanach z Rzymu i gdy się zbliżał do góry, dzwony klasztorne same zadzwoniły, obwieszczając jego przybycie, co wielką pychę napelniło serce pokutnika. By ukarać tę jego pychę

zagniewany Bóg zamienił go w kamień. Najprawdopodobniej jest to wotum kogoś cudownie uzdrowionego, gdyż postać ta klęcząca ma lewą rękę zawieszoną na temblaku.

Gdy ostatnie promienie zachodzącego za górę słońca oświecają twarz tego polskiego sfinksa, czyni ona niezatarte nigdy wrażenie jakiegoś bezbrzeżnego pragnienia i smutku. Te martwe oczy, beznadziejnie wpatrzone w błyszczący na szczycie wieży złocisty krzyż, na długi, długi czas pozostają w pamięci. Według ludowego mniemania posąg posuwa się wolno na szczyt góry, a gdy na nim stanie, nastąpi koniec świata, możemy jednak pocieszać się myślą, że nie nastąpi to jeszcze tak rychło.

Nowa Słupia oddawna należała do opactwa i kościół tutejszy. postawili Benedyktyni. Miasteczko ubogie, ale że często bywa przez wędrowników i kompanje nawiedzane, więc i zajazd ma, gdzie przenocować można niezgorzej, a i obiad smaczny się trafi. Należy więc tutaj zjeść obiad i zamówić konie przez Bodzentyn do Wąchocka, za co płaci się 2 do 2 rub. 50 kop. i, nie tracąc czasu, ruszać trzeba dalej w drogę do biskupiego Bodzentyna, który już ze szczytu góry oglądaliśmy. Droga ze Słupi do Bodzentyna wynosi 9 wiorst. Komu czas nie pozwala jechać do wspomnianych miast, ten przez stację drogi żelaznej Iwangrodzkiej Wierzbnik, następnie Bzin, Koluszki, lub Bzin, Iwangród może wracać do Warszawy.

T. S. Armiński. Opis Góry Ś-to-Krzyskiej. „Pamiętnik Sandomierski“, II, str. 427.

Staszic. O ziemioródtwie gór dawnej Sarmacji.
O pasmie Łysogór.

Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk.
Warszawa, 1840, tom IV, str. 1—55.

Jerzy Pusch. Geograficzny opis Polski.

Wolski. Rys hydrografji Królestwa Polskiego. „Biłlot. Warsz.“, 1849, maj.

B. G. Wydźga. Ś-to Krzyskie pod względem rolnym. „Gazeta Rolnicza“, 1887, № 5.

Wspomnienia z podróży przez uczniów Marymontu w r. 1854, odbytej pod przewodnictwem prof. W. Jastrzębowski.

Ks. Wojciech Rufin. Historia o drzewie Krzyża Świętego. Kraków, 1604.

Ks. Gucki. Benedyktynski klasztor na Łysej Górze.

J. Siemiradzki. Krótkie sprawozdanie z wycieczki Góry Świętokrzyskie. „Wszechświat“, 1897.

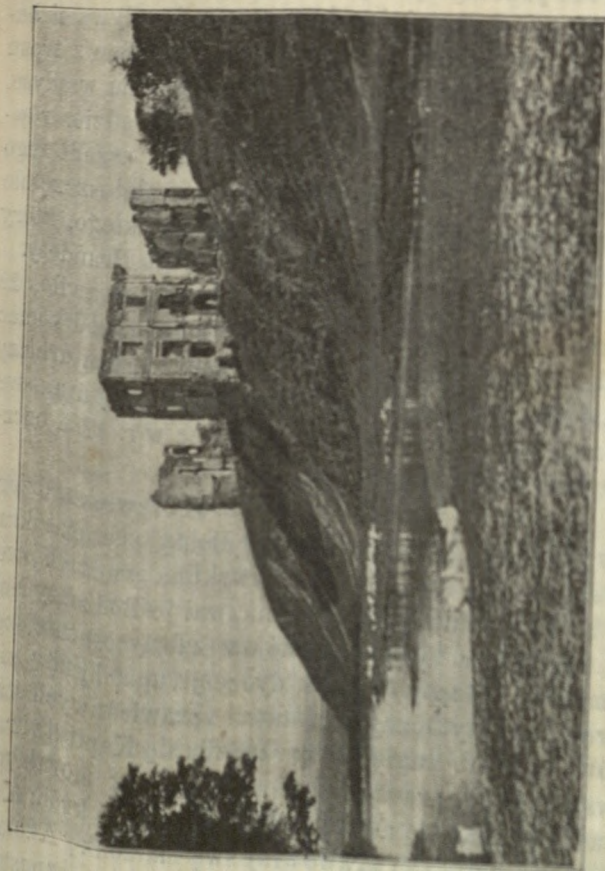
Na wzgórzu nad Psarką rozsiadło się miasteczko, zdobne szczątkami murów obronnych, dumne ze swych zamkowych ruin i wspaniałego domu Bożego.

BODZENTYN.



Osada pow. i gub. Kieleckiej. 2,000 mieszkańców. Odległość od Kielc 16 w., od stacji drogi żelaz. Iwangrodz. Suchedniów tyleż, od Nowej Słupi 9 wiorst.

Przed kilku laty ruiny pałacu bodzentyńskiego zostały wystawione na sprzedaż przez publiczną licytację. Prasa nasza, zawsze gorliwa o ochronę całości dawnych naszych pamiątek, jednogłośnie uderzyła na alarm. Ukazały się długie w tym przedmiocie artykuły, odwołano się o pomoc do moźnych tego świata, uderzono w struny obowiązków obywatelskich i nareszcie, pod wpływem nowych wrażeń oraz wieści z Krety lub Kuby, sprawa ucichła i przeminęła, ale ruiny na wyniosłem wzgórzu nad Psarką pozostały, rzucając swój obraz w nurty tej płochliwej rzeki. A że owe ruiny imponują swym ogromem i malowniczością, nie żał więc po kamienistej drodze i tu zajechać.



RUINY ZAMKU W BODZENTYNIE.

Od wieków okolica tutejsza należała do biskupów krakowskich, który w sąsiedniej wsi Tarczek mieli obszerny dworzec i chętnie w nim w czasie łowów, lub podróży spoczywali.

Możni ci dostojnicy bogactwem i wpływami budzili zazdrość panów świeckich, a niejedno z tronu biskupiego ciśnięte gorzkie słowo możnemu władcy, wywoływało srogi odwet w zbrojnym napadzie, równającym z ziemią biskupie włości. Nie uszedł tego losu i Tarczek, gdyż w roku 1244 został doszczętnie spalony przez Konrada I ks. Mazowieckiego, który pałał niechęcią do biskupa krakowskiego Prandoty.

Wygodne położenie wśród puszczy sprawiło, że dworzec w Tarczku rychło odnowiono, a pod koniec XIII wieku brzmiało tu huczne życie. Awanturniczy i hulaszczy biskup Paweł z Przemankowa tutaj swe głośne uczty wyprawiał i tu na koniec w r. 1292 burzliwy swój żywot zakończył.

Nareszcie w drugiej połowie XIV wieku, dzierżący pobożną, lecz energiczną dłoń, pastorał krakowski, biskup Bodzanta Jankowski na gruntach owej wsi Tarczek założył miasto i nazwał je Bodzentynem.

A dzielna to była postać ów założyciel tutejszego miasta. Rządy jego w diecezji upamiętniły się szeregiem pożytecznych ustaw i sprawiedliwych statutów, które długie czasy rządziła się Kapituła krakowska. Nieustraszone i nieugięte stróż moralnych zasad nie ulękł się nawet wszechpotężnego króla Kazimierza. Gdy ten prawowitą swą małżonkę Adelajdę osadził w Żarnowieckim zamku, a sam rozpustne

pędził życie, Bodzanta surowo strofował go o pogwałcenie przysięg małżeńskich i poniewieranie majestatu. Rozgniewany król zmuszał przemocą poddanych biskupa do podatków i robót. „O co—(pisze Bielski) gdy Baryczka, wikarjusz krakowski, od biskupa pozwy nosił królowi, bo do których to należało, bali się, oddał go Kochanowi, słudze swemu, w wór wsadzić i pod lód włożyć, a tak utopić w zimie koło św. Łucji“.

Surowy biskup nie mógł pozwolić na takie pogwałcenie sprawiedliwości i zbrodnię na słudze kościoła i oto z wysokości swego tronu cisnął na głowę króla „anathema“. Z jękiem cisnęli zapalone świece prałaci krakowscy, król zaś musiał się ukorzyć i u stolicy Piotrowej błagać przebaczenia. Po długich dopiero prośbach Klemens VI klątwę Bodzanty zdjął z króla.

Taki to człowiek założył to miasto, a nie dał mu Bóg nacieszyć się widokiem wzrastającego tego ukochanego dziecięcia, gdyż na starość dzielny Bodzanta oślepił i w tradycji ludu otrzymał nazwę ślepego biskupa, nareszcie 12 grudnia r. 1366 zmarł w Kielcach, a zwłoki jego pochowano w katedrze krakowskiej.

Nie zdążył przeto stary Bodzanta w całości myśli swej wykonać, ale następcy rozpoczęte dzieło z umiłowaniem posuwali dalej. I tak: biskup Florjan Mokrzycki wystawił zamek i miasto murami opasał. Zamek musiał być wygodny i duży, skoro Jagiełło, udając się w r. 1410 na Krzyżaków, z całym dworem tu

gościł przez dwa dni, przyjmując posłów od ościen-nych książąt.

Kolejno biskupi Jan Radlica, Piotr Wysz i Wojciech Jastrzębiec budują dalej miasto, nadają mu przywileje, ulgi i prawo niemieckie, a miasto wzrasta i bogaci się.

Przesławny kardynał Zbigniew Oleśnicki ze zwykłą sobie hojnością zbudował tu w r. 1452 wspa-niałą kolegiatę z kaplicami.

Zagroził rozwojowi miasta spór Kazimierza Jagiellończyka z biskupem Jakóbem z Sienna, który wbrew jego woli objął stolicę biskupią krakowską. Wydał król srogi wyrok zburzenia i zrównania z zie-mią Bodzentyna, lecz szlachetny Sieniński zrzekł się dobrowolnie infuły krakowskiej i wyjechał do Rzymu, gdzie przez osobistego swego przyjaciela, papieża Piusa II mianowany został przełożonym miasta i zam-ku tybertyńskiego.

Lubił bardzo to miasto biskup Jan Konarski „mianowany na stolicę acz nie wiele umiał (pisze Bielski) jedno, że był w łasce u Fryderyka kardyna-ła”. Sądzę, że to trochę złośliwy sąd naszego kroni-karza, gdyż Konarski złożył dowody wykwintnego gustu w stawianych przez się budowlach. Przebudo-wał on zamek tutejszy, nadając mu wdzięczne cechy odrodzenia, które wówczas kwitło na krakowskim dworze. Zapewne który ze znakomitych włoskich budowniczych robił plany zamku. Może Filip da Fie-sole, uczeń wielkiego Sansovina, lub Bartłomiej Be-recci, twórca kaplicy Zygmuntowskiej. Konarski

ozdobił kościół obrazami, ogrody założył wspaniałe, a było też z czego to robić, bo włosci biskupie prze-wyższały swym obszarem niejedno dzisiejsze księ-stwo udzielne.



BRAMA ZAMKOWA W BODZENTYNIE.

W XVI wieku w Bodzentynie odbywały się sądy biskupie nad heretykami. Dość surowe czasem zapa-dały tu wyroki, drażniące wolne umysły epoki Zyg-muntowskiej, zwłaszcza biskup Zebrzydowski, we-

dług Starowolskiego człek nader srogi i popędliwy surowo karał nowinkarzy, a jednemu pono kazał zjeść biblię arjańską. On to ząb za ząb kłócił się, z Boną, a gdy w jednej sprzeczce zaperzona włoszka wybuchnęła: „I ty to mówisz ty, coś biskupstwo kupił?“ „Do sprzedania było“ odparł zimno Zebrzydowski.

Tutaj zakończył 17 marca r. 1642 swój pełen chwały i zasług obywatelskich żywot kanclerz państwa sławny Jakób Zadzik h. Korab', ostatni domu swojego potomek. Leży po żarliwych walkach z arjanizmem, po trudach traktatów ze Szwecją i Moskwą.

Biskup Andrzej Trzebicki wybudował tu wspinały ratusz i ofiarował go miastu. Była to okazała budowlą gotycka z wysoką wieżą i zegarem.

Czcigodny biskup Felician Szaniawski w r. 1720 rozpoczął na wielką skalę budować po okolicy piec hutnicze, kuźnie żelazne i inne fabryki, a miasto słynęło z przemysłu. Były tu fabryki sukienne, rzeźbiarskie, cegielnie, a nawet fabryka luster; kopano w okolicy rudę żelazną, miedzianą i galman.

Ostatni biskup, zamieszkujący tutaj, Kajetan Sołtyk prowadził wspinały, liczny i gościnny dwór. Ostatnie też to były blaski wspinałości dla tutejszego zamku. Jakkolwiek do końca zeszłego wieku zamieszkały, lecz z powodu braku funduszy na konserwację, szybko chylił się ku upadkowi i dziś świeci przerażającą pustką gołych ścian.

Zamek ten był budowany w podkowę i dobrze można było rozróżnić w nim dwie epoki, gotyckie mu-

ry i baszty fundacji Mokrskiego i lekkie pałacowe kontury renesansowej przeróbki Konarskiego. Krużgankowe arkadowania pałacu przypominały zamek na Wawelu, a do dziś imponuje wielkością brama z ciosu kuta, z pięknymi ornamentacjami po rogach.



CHRZCIELNICA W BODZENTYNIE.

Starannie hodowane przez biskupów ogrody otaczały zamek, wydając najprzedniejsze owoce.

Stan dzisiejszy miasteczka godny jest pożałowania: z zamku ruina, z ogrodów kilka zaledwie drzew pozostało, ratusz w roku 1832 kazał rozebrać cheiwy burmistrz tutejszy, z murów miejskich pozostały drobne tylko szczątki, do których poprzylepiano wątle chałupki drewniane.

Jedynie kościół tutejszy przetrzymał ciężkie koleje i dziś zaciekawia wędrowca swemi zabytkami, których pozazdrościć może niejedno wielkie miasto. Najstarszym zabytkiem jest zapewne tablica erekcyjna w krucheie, gdzie kardynał Oleśnicki ofiaruje N. M. P. kościół bodzentyński, u dołu tablicy herb fundatura Dębno. Rzeźba bardzo ładna, lecz obecnie grubo zabiłona wapnem i zasłonięta wiankami.

Współczesną tej tablicy, a więc i fundacji kościoła, jest chrzcielnica kamienna nader delikatnej roboty, u góry zdobi ją pas zręcznych gotyckich ozdób, niżej gotyckimi głoskami wypisany rok MCCCCLXXX, dalej zaś podstawa podzieloną jest na 8 tarcz, na których herby Półkozic, Doliwa, Róża, Dębno i inne są znakami poprzednich biskupów krakowskich. Delikatność roboty świadczy o wysokim wówczas rozwoju kamieniarstwa w Polsce, szpeci jednak ową chrzcielnicę brzydka pokrywa drewniana, dorabiana później.

Ołtarz wielki, trzymany w stylu pięknego renesansu, przeniesiony tu jest z kolegiaty Kieleckiej, zygmontowskie orły i nałęczce pod infułą biskupią dowodzą, że fundował go biskup Piotr Gębicki. W ołta-

rze Chrystus na krzyżu bardzo ładnego pędzla niemieckiej szkoły z XV wieku.

Obok wielkiego ołtarza jest pięknie rzeźbiony nagrobek biskupa Franciszka Krasieńskiego, znakomitego przyrodnika, który zmarł tu w roku 1577.

Najznakomitszym atoli zabytkiem sztuki jest tu tryptykowy ołtarz w lewej nawie, fundowany przez biskupa Konarskiego. W środkowej części na tle złotem przedstawione są sceny z życia N. M. P. u dołu po jednej stronie klęczy św. Jan Kanty patron fundatora, po drugiej on sam w pontyfikalnem biskupiem odzieniu wsparty na tarczy ze swym herbem Habdank. Na bocznych skrzydłach ołtarza sceny z życia św. Stanisława i Rodziny Świętej. Figury malowane są doskonale, rysunek lekki, a koloryt nader harmonijny dowodzą, że ołtarz ten jest dziełem znakomitego artysty z XV wieku i to krajowego, gdyż żywot i cuda św. Stanisława tylko znający kraj i w nim mieszkający artysta mógł odtworzyć tak wiernie.

Oprócz kolegiaty, jest tu i drugi kościółek św. Ducha dobrze również zachowany.

Miasteczko ubogie, trudno w niem coś dostać, organista jednak miejscowy na żądanie herbatę przyrządza i coś do jedzenia się wystara. Z uwagi jednak na drogi czas po obejrzeniu kolegiaty i zamku dążyć należy do Wąchocka, aby stanąć tam przed wieczorem. A droga, wynosząca 18 wiorst, jest kamienista i spieszyć nie bardzo można.

F. M. Sobieszczański. Wycieczka archeologiczna po gub. Radomskiej. „Bibl. Warsz.“, 1852.

L. Zejszner. Opis geologiczny ilowych łupków i brunatno-szarych wapieni rozwiniętych pomiędzy Świętomarzem a Rzepinem pod Bodzentynem. Kraków, 1868.

WĄCHOCK.



Wielki i możny był to pan Gedeon, czyli Gedko, h. Gryf, biskup krakowski. Chowany w znany z świętobliwości domu stryja swego Janika, arcybiskupa gnieźnieńskiego, z wrodzoną we krwi pobożnością Gryfitów, o których pisze Łętowski, że „zakładając po całej Polsce rozliczne klasztory, oddali na lichwę skarby ziemie Niebieskiemu Gospodarzowi“, młody Gedko zasłynął ze swych cnót i pobożności.

Nie miała jeszcze wówczas Polska swej akademji, musiała przeto młódź jej wędrować po wiedzę i światło na daleki zachód lub południe, tam też i nasz młody Gedeon wyjechał za wolą swego opiekuna Janika i zapisał się w poczet tyle wówczas sławnego uniwersytetu w Padwie.

Dziecię najpierwszej w kraju rodziny, synowiec potężnego arcybiskupa, podczas gdy drugi stryj Ro-

gustaw, żonaty z Piastówną, córką Mieczysława Starego, udzielnie panował na Pomorzu, młody Gedko żył zdala od wesółych rówieśników w Padwie, trzymając tylko serdeczną przyjaźń z włochem Ubaldo Allucignolo, którego skroń zdobić miała w przyszłości tiara, jako papieża Lucjusza III.

Powróciwszy do kraju, został młody Gedko kanonikiem krakowskim, a w r. 1166 też kapituła wybrała go na biskupa. Długo wzbraniał się on przyjmując ten zaszczyt, lecz, ulegając woli powszechnej, przyjął infulę z rąk papieża Aleksandra III.

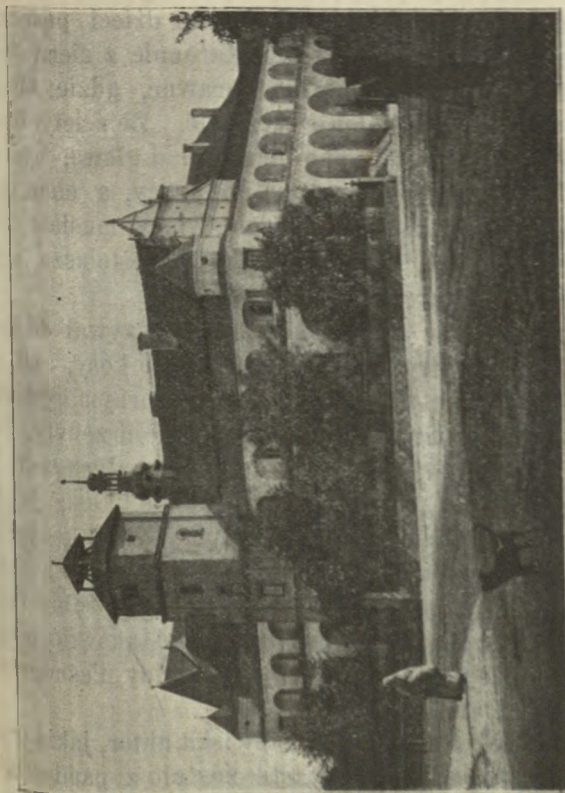
Podróżując wielokrotnie po zachodzie i południu Europy, czuł ten możny Gryfita, że ojczysta jego ziemia stoi bardzo jeszcze daleko w kulturze po za innymi krajami Europy i gorącym jego pragnieniem było wniesić w nią więcej światła i więcej dobra. A że pod owe czasy pochodnię wiedzy i kultury dzierżyła potężna dłoń kościoła, więc stąd tylko spodziewać się można było pomocy.

Z pokorną tedy prośbą zwraca się nasz biskup do głowy zakonu cystersów we Francji, aby mu kilku braci klasztornej do Polski wysłał, a już w ziemi tej, mlekiem i miodem płynącej, znajdzie się dla nich przytułek.

I oto przybywają na prośbę Gedki bracia zakonni w białych swych habitach, z nabożną pieśnią na ustach, ze swojemi ksiąg w rękę i ze światłem cywilizacji zachodniej na czołach.

Znający wybornie swą owczarnię, biskup wiedział, kędy lud potrzebuje najwięcej światła, zachęty

i przykładu, i osadził owę wędrującą francuską kolonję w nieprzebytej puszczy u stóp gór świętokrzyskich nad brzegiem wesolej i pięknej Kamionny.



WIDOK OPACTWA W WACHOCKU.

Organizacja klasztoru cystersjańskiego była na owe czasy bardzo rozumną. Podczas, gdy jedni ojco-

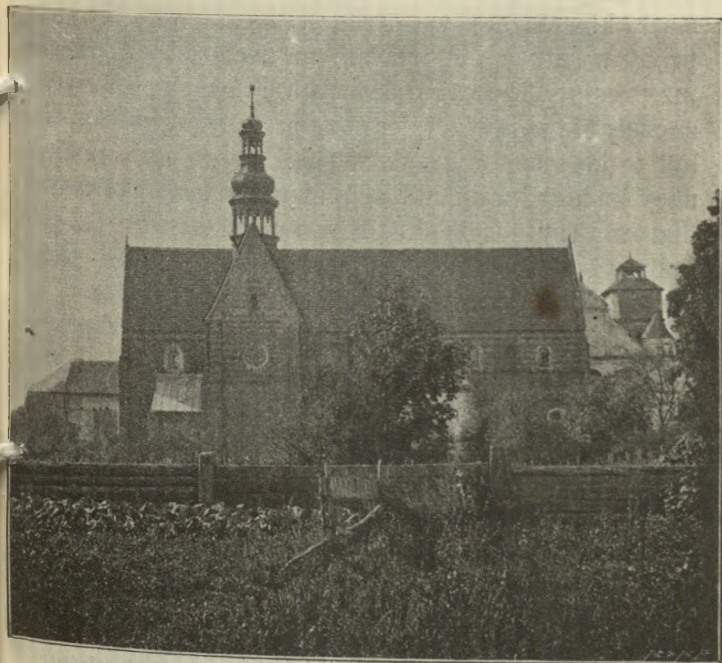
wie zasiadali na chórze, śpiewając pieśni na chwałę Bożą, inni komenderowali gromadką braciszków, pracujących w polu, lesie lub warsztacie. W nowej swej osadzie zaczęli zwykłą pracę wysłańcy zachodu: padli pod razami siekiery odwieczne dzieci puszczy, skrzętny brat nawet korzenie starannie z ziemi wyciągnął i ukazało się poletko uprawne, gdzie zboże rodziło obficie, aby kolonję wyżywić. Ze ściętych olbrzymów puszczy klecono dachy nad głową, bystrą nawet Kamionkę zaprzężono do pracy, a choć tam gniewnie mruczała na narzucone więzy, musiała jednak pokornie obracać koła kilku młynów i folusza, a na dzień postu dostarczyć rybnej strawy.

Pod wieczór dzwon klasztorny wzywał do modlitwy i, rzuciwszy siekiery, rydle, lub kosy, szli ojcowie z braciszkami pospół, aby wieczornym hymnem podziękować Panu za dzień szczęśliwie przebyty.

Ale przyzwyczajonym do wspaniałych katedr nadreńskich lub normandzkich zakonnikom, jakże mizernym wydał się ten skromny przybytek, kędy Pana swego chwalili, jakże nie był on godnym tego wielkiego majestatu Odkupienia, który w sobie mieścił. Wkrótce też po przybyciu postanowiło nowe zgromadzenie postawić przybytek, godny nieśmiertelnej chwały Pana.

I oto jakiś nieznany z nazwiska autor, jakiś braciszek, którego imię wytarte zostało z pamięci nie tylko potomnych, ale i współczesnych, nakreślił plany tego domu Bożego, co przez 700 lat daje świadectwo wielkości swego twórcy.

Drugie i trzecie może 700 lat przejdzie i ta pobożna fundacja Gedkowa stać będzie, bo niespożyty też materiał do niej użyto.



KOŚCIÓŁ W WĄCHOCKU.

Gościenna ziemia opatowska otworzyła ofiarnie swe wnętrza dla miłych gości, wydając wyborny cios, a bezkształtne głazy pod dłutem wprawnych braci zaczęły przyodziewać się w prawidłowe kształty, pię-

trzyć jedno na drugie, przerzucać przez nawę śmiałymi sklepieniami i stworzyły tę całą epopeję cystersowskiej myśli i pracy.

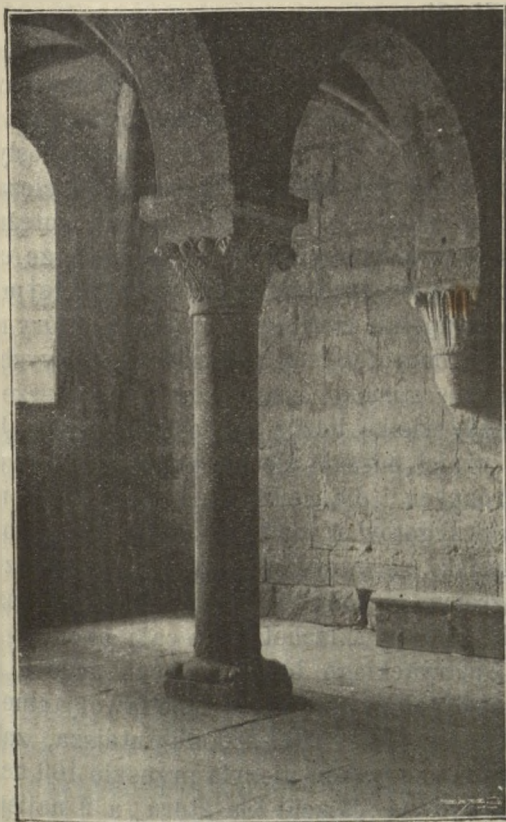
Częste podróże starszych zakonu do ojczyźnej matki klasztornej we Francji wskazywały im nowe prądy w sztuce. A właśnie na zachodzie zarzucono już prostotę i powagę dawnych romańskich świątyń, zaczęły się pojawiać pierwsze przebłyski gotyku. Nie był to jeszcze ów gotyk w pełni swego rozwoju biegący ku niebu wysmukłością swych rozczłonkowanych filarów i rzutnością sklepieniowych żeber, ale już półkolisty łuk romański załamał się w łagodne, jakby nieświadome jeszcze swej piękności, ostrołucze.

Taki to gnach z epoki przejściowej, z przedświtu gotyku, stanął w tej naszej Wąchockiej osadzie, a sam Gedko w roku 1179 uroczyście budowlę tę poświęcił. Kościół ten szczęśliwie ocalił całą swą prostotę i piękność z XII wieku, nie przerabianą, ani ozdabianą rękoma niepowołanych mistrzów. Kościół, w kształcie krzyża zbudowany, cały malowany wewnątrz, raz jeden tylko gruntownie był przerabiany po napadzie Rakoczego, który w r. 1656 klasztor, kościół i miasteczko złupił i spalił. Zniszczone wtedy zostało tutejsze archiwum, biblioteka i mnóstwo zabytków.

Do kościoła przylegają krużganki i zabudowania klasztorne, które zdumiewają swym ogromem i pięknnością.

Prawdziwymi jednak perłami tutejszej architektury jest kapitułarz, sala opacka i karceres klasztorny. Kapitułarz jest wsparty na 4 lekkich kolumnach

Z bogato rzeźbionych ich głowic rzucają się śmiało sklepienia, kończące się u ścian na również pięknie rzeźbionych wspornikach. Kolumny opierają się na



KAPITULARZ W WĄCHOCKU.

podstawach z potworkami dziwacznie powykrzywia-
nemi. Całość sprawia wrażenie lekkie, przezroczyste.
Już to rzeczywiście z rzeźb tutejszych miałby jaki
gabinet kilkanaście nadzwyczaj pięknych i niezwy-
kłych odlewów.

Jakże inną jest sala opatów. Zda się, że po-
tężni ci właściciele trzech miast i 40 wsi nawet nie
mogli w innej sali spełniać swych obowiązków. Jeden
olbrzymi filar w pośrodku, o formach niesłychanie
prostych, a energicznych, dźwiga na sobie ciężar skle-
pień całej sali, a sklepienia te są tak potężne, tak
pełne siły w swych ciosowych żebrach, że urągają
i urągają będą niszczącemu czasowi. Z sali tej przecho-
dzi się do zupełnie ciemnego karceresu, który mrowie
wywołuje ponurością swych zimnych ciosowych ścian.

Liczne gmachy klasztorne na parterze i pię-
trach mają wielką liczbę sal, cel i pokojów, boć też
musieli w nich mieścić się mnodzy bracia, a i dla go-
ści podróżnych i dla nędzarzy z różnych stron, trze-
ba było przygotować pomieszczenie. Słynął bo kon-
went tutejszy ze swej gościnności i miłosierdzia.

Ogromne ogrody otaczały gmachy klasztorne,
stąd szły szczepy szlachetne na całą okolicę. A za
rządu Austriackiego bujał po tych sadach zastęp
swawolnych żaków, niszcząc ojcom faworytalne grusz-
ki i jabłonie. W r. 1811 szkoła tutejsza, założona
z polecenia austriaków, liczyła przeszło 100 uczniów,
z tych 8 było na koszcie klasztoru, a 2 najlepszych
konwent wysyłał do akademii krakowskiej, dając im
po 1000 złp. stypendjum.

W korytarzu przy kościele wiszą dwa bardzo
miernego pędzla portrety, z tych jeden przedstawia
fundatora, wzmiankowanego wyżej biskupa Gedeona,
drugi zaś wielkiego dobroczyńcę klasztoru Bolesła-
wa Wstydlivego, który na prośbę matki swej Grzy-
misławy, nadaje dobrom klasztorным liczne przywile-
je, a jako stały dochód przeznacza im 9-tą część wy-
dobywanej w Bochni soli.

A potrzebował klasztor tej zapomogi na popra-
wę murów i pokrycie kościoła po napadzie Tatarów,
którzy go podpalili i wtedy to stopił się ołowiany
dach kościoła. Bolesław uwolnił dobra klasztorne od
wszelkich danin, opłat i ciężarów, wyłączył je z pod
władzy kasztelanów, wojewodów, poborców i sędziów,
oprócz własnego książęcego sądu.

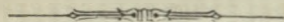
Do końca XV wieku opatami tutejszymi byli
cudzoziemcy, dopiero w roku 1461 wybrano na opata
pierwszego polaka Mikołaja Raduńskiego. Inny zaś
opat tutejszy, Konopacki, towarzysz podróży i wię-
zienia Jana Kazimierza, człek światły i gospodarny,
założył do dziś istniejące kuźnie w Bzinie i Stara-
chowicach, choć co prawda, już Długosz wspomina
o żelaznej fabryce we wsi Lenartowy pod Wącho-
ckiem.

Kościół tutejszy poszczycić się może pięknym
obrazem przedstawiającym „Wskrzeszenie Piotrowi-
na” znakomity jest pędzel tego obrazu z XVI lub
XVII wieku, a temat czysto krajowy dowodzi, że jest
to dzieło miejscowego mistrza. Z nagrobków są dwa

opackie, lecz bez wartości artystycznej. Nadzwyczaj jednak ciekawą jest płyta grobowa jednego z opatów może z XIII lub XIV wieku, bo postać rzeźbiona jest nie wypukło, lecz wklęsło, a dookoła biegnie napis gotykiem. O pomniku tym nie czyni wzmianki ani F. M. Sobieszczański, ani Wł. Łuszczkiewicz, którzy opisywali klasztor tutejszy, a według opowiadania miejscowego zakrystjana dopiero przed paru laty płytę ową wyjęto z podłogi w kapitułarzu, gdzie leżała smołą zalana i to ocaliło ją od zatarcia. Wogóle należy oddać sprawiedliwość miejscowemu proboszczowi za nader staranne i umiejętne czuwanie nad temi skarbami przeszłości.

Miasteczko samo ubogie (ma 2000 ludności), ale w chrześcijańskim sklepie dostać można obiad, lub śniadanie, a żydek pod klasztorem ma pokój dla nocujących. Wąchock odległy jest od Bzina wiorst 12 od Iłży wiorst 24. Dookoła otaczają go rozległe lasy rządowe, a cała okolica pofałdowaną jest w liczne pagórki, co dodaje jej wielkiej malowniczości. Kto wracać musi do Warszawy, jedzie stąd do Bzina na pociąg, jeżeli zaś jeszcze dzień mu zbywa, to może wziąć konie do Iłży, co kosztuje około 2 rub. 50 kop. i stamtąd na Radom wracać. Droga do Iłży ciągnie się prawie nieprzerwanie przez olbrzymie lasy starachowickie.

Wł. Łuszczkiewicz. Pionierowie gotycyzmu w Polsce. „Ateneum“, 1882. — Reszty romańskiej architektury dawnego opactwa cysterskiego w Wąchocku. „Spraw. kom. do badan. histor. sztuki w Polsce“, tom V, zesz. II.



I Ł Ź A.

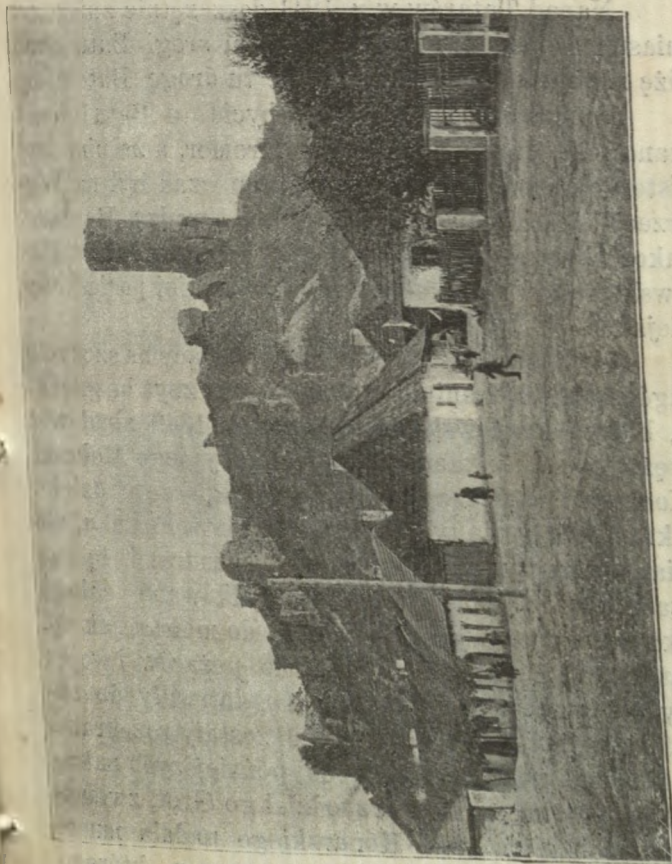


Miasto powiatowe gub. Radomskiej, nad Iłżanką, 3000 mieszkańców, od Warszawy odległe 125 wiorst.

Z Wąchocka wyjazd do dnia wiorst 24 końmi polską drogą, cena około rub. 2 kop. 50 powrót na Radom wiorst 28 szosą przez Skaryszew, cena furmanki około rub. 3, chodzą też karetki pocztowe i tańsze od nich omnibusy żydowskie po 30 kop. od osoby.

Między dwoma wyniosłymi wzgórzami rozsiadło się miasto, malowniczo rozrzucone, a panują i czuwają nad niem ruiny wspaniałego zamku biskupiego, bo Iłża od wieków do biskupów krakowskich należała. Nadzwyczaj piękne położenie nad Iłżanką i jeziorem pobudzało poetyckie wyobrażenie do legend o zamku i mieście. W poetyckiej też fantazji zrodziło się przypuszczenie, że nazwa Iłża powstała od wyrazów Jej Iża. Piękną legendę wysnuła na ten temat Kl. z Tańskich Hofmanowa, opowiadając o mło-

dym księciu, który, zapatrzywszy się na cudną okolicę, spadł z wieży zamkowej i śmierć poniósł, upadłszy na skały. Rozpaczła po nim i gorzkie łzy prze-



GÓRA I RUINY ZAMKU.

lewała strapiona matka i stąd miejsce to „jej łąką” zwać poczęto.

Prawdopodobniej jednak nazwa ta pochodzi od wyrazu łąka.

Napad Tatarów w r. 1241 doszczętnie zniszczył miasto, a podania mówią, że sam srogi Batu chan łąkę zdobywał, i dotąd pokazują tu drogę Batowską.

Pomimo, że Długosz o pobycie tu Batu chana stanowczo zapewnia, jednak Kromer, a za nim inni historycy prostują, że Baty pod ten czas był na Węgrzech, a horda na Polskę szła pod wodzą Bajdara. Jakoż nowsze badania dowiodły, że droga i łąka Batowska są czysto lokalną nazwą pobliskiej posiadłości miejskiej.

Gdy drewniany dwór biskupi, stojący na szczycie wzgórza, nie był ani dość okazały, ani zbyt bezpieczny, biskup krakowski Jan Grot w r. 1340 zbudował potężny zamek z kamienia, a następcy jego Mokrski i Konarski powiększyli i ozdobili rozpoczęte dzieło. Mokrski, dbały nie tylko o bezpieczeństwo zamku, ale i miasta, otoczył je całe obronnymi murami, łącząc z zamkiem w jedną wielką ufortyfikowaną całość. Kilka bram wieżowych prowadziło do miasta, jak np. Opatowska i Radomska, a pomimo pożarów i wojen mury te, monumentalnie stawiane, dotrwały do naszych czasów i dopiero w r. 1820 zostały rozebrane.

Zamek wskutek przeróbek późniejszych zatracił cechy gotyku, w jakie przyodził go Grot, zwłaszcza przeróbka za bisk. Konarskiego nadała mu te wdzięczne cechy krakowskiego renesansu, którego

biskup ten był wielkim zwolennikiem i stosował go tak pięknie w Bodzentynie (obacz). Kilka wież bodło szczytami obłoki, a straż z ich szczytu baczyla na



WŁADYSŁAW IV.



CECYLIA RENATA.

(Podług obrazów Dolabelli w pałacu Wilanowskim).

okolicę, czy nie grozi co bezpieczeństwu miasta i zamku. Stosując się do warunków gruntu, zamek

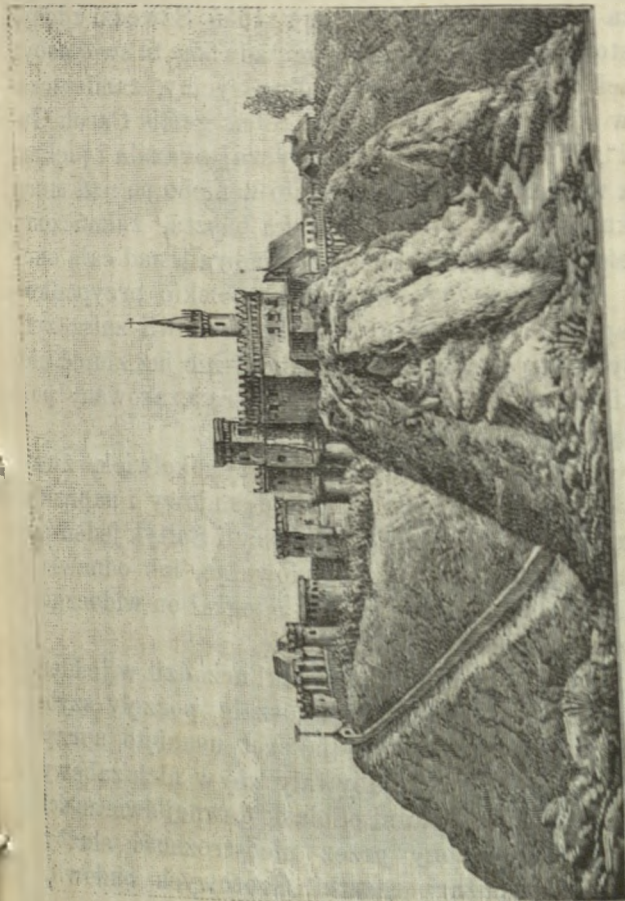
na dwie rozpadał się części, dolną i górną, a był skutkiem tego dość rozległy i wygodny. Nic też dziwnego, że tak jego właściciele, jak i koronowani panowie Polski często tu gościli.

Już Jagiełło w r. 1410 bawi tu dni kilka, gdy po szumnych zapustach odprawionych w Jedlni, na Ilżę, Opatów do Sandomierza ciągnie, odprowadzając szwagra swego grafa Hermana Cyllejskiego, który przywiózł mu oblubienicę Annę, wnuczkę Kazimierza W. W dziesięć lat później dogнали tu Jagiełłę posłowie cesarza Zygmunta, z usprawiedliwieniem się z nieślusznego sądu, jaki wydał cesarz w sprawie Korony z Krzyżakami.

Po bitwie pod Guzowem zatrzymuje się tu upojony tryumfem nad rokoszanami Zygmunt III i stąd dąży do Święto-Krzyskiego klasztoru, aby podziękować Bogu za zwycięstwo.

Jadąca do Warszawy narzeczona Władysława IV, Cecylja Renata, w d. 6 września 1637 roku tu zatrzymała się na krótki wypoczynek. Koronowany oblubieniec, nie mogąc się doczekać ujrzenia swej przyszłej małżonki, z kilku panami incognito przyjechał do zamku ilżeckiego i prosił o przedstawienie go arcyksiężniczce jako zwykłego szlachcica. Przy tej prezentacji, król, zachwycony wdziękami swej oblubienicy, mimowolnie uścisnął jej rękę, a Cecylja, poznaawszy po tem swego pana i króla, upadła mu do nóg z płaczem. Rozrzewniony król podniósł ją i pozostał do wieczora spędzając chwile na miłej pogawędce.

Zdarzenie to opisał w swym pamiętniku ks. Albrecht Radziwiłł, towarzysz młodej pani, a świadczy ono o tej miłej, pocziwej swobodzie warszawskiego



ZAMEK W ILŻY (według Puffendorfa, 1655).

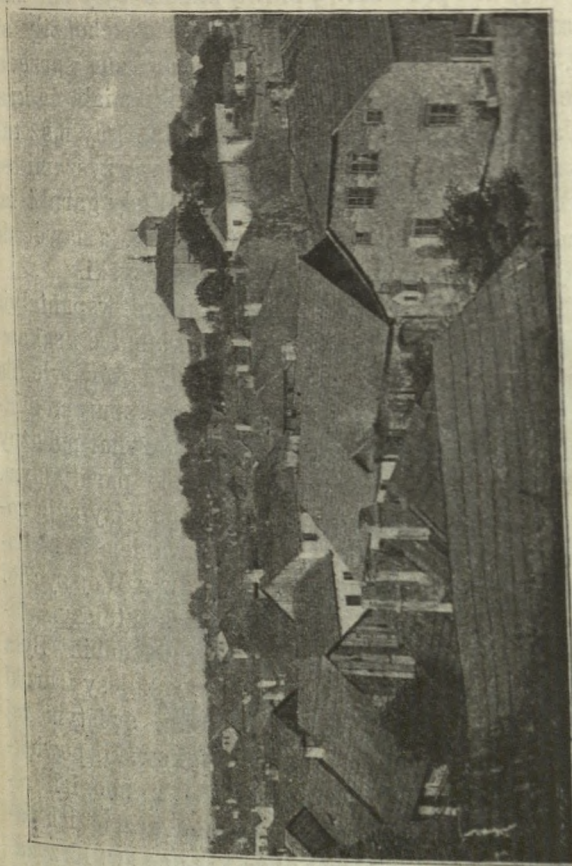
dworu, którą po surowej etykiecie Zygmunta III odetchnął pod jego synem.

W osiemnaście lat później, gdy grom za gromem w skołataną Rzeczpospolitą uderzał, nie uniknęła i Ilża powszechnego losu: w r. 1655 Szwedzi zdobyli miasto i zamek, krwią i pożogą znacząc tu swój pobyt. Zamek runął w gruzy, a według ryciny, zamieszczonej w dziele Puffendorfa „De rebus gestis Caroli Gustavi“, była to budowla nadzwyczaj okazała i piękna: kilka wyniosłych wież strzelało w niebo po nad mury zamku, środkowa okrągła lekka baszta, zakończona w guście wieży marjackiej, dominowała nad całą okolicą. W następnym roku wojsko polskie przypadkowo zapuściło ogień, który resztki budowli zniszczył, a przybywający w r. 1657 Rakoczy nic już złupić nie mógł i, przeklinając całe miasto, rozczerowany pociągnął dalej.

Gdy zawierucha uspokoiła się cokolwiek, zwa-wo zakrzętnęli się biskupi koło odbudowy i naprawy zamku. Trzebicki, Lipski, Załuscy i Sołtyk jeden po drugim upiększali zamek, dobudowując, lub odnawiając zniszczone komnaty, ale już odegrał on widocznie swą rolę i skazany był na zagładę.

Po rozbiórce rząd austriacki urządził w jednym skrzydle lazaret, inne zaś opustoszałe, poczęły szybko chylić się w ruinę. Gdy lazaret usunięto, uprzętnęli Ilżanie kilka sal, i odbywały się w nich zabawy publiczne. Był to ostatni odblask dawnej świetności i chwały. Zapruszony przez nieostrożność służby ogień łakomie pożarł resztki Grotowych budowli,

spłonęło owe kilka sal, a w rozszałającym żywiole zginęło wiele pozostałych jeszcze pamiątek, między innymi zaś wspaniałe portrety biskupów krakowskich.



WIDOK MIASTA.

Miasto bezpiecznie wśród swych warownych murów siedziało pod opiekuńczą dłoń biskupów, rozwijając się pomyślnie. Liczni tkacze i sukiennicy mieszkali tutaj, ale prawdziwą sławą miasta były one znane garnki Ilżeckie, które po całym rozchodziły się kraju, a w Krakowie pod samym zamkiem sprzedawać je było wolno. Ilżeckie to garnki miała na króć sławnej pamięci pani Twardowska, gdy mąż tak srogą uczynił jej krzywdę, tłukąc z towarzyszami ten wyborowy towar. Dostawiane do Wisły garnki ładowano na statki i na nich do Gdańska, a nawet do Szwecji je słano, obficie ciągnąc z tego zyski.

O losie miasta radzili sławetni we wspaniałym ratuszu, który stylem swym żywo sukiennice krakowskie przypominał. Wymarli sławetni, a i ów tyle dla nich pamiętny gmach rozebrano wraz z murami miasta w r. 1820. Uroczyste święto rozpoczynał pobożny lud tutejszy od nabożeństwa w kościele parafjalnym, którego erekcja ginie w niepamięci, bo wizytacje notują, że świątynię tutejszą pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P. już w r. 1480 Stanisław z Wojszychb. Szeliga oficjał sandomierski, proboszcz tutejszy, starannie odnowił i w bogate sprzęty przyozdobił. Była też przy niej biblioteka w rzadkie rękopisy i druki bogata. Ale najwięcej ku upiększeniu świątyni tej przyczynił się biskup Marcin Szyszkowski, powiększając ją i odnawiając. Szyszkowski z ubogich rodziców urodził się w Ilży, a, pragnąc uczcić ich pamięć, dobudował przy farze dużą kaplicę św. Krzyża, gdzie prochy rodziców złożył, wspaniałym ozdobił

grób pomnikiem. Dotąd z tej jego restauracji zostało kilka bardzo pięknych obrazów w ołtarzach, a w zakrystji kilka pięknych sprzętów kościelnych z XVI i XVII wieku.



Kościół w Skaryszewie.

Prócz fary Ilża posiada jeszcze kościół św. Ducha, założony w r. 1448 przez kardynała Oleśnickiego. Na górze zamkowej między basztami urządzona była kaplica, zwrócona do miasta; gdy w niej odby-

wało się nabożeństwo, lud, w rynku klęcząc, modlił się gorąco, uczestnicząc w św. Ofierze, którą wybor- nie widać stąd było. Straszne pożary kilkakrotnie miasto niszczyły, najbardziej jednak srożył się pożar w r. 1744. O czem opiewa wmurowana w ścianę kościoła tablica, gdzie w patetycznych wyrazach jakiś pseudo-klasyk woła: „Jak Troję, tak i Ilzę, dzieło wieków, pożar w ciągu trzech godzin zniszczył“.

Dziś z zamku baszta i trochę murów się pozostało, miasto biedne i martwe, a mieszkańcy narzekają na brak środków do życia i zarobkowania, choć po dawnemu jeszcze garnki lepia.

Z zamku widok rozciąga się tak cudny, że trudno powstrzymać okrzyk zachwyty, a jednak długo bawić tu nie można, by zaś, zapatrzywszy się, nie skończyć, jak ów legendowy książę, lub nie zamrzeć z głodu.

Jak w każdym naszym miasteczku dostać tu obiadu lepszego nie można, ale kielbasy kawałek, lub talerz mleka się znajdzie, najlepiej jednak nie zwłócząc ku Radomiowi ciągnąć, dokąd dobre cztery mile szosą wędrownika czeka. Droga ciągnie się wśród malowniczych wzgórz, a po drodze Skaryszew zobaczyć można.

Skaryszew miał niegdyś zamek, i zjeżdżali doń na zjazdy synowie i wnuki Krzywoustego. W zamku tym gościła ks. Grzymisława z synem Bolesławem Wstydlwym i żoną jego św. Kingą. Nabożnej tej pani, jak opiewa legenda, pewnego razu djabeł zastąpił drogę, gdy do kościoła wchodziła. Przybrał on

kształt odzianej w płachtę baby, wyższej od wieży kościelnej. Nieulękniona księżna znak krzyża świętego uczyniła, djabeł przerażony umknął, a drzwi kościoła same się otworzyły przed świętobliwą niewiastą.

Trzy wiorsty od Skaryszewa we wsi Odechowie stoi doskonale zachowany kościół ceglany z XV wieku, fundowany przez naszego znakomitego Długosza. Pozostały w nim szczątki pięknie malowanych okien, a ceglany jego kolor wszedł w przysłowie, gdyż w okolicy często mówią: „czerwony, jak odechowski kościół“.

Od Skaryszewa 12 wiorst już tylko mamy do Radomia.

R A D O M.



Radom miasto gubernialne, 35.000 mieszkańców, nad rzeczką Mleczną, dopływem Radomki, odległe: od Warszawy 95 wiorst, od Kielc 73 wiorst, od Lublina 105 wiorst, od Sandomierza 108 wiorst, od Piotrkowa 106 wiorst. Stacja kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej wiorstę odległa od miasta. Dorożka ze stacji do miasta 30 kop.

Hotele: Europejski, Rzymski, Francuski, Polski, Sandomierski, Radomski, Krakowski, przy hotelach są restauracje, posiada 3 cukiernie.

Z Warszawy ze stacji drogi żel. Nadwiślańskiej na Iwangród droga trwa godzin 6, bilet klasy III kosztuje rub. 2 kop. 19, zaś bilet powrotny o 30% taniej.

Wątpić należy, czy rzeczywiście nazwa tego miasta powstała, jak mówią, ze złożenia wyrazów Radom, t. j. miejsce, gdzie odbywały się rady czy wiece, przyznać jednak należy, że założenie w tym punkcie miasta było niezbędnym wynikiem geograficznego położenia tej miejscowości.

Stoki małopolskich wzgórz spadają łagodnie ku płaskim dolinom Pilicy i Wisły. Na granicy pomiędzy temi odmiennymi warunkami gruntu dążą w różne strony gościńce handlowe, które w tym punkcie się przecinają. Szła tedy droga na północ ku Mazowszu, na południe do Krakowa, na wschód przez Lublin na Ruś i ku zachodowi do Wrocławia. Pobliskie przeprawy przez Pilicę pod Białobrzegami i przez Wisłę pod Górą Puławską, o parę mil zaledwie stąd odległe, podnosiły handlowe znaczenie tego miejsca.

Już też w roku 1154 spotykamy w dokumentach nazwę Radomia, a przez długie wieki żaden z koronowanych dziedziców Polski nie ominął tutejszego grodu. Synowie Krzywoustego często tu gościć musieli, boć tedy wypadała im droga z Krakowa na Mazowsze. Stąd to wdowa Leszkowa Grzymisława ze swem królewskim pacholęciem udała się na ów zjazd ze zdraździekim Konradem Mazowieckim, co pod pozorem traktatów i umów zwaabił ją w roku 1224 na zjazd „przeprawy przez Pilicę u Wierzbicy“, a stąd ją porwał i uwięził w Czersku.

Piastowie często tu przebywają, a mieli za mieszkanie zamek na wzgórzu „Piotrówka“, gdzie i kościół św. Piotra się wznosił. Obok rozłożyło się miasto, które dzięki wspomnianym drogom handlowym wzrastało znacznie.

Ala „wielki budownik“ Kazimierz obok istniejącego już miasta zakłada Nowy Radom, obwodzi go

murem warownym, zamek stawia nowy i kościół św. Jana Chrzciciela z muru wznosi. W dawnej Hżeckiej baszcie wmurowany był tu kamień z napisem „Opus regis Casimiri 1357“.

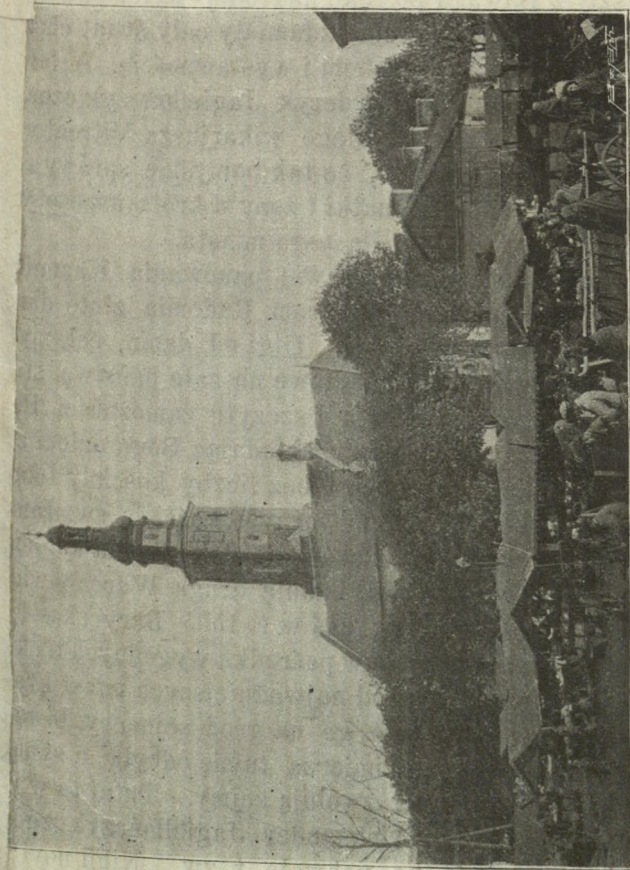
Ludwik Węgierski wyznacza Radom, jako gród sądowy, a po jego śmierci 29 października r. 1382 bawi tu śmieszny i niefortunny pretendent do korony Polskiej Zygmunt Luksemburski, dążący z Krakowa do Brześcia.

Prawdziwie jednak pomyślne dni dla Radomia zajaśniały pośród dobroczynnych promieni Jagiellońskiego słońca. Sam Władysław często tu bawi, stąd liczne przywileje i akty datuje, lub na łowy do puszczy okolicznych wyrusza, gdzie już i Kazimierz rad za zwierzem gonił.

Nietylko monarchowie często tu gościli, niemniej był lubiany Radom i przez ich koronowane małżonki. Więc w maju 1389 roku oczekuje tu swego małżonka królowa Jadwiga, a rada tu przemieszkuje ostatnia Jagiellowa żona królowa Zofja, księżniczka Holszańska. Długo stale mieszka tutaj Elżbieta rakuska, żona Kazimierza Jagiellończyka, bo radomskie małżeństwo „jej był względem wesela król małżonek puścił“ jak zapewnia Kromer. Zaczęła tę matkę królów zapewne otaczało owo liczne grono dziatki królewskich, które miało zabłysnąć tyłu koronami ziemi i niebieską koroną królewicza Kazimierza. Ich mistrze Długosz lub Kallimach nie opuszczali zapewne swych wychowanców, słowem wszystko, z czego tak

nym był ród królewski, a z nim i kraj cały, gościło często i długo w miłych murach Radomia.

Tutaj też posłowie Czescy ofiarowali koronę



Kościół FARNY.

swego kraju królewiczowi Władysławowi, który jako zacny „rex bene“ miał złączyć w swej dłoni królewskie berła Czech i Węgier. Tutaj i swaty książęce nadeszły z Bawarii po rękę nadobnej Jagiellonki Jadwigi, której gody weselne zdumiały cały świat chrześcijański swym przepychem i wystawnością. W farze Radomskiej odebrał Fryderyk Jagiellończyk oznaki kardynałskie z rąk wielkiego wikariusza Vitreatora.

Nic też dziwnego, że tak pomyślne sprawy rodzinne, że poparcie matki i żony u króla usposobiły go bardzo przychylnie dla tego miasta.

To też każdy rok prawie panowania Kazimierzowego przynosi mieszkańcom Radomia złote dary przychylności królewskiej. Ulgi od danin, ceł, myt, podatków, przywileje handlowe na całe państwo, stawiają mieszkańców miasta u szczytu zamożności. Pobożny mieszczanin tutejszy, składając Bogu dzięki za owe dobrodziejstwa, wznosi bez liczby kościoły i kaplice. I tak przy onym farnym kościele św. Jana Chrzciciela w r. 1426 Teodor Dydek stawia kaplicę św. Krzyża, w roku 1482 budują drugą Warcabowie, w r. 1495 Kościeniewie, zaś w r. 1505 Baryczkowie.

Położenie Radomia w pośrodku wygodnych traktów i nie zbyt odległe od najważniejszych miast kraju skłoniło do wybrania go na gród sejmowy, to też większość sejmów Kazimierza tu się odbyła, a synowie jego tutaj również zwołują sejmy. Tutaj to w r. 1505 zmuszony był Aleksander Jagiellończyk zgodzić się na sejmie na uchwałę t. zw. „Nihil novi“ orzekającą, że królowi nic nowego bez wspólnej zgo-

dy senatu i izby poselskiej postanawiać nie wolno, a aktem tym osłabił zupełnie władzę monarszą. Przy owej nieszczęśliwej ustawie „Nihil novi“ zatwierdzono też zebrany przez kanclerza W. Kor. Statut praw t. zw. „Statut Łaskiego“, obejmujący prawodawstwa Kazimierza W., Ludwika i Jagiellonów.

Zygmunt Stary z małżonką gościł tu wielokrotnie, a dłużej przemieszkiwała tu córka ich Izabella kr. Węgierska.

18 września 1548 roku zjechała do Radomia cudna małżonka Zygmuntowa, Barbara Radziwiłłówna, po którą wyjechał stęskniony małżonek na ćwierć mili przed miasto w licznym orszaku panów i dworzan. Czarnem lioniskiem suknem wysłano drogę, bo żałoba po ojcu na inne nie pozwalała. Szła po tym kirze żalobnym rozkochana para królewska, a Barbarze to pierwsze miasto małopolskie żalobną było stacją na cierniowej drodze żywota. Cztery miesiące gościła tu Barbara, czekając końca burzy, co gromami brzemienią zbierała się nad jej jasną głowę. Tęskniąc za królewskim swym ukochanym, wyjechała do Korczyna, aby być bliżej niego, swego kochania. Nietrwale szczęście było jej sądzone, ni miłość małżonka, ni blask korony nie odpędziły śmiertelnej choroby i już w trzy lata po onym w kiry spowitym wjeździe, wraca Radziwiłłówna przez Radom do ukochanej Litwy nie w karocy już, jeno w trumnie czarnej.

Złamany król do śmierci chował w sercu wspomnienie uroczych choć krótkich dni szczęścia z ukochaną Barbarą, a gdy w nowe małżeńskie zakuto go

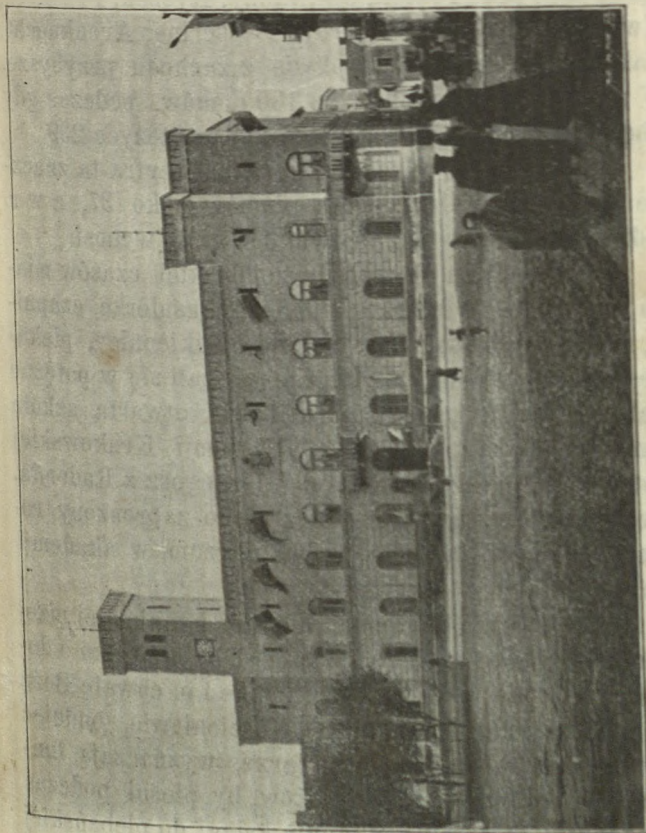
wieży, tworząc polityczne małżeństwo z Katarzyną Rakuską, król nie rad widział ją przy sobie. Katarzyna prócz cesarskiego rodu nic nie miała za sobą, jako kobieta. Była brzydką i cierpiała wielką chorobę. To też, gdy ujrzał ją raz król podczas ataku, tak się do niej zniechęcił, że oddalił ją od dworu i Radomski zamek na pomieszkanie jej wyznaczył. Gorzkie łzy lała cesarska córka w zapomnieniu tu żyjąca, a legat papieski Commendoni wioził jej słowa pociechy do tutejszego miasta.

Batory, Anna Jagiellonka, Wazowie, wszyscy gościli w murach Radomia, a 12 sierpnia 1656 roku stanął tu kwatery w domu mieszczanina Gąski, zwycięski król szwedzki Karol Gustaw i stąd rozporządził całością państw Polskich: sam wziął Kujawy, a drugą ich część, oraz Prusy, Pomorze, Podlasie, Żmujdź i Kurlandję wyznaczył elektorowi brandenburskiemu, hr. Słuckie i woj. Nowogrodzkie otrzymali Radziwiłłowie, jako niezależne państwo, kozakom wyznaczył Ukrainę, a resztę korony, Litwę i tytuł królewski ofiarował Rakoczemu. 5 stycznia 1698 roku witali tu jadącego po raz pierwszy do Warszawy Augusta Sasa senatorowie, dawni stronnicy Kondeusza, a król miłościwie darować im to raczył.

Tu wreszcie pod wodzą ks. Karola Radziwiłła „panie kochanku“ 23 czerwca 1767 r. zawiązano konfederację radomską.

Była w Radomiu kasztelanja i starostwo. Już roku 1282 podpisuje dokumenty Marek kasztelan Radomski, a w r. 1370 ukazuje się Bartosz starosta Ra-

domski. W r. 1409 Dobrogost Czarny z Odrzywołu star. tutejszy kieruje robotami przy budowie mostu łyżwowego w Kozienicach, który został splawiony pod Czerwińsk, gdzie Jagiellove wojska przeszły Wisłę, dążąc po laury Grunwaldu.



ZAMEK

Choć prawdziwie zamożną była ludność miasta, nie była jednak nigdy zbyt liczną, widać niechętnym okiem patrzyli sławetni na nowych przybyszów, a patrycjat miejski, jak wogóle w miastach naszych, był narodowościowo mieszany. Obok czysto polskich mieszczan jak: Piątek, Jedwabny, Ryzek, Przekora, Kwapisz, Kądziała, figuruje Bessering, Arenknecht, Falk lub Kunat niewątpliwie z zachodu przybysze. W r. 1580 Radom ma tylko 180 domów, podczas gdy Chęciny mają ich 296, Zwolen 258, a Stężyca 239.

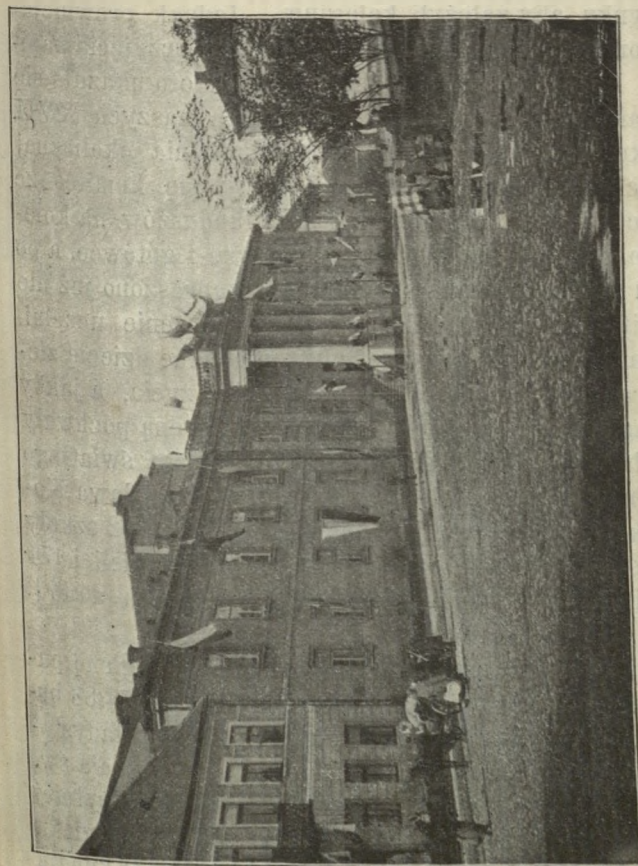
Po wielkich wojnach i zarazach cyfra ta znacznie maleje: w r. 1660 liczą domów tylko 37, a w r. 1662 ludność miasta zaledwie 395 głów wynosi.

A jednak za błogich Jagiellońskich czasów miasto rozwijało się szybko. Tkacze, kuśnierze, czapnicy, złotnicy, rzeźnicy, prasołowie, sukiennicy, piekarze, szewcy, krawcy, winiarze wiązali się w potężne cechowe związki, przy parafji była otwarta szkoła i znaczną ilość uczniów do Akademji Krakowskiej dostarczała. Już w roku 1597 Grzegorz z Radomia, a w rok później zapewne przez niego zaproszony rodak Klemens z Radomia są bakałarzami w akademji Pragskiej.

Mieszczanin Radomski nie stoi bynajmniej niżej od swego Krakowskiego sąsiada. Dbą nie tylko o dobrobyt materialny, lecz troszczy się i o chwałę Bożą i o rozwój nauki i sztuki. Kościeniowie, budując wzmiankowaną kaplicę przy farze, wyznaczają fundusz dla rektora szkoły i żaków, by pieśni podczas nabożeństw śpiewali. Skupują księgi do plebańskiej

księżnicy i ta w r. 1539 posiada 470 wielkich łącin-
skich i polskich dzieł.

Wojny szwedzkie tak wyniszczyły miasto, że

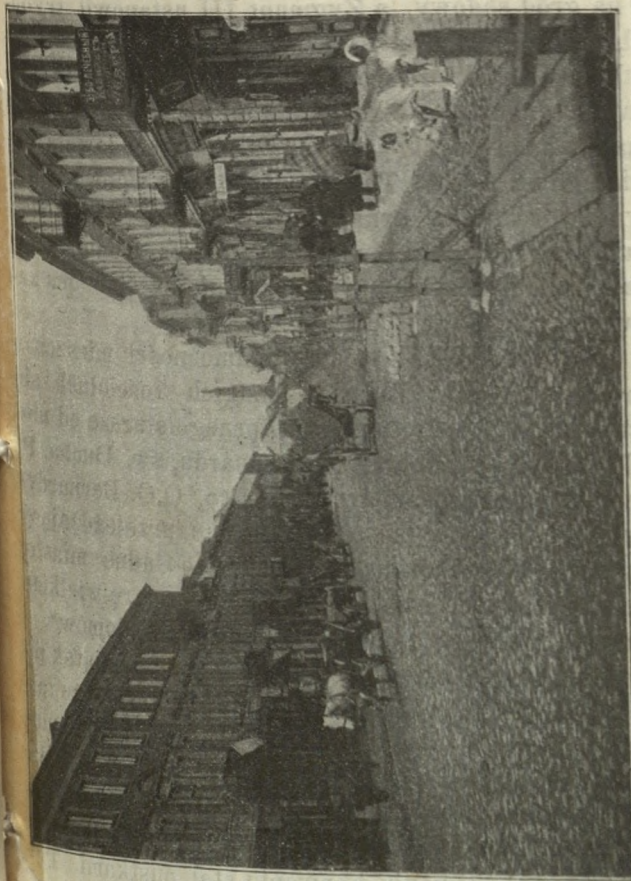


GIMNAZJUM MĘSKIE.

brakło funduszu na utrzymanie szkoły, ale i tu pełen ofiarności obywatelskiej mieszczanin radomski skwapliwie spieszy z pomocą. Jan Lewiński, mieszczanin tutejszy, oddaje w r. 1674 jezuitom własną kamienicę w rynku, aby założyli kolegium. Jednak prowincjał zakonu dla braku funduszy odmawia przyjęcia zapisu. Lewiński zmartwił się srodze. I oto ukazuje się tu tak niesłychanie rzadki w dziejach naszych XVII wieku fakt solidarności i współdziałania okolicznej szlachty i mieszczaństwa. Tworzy się komitet ze szlachty i mieszczan do zbierania funduszy na kolegium, Płyną obficie dary w naturze i gotówce, a po paru latach fundusze się zebrały i zaproszono już nie jezuitów, lecz O.O. Pijarów o otwarcie uczelni. Upragniona myśl mieszkańców, ukochane dziecię ziemi radomskiej zostało powołane do życia, a jakby w nagrodę za tę obywatelską i tak godną pochwały działalność, otrzymuje nowe to kolegium światłego rektora, którym był brat znakomitego Stanisława Konarskiego, O. Florenty Konarski. W r. 1752 szkoły tutejsze liczą rektora, prefekta, 3 nauczycieli i 174 uczniów, a już w r. 1782 ilość ich wzrasta do 371. W r. 1843 było 800 uczniów.

Dbali też mieszczanie Radomia o higienę publiczną i na prośby ich zezwala Jagiełło w r. 1388 budować drugą łaźnię „extra muros”. Żona Władysława kr. Zofja dla dawno istniejącego tu szpitala św. Ducha zapisuje na wieczne czasy korzec mąki żytniej tygodniowo z młyna na Pacynie. W XVII wieku doktor medycyny w Radomiu Andrzej Rusel kupuje

sobie pod miastem folwarczek, widać praktykę miał nie najgorszą, a aptekarz Szymon w r. 1606 składa w ofierze farze tutejszej srebrny trybularz i cztery



ULICA JUBELSKA.

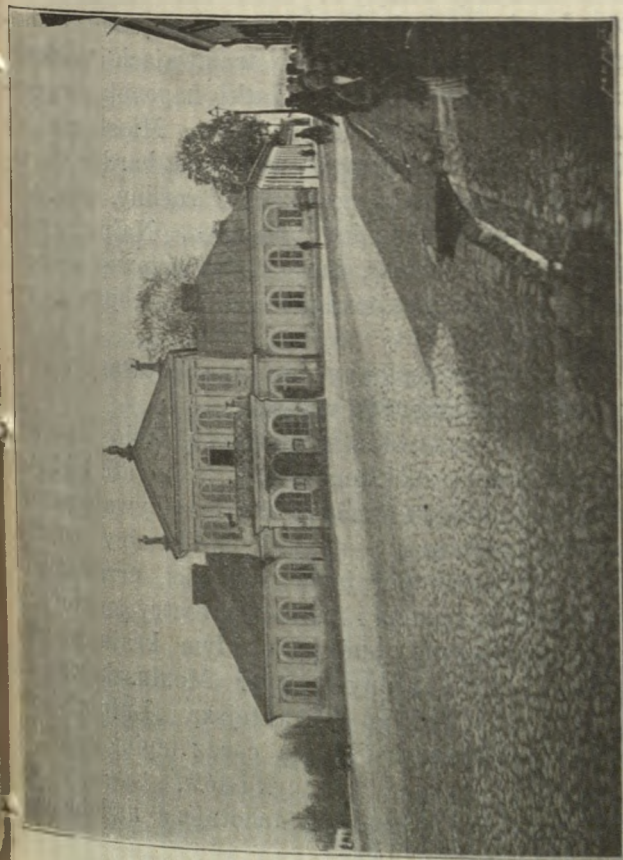
kocielki miedziane, co przypuszczać każe, że taksa aptekarska jeszcze w XVI wieku pozwalała dorobić się ładnego grosza.

Od czasów Ludwikowych Radom był wyznaczony na gród sądowy, a Zygmunt III ustanowił trybunał, zwany Komisją Radomską, sądzący sprawy podatkowe i niektóre wojenne. Osobliwe było tu stosowane prawo, że skazanego na śmierć przestępcę ulaskawiano, jeżeli jakaś kobieta zdecydowała się wziąć go za męża. Tak w r. 1654, gdy wdowa Katarzyna Kozłowska oznajmiła, że bierze za małżonka skazanego w Radomiu na śmierć Józefa Konińskiego egzekucję wstrzymano i zaraz dano im ślub bez zaowiedzi.

Wśród opieki królów i zamożności mieszczaństwa wzrastała chwała Boża w mnogich kościołach się krzewiąca. A były tu oprócz farnego starsze od niego kościoły; św. Piotra, św. Leonarda, św. Ducha, P. Marji, lub późniejsze św. Wacława, O.O. Bernardynów, Pijarów, p.p. Benedyktynów, a przejeżdżając tędy w r. 1671 Verduin pisze „jest to ładne miasto otoczone murami, znajduje się w niem parę wielkich kościołów i mnóstwo dobrze zbudowanych domów”.

Jakże mało niestety pozostało dziś pamiątek po owej świetności Radomia! Aż dziw pomyśleć, że tutaj zatarły się jego zabytki. Kościół Marjacki zamieniono na magazyn, a później na teatr, gdzie w r. 1810 debutowała sławna Żuczkowska (Halpertowa) w 1830 teatr zamieniono na kościół ewangelicki. Kościół Pijarów po skasowaniu konwentu stał pustkami. T

tuż to urządzono ową sławną wystawę starożytności, gdzie osobiście odznaczył się zbiór medali zmarłego w roku bieżącym Dr. Rewolińskiego, dziś zaś mieści się tu gimnazjum.



REZURSA.

Z kościołów zostało tylko dwa: farny i Bernardynów, tych ostatnich fundował w r. 1468 Kazanowski, starosta radomski.

Miasto zamierza obecnie przystąpić do budowy nowej okazałej świątyni. Jest też w projekcie zaprowadzenie oświetlenia elektrycznego, zamiast obecnego naftowego, myślą też o tramwajach i wodociągach. Wzorowo urządzone jatki imponują swą czystością i higienicznym urządzeniem. Miasto ma dwa piękne ogrody, z tych ogród nowy jest bardzo starannie utrzymany, zdobią go rzadkie rośliny, oraz malowniczo urządzone ruiny zameczku. Najpryncypalniejsza ulica Lubelska przeszło wiorstowej długości zabudowaną jest pięknymi domami i ma bogate, wystawne sklepy.

W rynku stoi piękny ratusz, zbudowany w pierwszej połowie bieżącego wieku.

Życie towarzyskie grupuje się koło Resursy, gdzie jest piękna sala koncertowa, a bogata biblioteka składa się z 5000 tomów. Tu się odbywają przedstawienia teatralne, a dzielni mieszkańcy miasta spiesząc z pomocą cierpiącej ludzkości, urządzają z niebywałym trudem i nakładem teatru amatorskiego na cele dobroczynne, budząc w całym kraju rozgłos świetnością wystawianych oper Moniuszkowskich. Dzielną pomocą do tego jest tutejsza „Lutnia” i orkiestra amatorska, które się coraz lepiej rozwijają. Jest też i towarzystwo cyklistów.

Dzielna straż ogniowa ochotnicza nad bezpieczeństwem miasta czuwa.

Chociaż dziady z rzemiosła lamentują, że:

Taki to zwyczaj w Radomiu nastaje,
Gdzie dziś dziad pójdzie, to go każdy łaje:
Idź sobie dziadu do dobroczynności
Na zupeł z kości.

jednak przyznać trzeba, że tutejsze towarzystwo dobroczynności swą energją za wzór służyć może kolegom z innych miast kraju.

Towarzystwa Kredytowe Ziemskie i Miejskie mają tu swe siedziby. Prócz tego istnieje Kasa przemysłów, oddział Banku Państwa i Banku Handlowego Łódzkiego. Miasto posiada 8 browarów, 6 garbarń, fabrykę zapalek, guzików, terrakoty, hutę szklaną, młyn parowy, warsztaty główne drogi żel. Iwan-Dąbrowskiej i główny zarząd tej drogi.

Gimnazjum męskie i żeńskie, oraz kilka szkół prywatnych krzewi światło, a o sprawach miejscowych i ogólnych dzielne artykuły pisze organ miejscowy „Gazeta Radomska” (wychodzi 2 razy na tydzień w Środy i Soboty, ma 700 prenumeratorów),

W Radomiu ujrzał światło dzienne znakomity nasz i tak ceniony doktor ś. p. Tytus Chałubiński.

Ks. Ign. Polkowski. Ze starej przeszłości Radomia. „Gazeta Radomska”. 1884.

Ks. Fr. Siarczyński. Opis powiatu radomskiego. Warszawa. 1847.

— Radomianin. Warszawa. 1848.

Ks. Gacki. Stary Radom i jego kościoły, Radom i Fara Nowo-Radomska. „Pamięt. relig. moral.“. Warszawa. 1855—7.

J. Sapalski. Pogląd na historję naturalną gub. Radomskiej. Radom. 1862.

F. M. Sobieszczęński. Wycieczka archeologiczna po gub. Radomskiej. „Bibl. Warsz.“. 1852.

„Tygodnik illustrowany“. 1864, tom X, str. 348 i 440. 1866, tom VIII, str. 204. 1880, tom IX, str. 157, 171 i 187.

BIBLIOGRAFJA.

Do geografji.

Dr J. Bunzener. Obraz przemysłu w kraju naszym. Odbitka ze „Słowa“. 1886.

K. Krynicki. O Wiśle, jej dopływach i miastach nad nią leżących. Warszawa. 1885.

K. Krynicki. Rys geografji Królestwa Polskiego. Warszawa. 1887.

W. Pol. Obrazy z życia i natury. Kraków. 1869 — 1871.

W. Nulkowski. Geograficzny rzut oka na dawną Polskę. Odbitka ze „Słownika Geograficznego“. 1888.

J. Siemiradzki i prof. E. Dunikowski. Szkic geologiczny Królestwa Polskiego, Galicji i krajów przyległych. Warszawa. 1891.

Dr Antoni Rehman. Ziemia dawnej Polski. Lwów. 1895.

Do etnografji.

Gołębiowski. Lud polski, jego zwyczaje i zabobony. Warszawa. 1830.

Wacław z Oleska (Zaleski). Pieśni ludu galicyjskiego. Lwów. 1833.

J(ózef) K(onopka). Pieśni ludu krakowskiego. Kraków. 1840.

Wójcicki. Klechdy, starożytne podania i pieśni ludu polskiego. Warszawa. 1837.

Buliński. Powieści ludu. Warszawa. 1842.

Mich. Zieleniewski. O przesądach lekarskich ludu naszego. Kraków. 1846.

Mączyński. Włościanie z okolic Krakowa. Kraków. 1838.

Oskar Kolberg. Lud, Kieleckie 1885—6, Radomskie 1887—8.

Ks. Wł. Siarkowski. Wesela włościan z okolic Sobkowa i Chmielnika. Kielce. 1871.

Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. (Wydaw. Kom. antropol. Akad. Umiejętności).

„Wisła“.

Do archeologii.

„Wiadomości archeologiczne“. Warszawa. 1873, 1874, 1875, 1876 i 1882.

„Rocznik dla archeologów“. Kraków. 1869—1874.

„Zapiski archeologiczne poznańskie“.

Artykuły w I) „Bibliotece Warszawskiej“, II) „Ateneum“, III) „Pamiętniku Fizjograficznym“.

„Światowit“, rocznik. Warszawa. 1899.



Informator po mieście Kielcach.

CUKIERNIA

M. VIWEGERA

CUKRY, CIASTA, TORTY, PIRAMIDY, LODY.

Trzy bilardy na pierwszym piętrze.

KIELCE, STARY RYNEK.

Cegielnia. *KAROL SIEKLUCKI* poleca swe wyroby: cegłę, dachówki i kafle w różnych gatunkach. Kielce, ulica Szeroka № 597.

Dom bankowy, księgarnia, skład nut i materiałów piśmiennych. *M. GOLDHAAR*. Kielce, ulica Duża, dom własny.

Egzystujący od 1872 r. specjalny skład wyrobów tabaczných. *N. HASSENBEIN*. Kielce, ulica Duża, Hotel Europejski.

Egzystująca od 1853 r. parowa fabryka mydła do prania, sody krystalicznej, żywicy i manili do wywabiania plam. **T. KRZYŻKIEWICZ.** Kielce, ulica Duża, dom własny.

Fabryka parowa wyrobów z marmurów pod firmą „**OLĘDZKI**“ w Kielcach.

Fabryka wyrobów powroźniczych. **E. MILIŃSKI**
Specjalna fabryka lin konopnych i drucianych.
Kielce, ulica Pocztowa.

Handel win, spirytualji, towarów kolonialnych, wyrobów szczotkarskich, farb i lakierów. **ST. SZCZEPAŃSKI.** Kielce, Stary-Rynek № 7, dom Soltyskowskiego.

Handel win, likierów, koniaków krajowych i zagranicznych, towarów kolonialnych i delikatesów. **I. HÖNIGMAN.** Główny skład cytryn i pomarańcz, en gros i en detail. Importacja bezpośrednia. Firma egzystuje od r. 1835.

Hotel Bristol. 44 numery, sala balowa, pokoje przyboczne, łazienki, lokal restauracyjny z gabinetami. **R. PIWOWARSKI.** Kielce, ulica Konstantego, dom własny.

Magazyn ubiorów męskich. **L. CELEWICZ.** W Kielcach ulica Duża róg Pocztowej, a w Radomiu ulica Lubelska № 146.

Magazyn towarów galanteryjno-norymberskich, skład białizny, kapeluszy, ceraty, linoleum, wyrobów platerowanych i wszelkich przyborów podróżnych, **S. SZAROGRODER.** Kielce, ulica Duża, dom M. Goldhaara.

Restauracja pierwszorzędna. Kielce, Hotel Polski. **A. SZERSZYŃSKI.**

Skład materiałów aptecznych pod firmą **S. WIERZBICKI i S-ka.** Kielce, róg ul. Dużej i Leonarda.

Skład spirytualji rektyfikacji warszawskiej, koniaki, likiery, wina zagraniczne, **I. ANDERSZEWSKI.** Kielce, Stary Rynek, dom własny.

Skład win, herbaty, towarów kolonialnych, prochu, broni myśliwskiej, rowerów i przyborów do takowych. **WŁ. DEGELMAN.** Kielce, ulica Duża, dom Jeziorowskiego

Skład szkła, porcelany, galanterji szklanej i lamp. **R. PIWOWARSKI.** Kielce, róg ulicy Dużej i Pocztowej, dom Nowaka.

Sprzedaż wędlin i wyrobów masarskich. **KSAWERY SIEKLUCKI.** Kielce, Stary Rynek.

Zakład artystyczno-fotograficzny **ST. RACHALEWSKIEGO,** nagrodzony medalem w r. 1898. Kielce, ulica Duża, Hotel Europejski.

Zakład fryzjersko-perukarski oraz galanteryjny poleca: koszule, kołnierzyki, mankiety, krawaty, spinki, rękawiczki, perfumy i szczotki do włosów. **W. ŁOSAKIEWICZ.** Kielce, ulica Duża, dom Olewińskiego.

Zakład optyczno-tokarski poleca w wielkim wyborze: okulary, konserwy, binokle, lornetki, barometry, przyrządy chirurgiczne i t. d.. **K. SOCZEK.** Kielce, ulica Duża, dom Krauzego.

WYCIECZKI PO KRAJU.

AL. JANOWSKI.

Wsp. Kom. Hist. Szt. Ak. Um. w Krak.

WYCIECZKI PO KRAJU

II.

OPATÓW. — UJAZD. — KLIMONTÓW. — OSSOLIN.
SANDOMIERZ.



Z KSIĘGOZBIORU
STEFANA HEMPLA

WARSZAWA.

NAKŁAD AUTORA.

Skład główny w księgarni Jana Fiszera,
Nowy-Świat 9.

1900.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Февраля 1900 года.

PRZEDMOWA.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie
co nasze.

I ludzie mi drodzy i mili...

T. Lenartowicz.

Zyczliwe przyjęcie, jakie ze strony naszej prasy spotkało pierwszy zeszyt moich „Wycieczek po Kraju“, utwierdziło mnie w przekonaniu, że sprawa poznawania ojczystego kraju przez podróże po nim jest dla naszego ogółu bardzo żywotną i interesującą.

Życzliwość ta zachęciła mnie do dalszej pracy w podjętym kierunku, a gdybym jeszcze wiedział, że choć w drobnej części przyczynię się do rozbudzenia miłości do ojczystego gniazda, byłbym nadwyraz szczęśliwym.

Zpomiedzy wielu pięknych okolic naszego kraju wybrałem urocze strony Sandomierskie, które od dawna nęciły turystów, a w naszej literaturze podróźniczej mają swą historję.

Na początku naszego wieku odbywała drogę do Sandomierza nasza znakomita Klementyna z Tań-

skich Hoffmanowa, a w kilkadziesiąt lat po niej dążyła jej śladami pieśniarka nasza Deotyma.

Obie te wrażliwe poetyczne natury żywo odczuwały piękność zwiedzanej okolicy, a sądzę, że i każdy wędrownik, deptający te ścieżki, wyniesie nie mniejsze zadowolenie ze swej wycieczki.

Patrząc na szumiące złotym kłosem sandomierskie niwy, odbiera człek wrażenie wysokiego zadowolenia z bogactwa tych stron i zda się czuć współwłaścicielem żyznej gleby i bujnych plonów.

Lud wszędzie spotka gościnny, serdeczny i uprzejmy, a gościnność ta i serdeczność cechuje wszystkie warstwy ludności tych stron, bo czy w chacie, czy na plebanji, czy we dworze zmuszony jest zatrzymać się podróżny, wszędzie z jednakiem sercem powitają go życzliwie i, czem chata bogata, tem przyjmą.

Samo miasto Sandomierz, tak ważny gród w historii naszego narodu, za Władysława Hermana zwany już „stolicą“, a kończący swą rolę historyczną wiekopomnym szturmem gen. Sokolnickiego w r. 1809, może poszczycić się wielką ilością opisów i monografji, jakich zda się nie posiada żadne inne miasto naszego kraju.

Materiały opisowe dotyczące Sandomierza i jego okolic mogłyby stanowić sporą biblioteczkę, miałem więc skąd czerpać dane do swej pracy. Nadto, ponieważ pierwszy zeszyt Wycieczek, oprócz innych braków, szwankował na punkcie materiałów statystycznych, starałem się uniknąć tego w niniejszym zeszycie, wprowadzając trochę wiadomości tego ro-

dzaju z wydawnictw Warszawskiego Komitetu Statystycznego.

Umieszczona na końcu zeszytu bibliografja, wskaże źródła, skąd czerpałem materiały, a które to źródła mogą posłużyć czytelnikowi do bliższego zaznajomienia się ze zwiedzanem miastem i jego okolicami.

Teraz zaś życzę turyście pięknego dnia na podróz do tego Piastowskiego gniazda.

Al. Janowski.

Wycieczkę w okolice Sandomierza, można uważać za najprzyjemniejszą w kraju. Nawet góry Św. Krzyskie nie mają tak wielu pięknych i rozmaitych widoków, gdyż niezbyt obfitują w duże rzeki i wody, których tutaj jest poddostatkiem. Cała wycieczka może trwać 4 — 5 dni, i należy przedsiębrać ją w następującym porządku, a mianowicie:

*Droga z Warszawy na Iwangród-Skarżysko (Bzin)-
Ostrowiec.*

Bilet z Warszawy (Nadwiśl.) do Ostrowca kosztuje kl. III 2 r. 40 kop., kl. II 3 r. 60 kop.; bilety powrotne z Warszawy wprost do Ostrowca wynoszą kl. III 3 r. 60 kop., kl. II 5 r. 40 kop.; wracając należy bilety powrotne stępować w kasie stacji Ostrowiec.

Dla oszczędności czasu najlepiej wyjechać nocnym pociągiem z Warszawy na Iwangród do Skarżyska, dokąd idą wagony bezpośrednio, w Iwangrodzie więc nie trzeba się przesiadać. Droga ta trwa godzin 8, a w Skarżysku pociąg staje wczesnym rankiem. Tu można zjeść śniadanie na stacji, na co

jest przeszło godzina czasu, następnie zaś przesiąść się do pociągu ostrowieckiego i zająć miejsce po prawej stronie, gdyż stąd obserwować można najpiękniejsze widoki.

Cała droga trwa dwie godziny, a idzie nad rozległą doliną wzdłuż lewego brzegu Kamiennej. Nad prawym brzegiem ciągnie się szosa, a cała dolina ujęta jest w dwa pasma wyniosłych wzgórz. Kamienna, która kiedyś płynęła całą szerokością tej doliny, obecnie zmalęła bardzo i wije się kręto wśród szmaragdowych łąk, roztaczając się miejscami w srebrzyste fale rozległych stawów. O parę wiorst od Skarżyska nad brzegiem rzeki wznosi się potężne opactwo Cystersów w Wąchocku: grupa ogromnych gmachów klasztornych panuje nad ubogiem miasteczkiem, a całość tworzy nadzwyczaj malowniczy krajobraz (ob. Wycieczki po kraju, Zeszyt I). Cała tutejsza okolica obfituje w bogatą rudę żelazną, stąd też rozwinął się tu wielce przemysł hutniczy. O parę wiorst od Wąchocka, po lewej stronie plantu, wznoszą się potężne, wielkie piece Starachowickie i stacja Wierzbnik. Całe zakłady starachowickie rozrzucone są po obu stronach plantu, a z każdym rokiem powiększają się znacznie.

Ze stacji Wierzbnik zaczynają się zwykle, lub tu kończą wycieczki w Ś-to Krzyskie, odległe stąd o trzy mile, a zaraz za stacją ukazuje się na krańcu widnokręgu pasmo gór Ś-to Krzyskich z bielejącym na szczycie Łysej góry klasztorem S-tego Krzyża (ob. Wycieczki po kraju. Zeszyt I).

Bardzo blisko za stacją po lewej stronie plantu wznosi się miasteczko Wierzbnik.

Miasteczko to założone zostało przez Cystersów wąchockich i aż do kasacji zakonu należało do nich. Z okien wagonu przedstawia ono bardzo wdzięczny obrazek, gdzie nad dachami miasteczka dominuje kościół, strzelający wysoko swoją białą wieżycą.

Za Wierzbnikiem droga żelazna zakreśla olbrzymi łuk; wyjrzawszy więc z wagonu po za siebie ujrzyć można prawdziwie piękny krajobraz. Cała dolina Kamiennej, jak otwarta karta księgi leży przed widzem: szmaragdowe łąki, kapryśna rzeka, liczne kominy fabryk i typowe nasze miasteczko z ową wysoką białą wieżą kościoła, stanowią całość nadzwyczaj malowniczą.

Ale i przed siebie teraz spojrzeć należy, roztoczył bowiem swe wody olbrzymi staw Michałowski, a na krańcu jego snują siwe obłoki dymu fabryki Michałowickie.

Na wzgórzu nad rzeką widać kościół w Michałowie, potem wieś i fabryki Nietulisko; droga zatacza znów wielki łuk, i pociąg staje na stacji Kunów, która od miasteczka tej nazwy jest odległą o parę wiorst. W magazynach stacyjnych leży rozrzucone mnóstwo płyt piaskowca, Kunów bowiem słynie ze swych łomów kamienia.

Z Kunowa już tylko 11 wiorst do Ostrowca, a dymy tych olbrzymich zakładów przemysłowych już oddawna zaciemniały horyzont na wschodzie. Po lewej stronie plantu amfiteatralnie wznosi się

miasteczko Ostrowiec, a po drugiej rozłożone są fabryki.

Na stacji w Ostrowcu bywa zawsze dużo furmanek, stąd ceny ich nie są zbyt wygórowane: za dorożkę parokonną do Opatowa (17 wiorst) płaci się 1 r. 50 kop. do 2 rubli, wózek wygodny 1 r. do 1 r. 20 kop.

Dla cyklistów. Droga żelazna ciągnie się po lewym brzegu Kamiennej, po prawym zaś idzie szosa I rzędu, trochę górzysta, ale bardzo malownicza. Z Warszawy na: Grójec, Białobrzegi, Radom, Szydłowiec, Bzin, Wąchock, Kunów do Ostrowca. Dla oszczędności czasu można przyjechać koleją do Bzina i stąd 47 wiorstjechać do Ostrowca.

Droga Ostrowiec-Opatów.

Odległość tych miejscowości wynosi 17 wiorst szosą. Miasteczko Ostrowiec należało kiedyś do książąt Ostrogskich, z tych Janusz ufundował tu parafję i założył kościół. Później miasto przechodziło w posiadanie Sanguszków, Lubomirskich, Wiśniowieckich, Czartoryskich, nareszcie nabył je Bank Polski. Wtedy rozpoczął się tutaj większy rozwój przemysłu popierany silnie przez Bank. Od Banku odkupił dobra Ostrowieckie bar. Fraenkel.

W r. 1893 miasteczko liczyło 6017 mieszkańców, trudniących się przeważnie, rolnictwem, lub pracą w olbrzymich zakładach Ostrowieckich.

Miasto posiada urząd miejski, stację pocztowo-telegraficzną, 3 szosy 1) na Kunów, Wąchock do Bzina, 2) na Opatów do Sandomierza, 3) na Ćmielów, Ożarów do Zawichostu,

Fabryki Ostrowieckie, lub t. zw. Klimkiewiczowskie, od roku 1876 rozwijają się z niezwykle powrozeniem. Liczba robotników z 269 wzrosła do 2563. Produkcja roczna wynosi 1.873.692 pudów surowca i 2.983.022 pud. stali. Rudy przerabiają miejscowe, zawierające 30% do 40% czystego żelaza. Zakłady posiadają słynną walcownię wyrabiającą obręcze kół, szyny i t. p. Troska o byt pracowników bardzo znaczna: robotnicy mają tanie i wygodne mieszkania, szkołę dla dzieci, szpital bezpłatny. Całość zakładów zdala przedstawia się jak duże miasteczko, najeżone kominami i słupami latarni elektrycznych.

Po drodze mijamy duży folwark Jacentów, a po prawej stronie drogi spotykamy pierwsze głębokie jary, jakich dużo widzieć można w sandomierskiem. Na parę wiorst przed Opatowem już ukazują się wieże jego wspaniałej kolegiaty, a nareszcie ze szczytu góry otwiera się widok na całe miasto. Droga po przykrym spadku zbiega w dolinę, przejeżdżamy most na Opatówce, gdzie brudna żydówka pobiera mostowe, i wjeżdżamy przez złobną herbem bramę do wnętrza miasta.



Widok Opatowa.

OPATÓW,

miasto powiatowe gubernji Radomskiej odległe od stacyi D. Ż. Iwangr. Dąbr. Ostrowiec wiorst 17, od Sandomierza wiorst 28, od Iwanisk wiorst 14, od Radomia wiorst 76, od Warszawy wiorst 175.

Miasto położone w dolinie otoczonej wyniosłościami, choć samo leży na wzniesieniu 615 st. nad p. m.. W dolinie tej zbiega się kilka strumieni, spływających z Łysogór i tworzących następnie rzekę Opatówkę, okrążającą miasto. Wszystkimi drogami zjazd do miasta ze stromych wzgórz.

Hotele: Zajazd Sandomierski p. Królowej, cukiernia i restauracja, obiady po 30 kop., nocleg za cały pokój 50 kop., za pościel od każdej osoby po 25 kop.

Hotel Warszawski p. Laudona z restauracją, obiady po 35 kop., nocleg po 75 kop. od osoby. Oba hotele w rynku.

Konie. Furmanek bywa zwykle sporo; są dorożki i wózki; do jazdy po bocznych drogach wózki są poręczniejsze, ceny są bardzo zmienne, bo zależne od ilości furmanek i zapotrzebowań, zwykle płaci się konie: do Sandomierza szosą 3 — 4 rubli, do Ostrowca 1 50 — 2 r., do gór Ś to Krzyskich 3.50 — 4 r., do Sandomierza na Ujazd, Klimontów i Ossolin 4.50 do 5 rubli.

Miasto posiada 5,567 mieszkańców (w r. 1893), urząd powiatowy, urząd miejski, sąd pokoju, sąd gminny, oddział hipoteczny, zarząd akcyzy, urząd pocztowo-telegraficzny, szkołę elementarną, szpital Św. Leona na 28 łózek.

Historja. Opatów jest osadą wielce starożytną. Według Długosza kościół parafjalny tutejszy jest jednym z pierwszych, jakie postawiono u nas po wprowadzeniu chrześcijaństwa. O fundacji tego kościoła brakuje pewnych danych, wiadomo tylko, że był on pod wezwaniem N. M. P. i stał na wzgórzu, gdzie dziś kościół Bernardynów. Obok kościoła rozciągało się wówczas miasto. Około roku 1237 Henryk Brodaty, opiekun nieletniego Bolesława Wstydliwego, nadał Opatów z 16 wsiami biskupom lubuskim ze Szląska.

Jeden z nich, Wilhelm, otrzymał w roku 1282 od Leszka Czarnego przywilej na lokację nowego mia-

sta na sąsiednim wzgórzu koło kolegiaty i tu rozrosło się nowe, do dziś istniejące miasto, podczas gdy stare upadło zupełnie. Upadł i kościół N. M. P., parafję przeniesiono do kolegiaty, a na starym wzgórzu wzniesiono klasztor Bernardynów.

Opatów pozostawał w ręku biskupów lubuskich do początku XVI wieku. Pomimo parokrotnych strasznych napadów Tatarskich (1241, 1259 — 1260) miasto było dobrze zaludnione, kwitnące przemysłem i handlem, boć tędy ciągnął się szlak handlowy na Sandomierz ku Rusi. Na składy do Opatowa szły towary wschodu, pełno było tu ormian, greków, persów, wołochów, a z zachodu ciągnęli tu Niemcy, Francuzi, Holendrzy z towarami cywilizowanej Europy. Istna wieża Babel wrzała na rynku opatowskim. Trzy były doroczne jarmarki, z których każdy ciągnął się po dwa tygodnie. Nie też dziwnego, że miasto rozrosło się potężnie, samych piwowarów było tu 160. To też z dumą patrycjusze miasta nazywają swe gniazdo „Civitas Magna Opathow“ i ta nazwa Wielki Opatów powtarza się we wszystkich dokumentach XV i XVI stulecia.

Królowie Polscy niejednokrotnie tu goszczą: Kazimierz Wielki tu składa przysięgę przed duchownymi sędziami zatargu z Krzyżactwem. Królowa Anna tu wita wracającego z pod Grunwaldu Władysław Jagiełłę.

Początek XVI wieku wstrząsnął potęgą miasta. W roku 1502 niespodziany napad Tatarów zamienił je w gruzy, spalono całe miasto, spłonęła wewnątrz kolegiata. Garstka obrońców zamknęła się w kla-

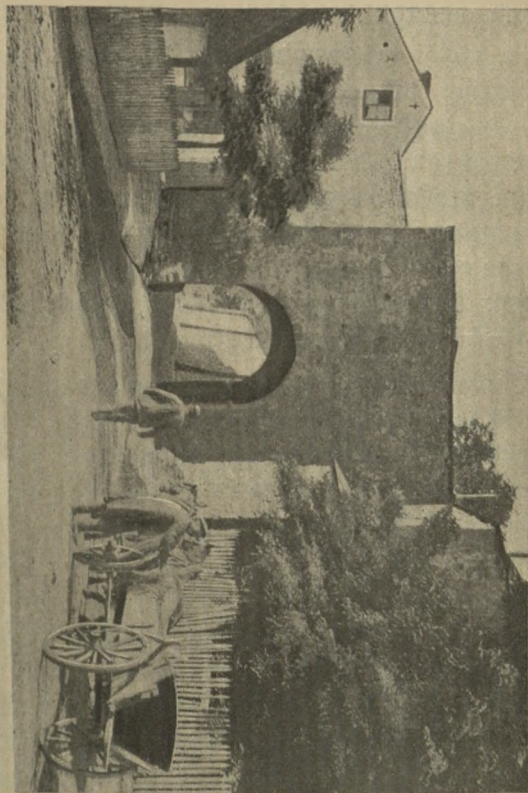
sztorze bernardynów i tu przez cztery dni dzielnie się opierała szturmującym Tatarom. Poległo od strzał nieprzyjacielskich wielu braci zakonnych, poległ i sam przeor, ale klasztoru nie poddano, a Tatarzy nareszcie odstąpili.

Po wieloletnim władaniu Opatowem nie zostawili biskupi lubuscy żadnych po sobie śladów ani w budowie, ani w dziełach sztuki, ani w instytucjach dobroczynnych. 300 lat posiadania tych włości nie dało im czasu na upamiętnienie swego tu pobytu. Przestaniemy jednak dziwić się temu, gdy zważymy, że byli to cudzoziemcy, co dla korzyści tylko dzierżyli te dobra; obcą im była ta ziemia, obcym lud, obcą przeszłość i przyszłość tych stron.

Około roku 1518 za zezwoleniem stolicy apostolskiej za 10000 dukatów sprzedali biskupi Opatów z przyległymi dobrami Krzysztofowi Szydłowieckiemu.

Możny ten pan bogaty dostojeństwami, posiadacz olbrzymich dóbr i intratnych starostw, nie żałował grosza na rozwój nabytego miasta. Aby zabezpieczyć je od dalszych napadów, otoczył wysokimi murami całe miasto, a cztery warowne bramy miały doń prowadzić. Z tych jedna, zwana dziś Warszawską, dotrwała do obecnych czasów, i, jadąc od Ostrowca, trzeba przez nią przejeżdżać. Nie jest ona zbyt wysoka, a nad arkadą jej widnieje Odrowąż herb Szydłowieckich. Biegły rurmistrz Wacław Morawa, urządził kunsztowne wodociągi, zaopatrując miasto w zdrową i czystą wodę.

Pod gospodarną opieką kanclerza miasto szybko się zaczęło wznosić, handel ożywił się ogromnie, składy towarów wschodu i zachodu znów się nappełniły.



Brama Warszawska.

Kanclerz nie zostawił męskich potomków, a dobra Opatowskie poszły teraz po kądzieli jako posagowe za jego córką Zofją, żoną sławnego hetmana Jana

Tarnowskiego, potem przeszły do kniaziów Ostrogskich, następnie do Lubomirskich, Sanguszków, Potockich, nareszcie Karskich.

W XVII wieku licznie tu napływają Żydzi. poczynają wypierać handel innych narodów, a nawet z Kapitułą są w ciągłych stosunkach finansowych.

Wojny szwedzkie nie oszczędziły możnego miasta, najwięcej jednak dała mu się we znaki druga wojna za Karola XII i bratobójcza walka „Sasów i Lasów“, gdyż tu się ścierały partje sandomierskie, stojące przy Augustcie II i warszawskie, popierające Leszczyńskiego.

9 czerwca 1787 roku bawił tu Stanisław August, wracając z Kaniowa. „O ćwierć mili od miasta spotkały N. P. gromady miejskich i wiejskich ludzi oraz żydostwa, czyniąc wesołe okrzyki“, pisze kronikarz tej podróży, biskup Naruszewicz.

Straszne pożary kilkakrotnie niszczyły miasto, już po owych okropnych napadach tatarskich, gdy miasto odbudowało się trochę, pożar w 1551 roku zniszczył je okropnie, spłonął wtedy ratusz i całe archiwum miejskie. W dwieście lat później w r. 1751 znów pożar miasto zniszczył, a w 1834—211 domów się spaliło. Również i zarazy morowe nie szczędziły miasta: w 1622 i 1657 r. powietrze grasowało tu nadzwyczaj silnie.

Obecnie miasteczko przedstawia się bardzo przyjemnie, względnie czysto i sympatycznie. Wąski długi rynek w części zadrzewiony i schłodne przy nim domy, miłe robią wrażenie, wysoko nad miastem stercząca kolegiata imponuje wyniosłością swych

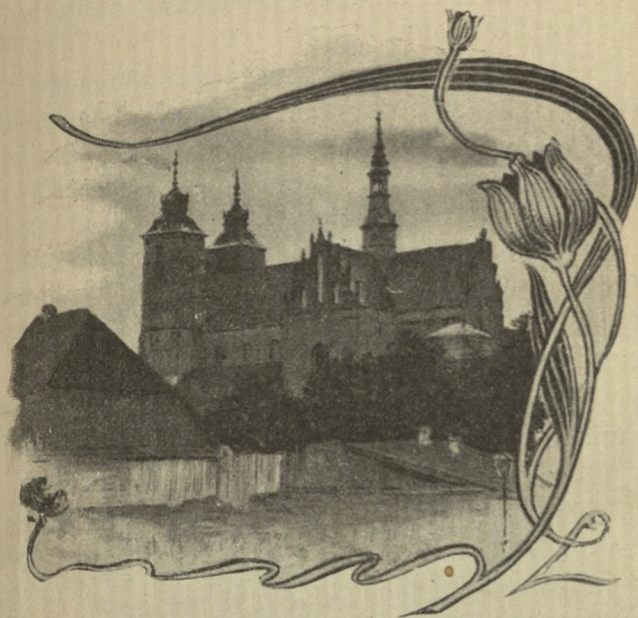
wieżyc, ulice obsadzone drzewami zamieniają się z czasem w piękne aleje, ale całość tak jest cicha i tak nic nie pozostało w niej wspomnień po owych gwarnych czasach, po owych ruchliwych jarmarkach, chyba tylko kilka kamieni grobowych na cmentarzu z napisami greckimi i ormiańskimi.

Ludność chrześcijańska trudni się przeważnie rolnictwem, lub drobnymi rękodzielami, żydzi prowadzą drobny handel i warsztaty rzemieślnicze, furmanią też trochę. Z zakładów przemysłowych istnieją tylko dwa młyny.

Miasto posiada tylko elementarne szkoły, a młodzież do gimnazjów szle do pobliskiego Sandomierza, lub gubernialnego Radomia. Księgarni miasto nie posiada.

Szpital Św. Leona ma 28 łóżek, w r. 1898 leczył 430 ludzi po 35 kop. dziennie od osoby. Rada dobroczynności pow. Opatowskiego jest ruchliwą i czynną, w r. 1898 odbyła 57 posiedzeń, załatwiając 801 korespondencji, podczas gdy w tym samym roku rady pow. Kozienickiego i Hżeckiego odbyły po 2 posiedzenia, a pow. Końskiego tylko 1.

Cała dawna świetność miasta pozostała w budowlach kościelnych, których jest dwie: kolegiata i kościół po Bernardyński.



Kolegiata.

Wznosi się na wyniosłym wzgórzu, które od strony bramy warszawskiej wysoko jest podmurowane, kręte schodki prowadzą z ulicy na cmentarz kościelny, a stąd parę wejść do wnętrza świątyni. Już na zewnątrz zdumiewa ona niezwykłą powagą swych ciosowych ścian i imponuje wyniosłością wież. Zwłaszcza wieża południowa, od strony miasta, bardzo pięknie podzielona gzymsami, rozgląda się bliźniemi

romańskimi okienkami, niewątpliwą cechą budownictwa XII wieku.

Druga wieża dobudowana widocznie później nie ma już tych pięknych form. Po napadach tatarskich, kolegiata była znacznie zrujnowana, a Szydłowiecki, odnawiając ją wewnątrz, pozmieniał znacznie i zewnętrzne ściany. Zębate szczyty facyjat niewątpliwie z jego czasów pochodzą. On też zostawił tu w północnej ścianie kościoła piękny gotycko-rene-sansowy portal, ozdobiony na zworniku sklepienia jego herbem.

Cały gmach stawiany jest z miejscowego ciosu, a mianowicie z pobliskich łomów kamienia w Kunowie, Podolu i Czerwonej Górze.

Zaginęły ślady, kto był rzeczywistym fundatorem tej świątyni: jedni z Długoszem twierdzą, że syn Bolesława Krzywoustego ks. Henryk Sandomierski, Krzyżownik, wybudował tu klasztor dla sprowadzonych z Jerozolimy Templarjuszów, ale nigdzie o owych Templarjuszach nie można spotkać wzmianki; inni przypisują tę budowę cystersom, gdyż rzeczywiście jest ona bardzo zbliżona swą formą do budowli cystersowskich. Nic pewnego określić się nie da, lecz cała budowla ma wybitne cechy romańszczyzny z XII wieku.

Od strony południowej po kilku schodkach wchodzi się do kruchty, a z tej do prawej nawy kościoła. Kościół jest trzynawowy, środkowa wyższa od bocznych, całość wspiera się na kilku wyniosłych filarach i czyni wrażenie wielkiego piękna i harmonji.

W wielkim ołtarzu znajduje się obraz Świętego Marcina; całe ściany i sklepienia pokrywają freski; na sklepieniu przedstawione jest życie patrona kolegiaty Ś. tego Marcina, malowidła bardzo dobre i wy-



Sw. Marcin.

borne odnowione. Na ścianach prezbiterjum i bocznej lewej kaplicy są malowidła historyczne: na prawej ścianie bitwa na Psim polu, na lewej bitwa

pod Grunwaldem, a na ścianach kaplicy odsiecz Wiednia. Te malowidła są bardzo słabe i szablonowe. Nareszcie nad filarami głównej nawy widnieją postaci alegoryczne i herby zasłużonych w Opatowskim



Krz. Szydłowiecki.

rodzin. Obecny kapitularz mieści kilka bardzo ciekawych rzeczy, między którymi najcenniejszą pamiątką jest słynny przywilej Opatowski wydany przez Jana Konarskiego, b. krakowskiego, zdobny w nieporównanego wdzięku minjatury. Zwłaszcza przedstawione na nim postaci Św. Marcina i Krzysztofa Szydłowieckiego są pełne wdzięku w śmiałym, a miękim rysunku.

Na ścianie odkryto tu pod tynkiem bardzo starożytne malowidło przedsta-

Na kościele zasługują na uwagę pięknie rzeźbione stalle, ławki zdobne w herby i napisy, kamienny portal po lewej stronie, ale największą chlubę kolegiaty stanowi piękny.

Pomnik •Krzysztofa Szydłowieckiego.

Ustawiony jest on w lewej kaplicy, ma kształt wysokiego ołtarza, a jest tak piękny w swych szlachealnych renesansowych linjach, w wybornym modelunku figur, że szanowny profesor Władysław Łuszczkiewicz nazywa go „najznakomitszem dziełem odlewnictwa włoskiego“. Na podstawie z czerwonego marmuru wsparta jest długa tablica, na której 41 osób ma przedstawiać rozpacz wszystkich stanów na wieść o śmierci wielkiego kanclerza. Przytoczę tu barwnie skreślone słowa znakomitej naszej poetki Deotymy o tej tablicy:

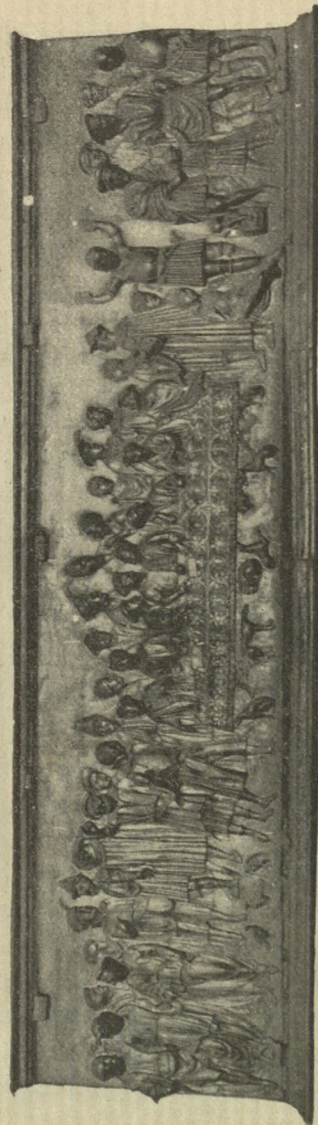
„Pomysł jest dziwny i rzadkiej wymowności; snycerz się długo zapewne namyślał, jakim sposobem oddać zasługi zmarłego; nie wyrzył jednak godła wyrażających wysokie godności, na jakie zasłużył; nie przyjął nawet pomysłu, tak ulubionego Michałowi Aniołowi i innym wielkim mistrzom, a który zależał na wykuciu postaci alegorycznych, mających przedstawiać cnoty zmarłego; nie, to wszystko jeszcze zdawało mu się tenąć nieco kadzidłem, jakim żywią szafują dla nieżyjących; aby wypowiedzieć czem Krzysztof był za życia, oddał wrażenie, jakie sprawia wieść o jego śmierci; a nie przedstawił jej spa-



Pomnik Krz. Szydłowieckiego.

dającej na rodzinę nieboszczyka, bo rozpacz żony i dziatwy nikogo nie zadziwi, i gwałtowność ich boleści nie zgadza się z warunkami sztuki plastycznej; (?)

przedstawił więc tę wieś nadchodzącą tylko pomiędzy znajomych Szydłowieckiego, i to jeszcze w chwili, w której wszyscy są zajęci różnymi zabawami, a w takich chwilach ludzie nie lubią, aby im przeszkadzano, i trzeba prawdziwego nie szczęcia, aby zasępić tak rozweselone towarzystwo; a jednak wrażenie tej wieści tak jest piorunujące, że kto spojrzy na ów obraz, wyrzeknie: ileż ten człowiek musiał mieć przyjaciół! Ale tu znowu trudność nasuwała się rzeźbiarzowi, jak urozmaicić smutek osób, które prawie w tych samych stosunkach z umarłym zostawały? I tu się najświetniej okazało mistrzostwo dłuta; jest jednak 40



Tablica z pomnika Krz. Szydłowieckiego.

i jedna figur na płaskorzeźbie i każda z nich, powtarzam, każda ma inny wyraz twarzy, po stopniowaniu boleści w nich odbitej, odgadniesz stopień przyjaźni. Od lewej strony stoi gromada mężów, których wieść ta zastała wybierających się na polowanie, jest tam i kilku starców w ubraniach prostszych, lecz tem piękniejszych bo spadających w draperje; ich twarze przypominają apostołów, muszą to być sędziwi słudzy rodziny Szydłowieckich, a świeżą wiadomość opowiadają sobie ze smutkiem, lecz i kornym spokojem właściwym prostaczkom; najwięcej jednak uderzają w tej stronie postacie dwóch mężów, żywą zajętych rozmową; jeden z nich bogato przybrany, z twarzą piękną, lecz z której nieco przebija zawziętość, musiał być z umarłym w stosunkach niezupełnie życzliwych, może mu nawet jaką krzywdę wyrządził, bo stoi tak przerażony, jakby słyszał głos mówiący: już zapóźno! i znać, że się uniewinnia przed drugim mężem, z czaplem piórem u kołpaka, co zdaje się go poważnie pocieszać. Na środku obrazu siedzi kilkanaście szanownych osób, jacyś sędziowie, senatorzy i inni, którzy w około stołu nakrytego wzorzystą oponą, grą w kości się zabawiali, trudno wymowniej i rozmaiciej oddać uczucia tych starców, wszystkie tu prawie oczy zwrócone są ku mężczyźnie odzianemu w kontusz i żupan, a zajętemu smutnem opowiadaniem. On to, jak się zdaje, przyniósł rozłożone na stole listy z posępną wieścią. Największa radość panowała w gronie skupionem z prawej strony; świadczą o tem narzędzia, teraz beładnie rozrzucone u stóp bolejącej młodzieży; widać tu mnicha

z pielgrzymim koszturzem, który ze smutku upadł bezsilnie i przedstawia żalność wszystkich zakonów, dla jakich był hojnym Krzysztof. Unosząca się ponad mnichem postać młodziana, która z całej płasko-



Grupa z tablicy pomnika.

rzeźby najpierwej w oczy uderza, jest klasycznej postawy: młodzieniec ten odziany zbroją do rzymskiej podobną, podniósł obie ręce do nieba, jakby w młodzieńczym zapale chciał ulecieć tą drogą chwały, do

której kresu umarli już doszedł; najtragiczniejszą również jest postać męża, stojącego w samym środku tego koła minionej wesołości, ten niezawodnie musiał być przyjacielem od serca, bo lekko nawet odpycha śliczną dziecinę, zapewne swego synka, który go pocieszając za kolana obejmuje; drugie dziecko bawiąc się bębenkiem, tak jest małe, że nie może jeszcze rozumieć smutku, więc się tylko całe zwinęło w przestachu na widok takiej rozpacz.

Po obu stronach tablicy znajdują się armatury bogatego rysunku i nadzwyczaj pięknego wykończenia. Na prawej stronie wyryty rok 1536 wskazuje datę wzniesienia pomnika.

Nad tą sławną tablicą na pochyłej płycie leży sztywna i martwa postać kanclerza. W bogatej zbroi z łańcuchem na szyi w czepcu na głowie z mieczem i herbownym sztandarem w rękach leży martwy i bez ruchu ten możny pan, przyjaciel królów, cesarzów i książąt. Obok ślicznie rzeźbione figury Ś-tego Krzysztofa z prawej i Ś-tego Zygmunta z lewej strony. Wyżej na tablicy w powiewne szaty spowite spoczywa dziecko kanclerza. Po obu stronach tablicy górnej nieporównanego dłuta delfiny, a na nich bambiny, dzierżące tarcze herbowe Odrowążów. U szczytu pomnika błogosławiący Zbawiciel. Prócz sztywnej postaci kanclerza reszta rzeźb ma wartość niezwyklego arcydzieła i słuszną stanowi chlubę tej okolicy. Nie od rzeczy będzie wspomnieć parę słów i o życiu tego dumnego pana, który tu spoczywał: jeden to z najslawniejszych ludzi Zygmuntońskiej epoki.

Krzysztof Szydłowiecki

urodził się w r. 1467 z ojca Stanisława, kasztelana Radomskiego, towarzysz lat dziecięcych i młodości Zygmunta Starego, ulubieniec jego i doradca.



Motyw z pomnika.

Odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, zwiedził całą ówczesną Europę tonącą w oślepiającym wykwincie odrodzenia.

Wróciwszy do kraju, został marszałkiem królewicza Zygmunta i odtąd wznosił się szybko po szczeblach potęgi i sławy. Po wielkim poprzedniku Janie Łaskim otrzymał wielką pieczęć kanclerską i odtąd wywierał przemożny wpływ na sprawy krajowe i zagraniczne. Jako światły i wykształcony mąż, znany był i ceniony dobrze na dworach w Budzie, Pradze i Wiedniu. Utrzymywał serdeczne stosunki z wybitnymi humanistami swej epoki, a ze sławnym Erazmem z Rotterdamu łączyła go prawdziwie serdeczna przyjaźń. Król Władysław Czeski i Węgierski cenił bardzo jego rady, Cesarz Maksymilian tytułuje go „swym najukochańszym synem“, książę Albrecht Pruski — „bratem rodzonym“.

Jakież zasługi położył kanclerz, że takie zyskał sympatje? Jako polityk okazał on krótkowzroczność nie do darowania. Drobnicy arcyksiężęta rakuscy dawno pragnęli powiększenia swych niewielkich włości. Tymczasem na tronach sąsiednich Węgier i Czech rozparła się dynastia Jagiellońska. Przeczorny Habsburg, cesarz Maksymilian I, czyhał tylko, aby pojąć te kraje pod swoje berło i dążył do tego na drodze traktatów. W r. 1515 zjechali obaj Jagiellonowie Zygmunt i Władysław na ów sławny kongres do Wiednia, gdzie uchwalono małżeństwa dzieci Władysława z wnukami Maksymiljana, a tem samem zatwierdzono ewentualną sukcesję Habsburgów do Czech i Węgier, gdy Jagiellońska dynastia wygaśnie; a nie czekali długo na ten radosny fakt chytrzy panowie rakuscy, bo zaledwie jedenaście

lat wszystkiego. W r. 1526 zginął pod Mohaczem Ludwik król Czech i Węgier, a na tronach tego Jagiellona rozparł się Ferdynand rakuski.

Któż wiedzieć może jaki bieg przybrałyby sprawy europejskie, gdyby Zygmunt nie rzekł się tak łatwo praw braterskich do sąsiednich tronów i uznał w nich konieczność spadku dla Jagiellonów.

Największą siłą w tych traktatach zaważyło zdanie przemożnego kanclerza, bo słaby Zygmunt ufał mu ślepo i bez szemrania spełniał jego rady. Więc to ów wielki Krzysztof Szydłowiecki dał wspańnię dwa pierwsze berła w Europie w rękę Habsburgów. Nic też dziwnego, że był „najukochańszym synem“ cesarza, nic też dziwnego, że otrzymał odeń tytuł księcia Świętego Państwa Rzymskiego, a do herbu dodano mu smoka i złotą koronę. Ciemniejszą stroną sprawy jest ta, o której sam kanclerz pisze, że otrzymał od cesarza różnemi czasy 50,000 dukatów. Prezenty jednak takie były w owe czasy dość powszednie, boć i sam kanclerz szle Henrykowi VIII do dalekiej Anglii w darze piękną sforę psów gończych.

Drugą nie mniej błędnie załatwioną sprawą była kwestja pruska. Zakon krzyżacki skłonił się do reformacji. Wielki mistrz Albrecht Brandenburski przyjął protestantyzm i z zakonnego władcy stał się świeckim księciem. Była wtedy wyborna okazja do wcielenia Prus zakonnych do Polski, lecz Zygmunt, a raczej jego przemożny kanclerz zgodzili się na ustanowienie księstwa lennego, pod inowierczym księciem z rodu wrogich zawsze Polsce Hohenzol-

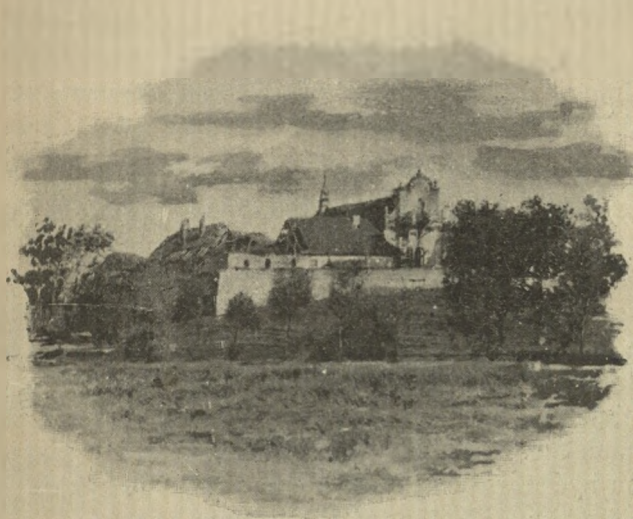
nów. Albrecht był wprawdzie siostrzeńcem Zygmunta, mimo to jednak mógł król zupełnie prawnie ziemię Zakonu włączyć do Korony.

Nie darmo więc kanclerz jest „bratem rodzonym“ nowego księcia, a przyjaźń dozwolną przyrzekli sobie obaj w osobno wydanym akcie. Nie danem było wielkiemu mężowi sływać w długie wieki w swem potomstwie. Synowie marli mu w dziecięcym wieku, całą więc przyjaźń i serce zlał na córki i zięciów. A musiał być bardzo czułym dla tych przybranych synów, skoro zięć jego, wielki hetman Jan Tarnowski, podczas swej wiekopomnej wiktoryi pod Obertynem, zrzucił rękawicę, aby błyszczący na palcu pierścień jego teścia dodawał mu otuchy i zachęty do walki. Pełen sławy żywot zakończył kanclerz w końcu Grudnia 1531 roku, o czem podkanclerzy Piotr Tomicki donosi Wojewodzie Sandomierskiemu: „Wczorajszego dnia o godzinie 22 J. W. Kasztelan Krakowski, najznakomitszy senator, przeniósł się do wieczności; nie bez żalu wszystkich, ale ku szczególniejszemu smutkowi króla“.

Kościół Bernardynów,

stoi na wzgórzu, gdzie niegdyś stał ów pierwszy kościół N. M. P. Stare miasto Opatów leżało na tem właśnie wzgórzu, dopiero biskupi lubuscy przenieśli je na obecne miejsce. Kościół N. M. P. według podań postawiony był już w roku 1040, a podobno miał w nim kiedyś odprawiać mszę Ś-ty Stanisław.

Biskup Jan Rzeszowski w 1471 r. przeniósł parafję do kolegiaty, a przy kościele N. M. P. zbudował klasztor dla ulubionych swych Bernardynów. Skuteczną pomoc w tem dziele ofiarował mu Jan Tarło, syn sławnego wojownika Jagiełłowego, Ottona ze Szczekarzewic. Młody Tarło tak sobie upodobał



Kościół Bernardynów.

braci św. Bernarda, że cały majątek na ich klasztory zapisał, sam przywdział sukienkę zakonną i jako bernardyn udał się do Ziemi Świętej. Tam w r. 1588 zmarł na górze Syon, a bracia opatowscy w napisie klasztornym z żalem zaznaczają, że fundatora swego nawet pochować u siebie nie mogli.

Klasztor zbudowano obronnie, mógł więc wytrzymać ów straszny napad tatarski w r. 1502, do trwał on do wojen szwedzkich, lecz te w ruinę go wpędziły. Spalono wtedy i bibliotekę klasztorną, która zawierała wiele dzieł, rzadkich druków i rękopisów.

W XVIII wieku Łukasz Krzyżanowski podstoli Mozyrski, wystawił obecny kościół, wykończony zupełnie w r. 1765, a pomalowany wewnątrz w r. 1784 nakładem p. Reklewskiej.

Z zabytków sztuki pozostała tu bardzo starożytna rzeźba w prawym ołtarzu, przedstawiająca Boga Ojca, wtlaczającego ciężar mąk na Swego Syna. Rzeźba nie tyle artystyczna, ile techną średniowiecznym symbolizmem i ponurym realizmem. Podanie głosi, że przed tym właśnie ołtarzem odprawiał mszę Św. Stanisław, lecz rzeźba jest bez wątplenia o wiele późniejsza. Bardzo ładnego pędzla są obrazy w ołtarzach Św. Antoniego i Św. Franciszka, a w zakrystji ma być starożytny kielich ofiary Szydłowieckich i antyfonarze, ozdobione minjaturami.

Dla cyklistów. Z Opatowa wycieczka nasza ciągnie na Ujazd, Klimontów, Ossolin do Sandomierza. Jakkolwiek cała ta droga dla roweru nie nadaje się, jednak pewną jej część odbyć można, a mianowicie zwiedzić wspaniałe ruiny zamku Krzyżtopór w Ujeździe pod Iwaniskami. Dokąd jest 14 wiorst szosą, a z Iwanisk 3 wiorsty do zamku na lewo. Ruiny są nadzwyczaj piękne, więc warto je obejrzeć, ale potem należy wrócić do Opatowa i szosą ciągnąć do Sandomierza.

Powiat Opatowski zajmuje 1452 wiorst kwadratowych, składa się z 2 miast, 10 osad (dawnych miast i miasteczek), i dzieli się na 23 gminy ze średnią liczbą 4438 mieszk. w gminie. Gleba na obszarze powiatu żyzna, nadaje się dobrze pod uprawę pszenicy i buraków, obfituje też w pastwiska i łąki, sprzyjające hodowli bydła; 60% powierzchni stanowi ziemia orna, a 23% powiatu pokrywają jeszcze lasy, choć po drodze spotykamy drobne tylko laski za Ujazdem. 41% ziemi jest w rękach włościan, a 50% stanowi większą własność ziemską, choć silnie obecnie rozwinięta parcelacja majątków szybko zmienia stosunek powyższy.

Mineralne bogactwo powiatu stanowią rudy żelazne, ciągnące się długim pasem od Ostrowca po za Orońsk. Pas ten 35 wiorst długi, 48 sążni szeroki i 28 cali głęboki zawiera przypuszczalnie przeszło 21 milionów korey rudy.

W lössowej formacji gruntów powiatu przez erozję wód powstają głębokie jary, dochodzące do kilkudziesięciu stóp głębokości. W dole tych jarów, zwanych „korytkami“ ciągną się drogi bardzo malownicze, lecz podczas deszczów trudne do przebycia. Najgłębsze jary ciągną się koło Waśniowa. Ludności posiada powiat opatowski 107.602, a gęstość osiedlenia stanowi 79 ludzi na wiorstę kwadratową. Roczny przyrost ludności jest 2,4%, podczas gdy w sąsiednim powiecie Sandomierskim tylko 1,7%. Stopniem 1,4%, a w Pińczowskim 0,4%. Na 100 mężczyzn przypada 101 kobiet, podczas, gdy w powiecie Radomskim wypada ich 113. Katolicy stanowią 83%,

a żydzi 16% ludności. Powiat ten posiada 13% włościan bezrolnych, podczas gdy inne powiaty tej gubernji mają znacznie niższy ten procent, np. pow. Opoczyński 7%, Koński 5%, a Iłżecki tylko 3%. Nie należy brać tego stosunku jako nieszczęście, gdyż % ludności bezrolnej wzrasta zawsze w powiatach



Droga w jarze.

o rozwiniętym przemyśle, lub bogatej kulturze rolnej, powiat zaś Opatowski ma 269 zakładów przemysłowych, zatrudniających 5619 robotników, a produkujących za 6.680.063 r. rocznie.

Lud tych stron dość jest zamożny i nadzwyczaj grzeczny.

F. M. Sobieszczański. Wycieczka archeologiczna (Warszawa 1852), Kłosy (XV. 222).

Ks. Wł. Fudalewski. Miasto Opatów (Warszawa, 1895).

Wł. Łuszczkiewicz. Kościół kolegiacki Św. Marcina w Opatowie (Sprawozd. Komisji Hist. sztuki w Polsce T. VI, zesz. I, Kraków, 1897).

W. Gerson. Przywilej Opatowski (Spr. Kom. Hist. sztuki w Polsce. T. V, zesz. II, Kraków, 1892).

Baliński i Lipiński. Starożytna Polska. T. II, str. 318.

Droga Opatów-Ujazd-Klimontów-Ossolin-Sandomierz.

Droga tylko 2 mile ciągnie się szosą, resztę zaś po drogach bocznych malowniczych, lecz niezbyt wygodnych. Mniej wytrwali turyści winni pojechać tylko do Ujazdu, który rzeczywiście godzinę jest zwiedzenia, poczem wrócić do Opatowa i stąd jechać do Sandomierza.

Droga do Ujazdu na Iwaniska ciągnie się w kierunku południowym. Duża wieś Kobylany z kapliczką sióstr miłosierdzia rozciągnęła się na 7 wiorście od Opatowa. Szosa tu dobra, więc też w krótkim czasie widać ubogą miejscinę Iwaniska, odległą od Opatowa 14 wiorst.

Iwaniska osada pow. Opatowskiego, gub. Radomskiej, 2402 mieszkańców, w czem 46% katolików i 53,9%

żydów. Osada leży u źródeł rzeczki Klimontówki, posiada stary kościół stawiany w 1403 r. przez okoliczną szlachtę.

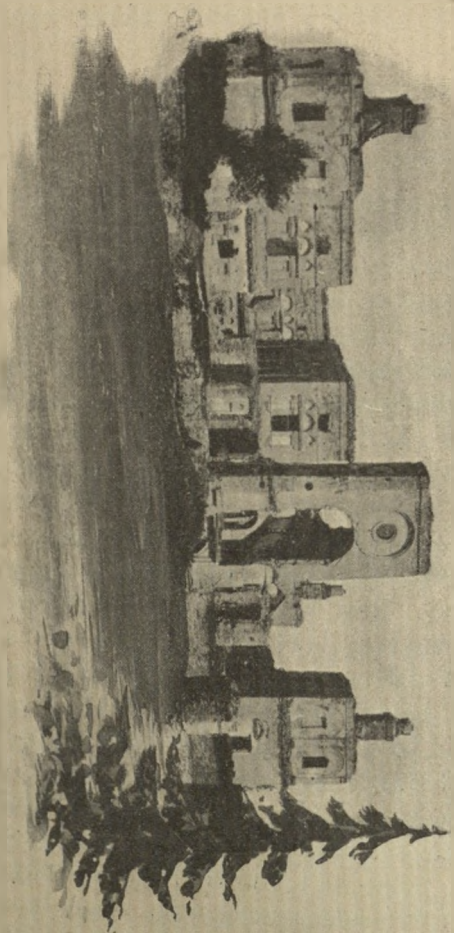
Podczas wojen za Jana Kazimierza kozacy Rakoczego złupili i zburzyli to miasteczko, a przybywający tu Karol Gustaw nie mógł przyjąć uroczyscie, jak zamierzał, swego drapieżnego sprzymierzeńca Jerzego Rakoczego ks. Siedmiogrodu. Spotkanie więc odbyło się w dniu 11 Kwietnia 1657 r. w pobliskiej wsi Modliborzyce. Przed wspaniałe przybranym namiotem, otoczony swą generalicją oczekiwał król na Rakoczego. Ozwały się wreszcie trąby, kołty i gęsta salwa armatnia powitała przybywającego księcia. Król życzliwie witał sprzymierzeńca, rozpoczął się przegląd wojsk sprzymierzonych, zakłócony śmiercią od postrzału Adolfa ks. Nassauskiego. Wspaniała uczta zakończyła tę radość sojuszników, a zgnębiona i zlana krwią ziemia polska dźwigała łoża tych drapieżnych sępów.

Gmina Iwaniska ma obszaru 2749 mórg, z których 51,6% stanowi ziemia orna, 2,6 łąki, 27,8 lasy, 3,7 nieużytki. 56,3% obszaru gminy jest w rękach większych właścicieli, a 37,7 w rękach włościan. Podczas pogodnego dnia po prawej stronie szosy przed Iwaniskami ukazują się w oddali klasztor Ś-to Krzyski, a po lewej bieleją zdala potężne mury zamku w Ujeździe. Przed Iwaniskami droga skręca na lewo i po 3 wiorstach drogi bocznej stajemy przed ruinami zamku zw. Krzyżtopór w Ujeździe.

Ujazd czyli Krzyżtopór.

Ujazd jest bardzo starą, bo już w 1174 r. wspominają o niej dokumenty klasztoru w Jędrzejowie. W XVI wieku należała ona do Zborowskich, poczem drogą wiana przeszła do Ossolińskich. Z tych Krzysztof, wojewoda Sandomierski, wznosił tu wspaniały zamek, którego ruiny do tej pory budzą podziw wędrowca. Słynęli Ossolińscy ze swej niesłychanej dumy. Brat Wielkiego Kanclerza Jerzego, który w pierwszej połowie XVII wieku pół Europy w swem ręku dzierżył i swemi wpływami oddziaływał na losy całych państw, wojewoda Krzysztof chciał zostawić po sobie gmach wspaniały, co po długie wieki miał sławić imię Ossolińskich.

Wybrano więc lekkie wzgórze wśród równin sandomierskich, splantowano część jego południową, podmurowano północną i powstał stąd obszerny taras, na którym wzniesiono rezydencję. Plany zamku stworzył Wawrzyniec Senes rodem szwajcar, osiadły w kraju i ożeniony nawet w Warszawie z Anną, córką słynnego krawca Imci pana Treply.



Wawrzyniec bardzo umiejętnie wyzyskał teren i nakreślił gmachy w kształcie pięciokąta, stosując się przytem do wyraźnego życzenia wojewody, że zamek ma przedstawiać skamieniały rok. Były więc w nim 4 potężne baszty, jako cztery są kwartały, sal wielkich 12, jak miesięcy w roku, pokoiów było 52, co odpowiadało liczbie tygodni, a okien zamek miał 365.

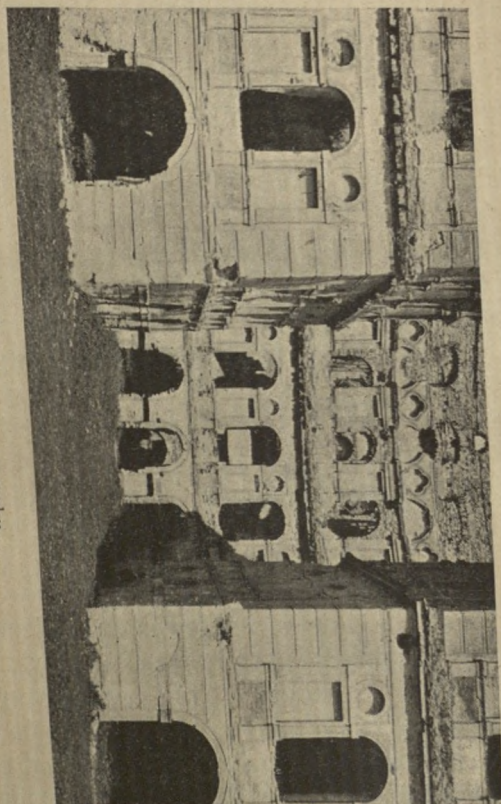
Cała budowa była wzniesioną w stylu późnego włoskiego renesansu o linjach bardzo szlachetnych i harmonijnych. Wjazd do zamku prowadzi przez wysoką bramę od strony południowej po moście rzuconym na silnych arkadach, a na ścianie bramy wjazdowej widnieje olbrzymiej wielkości wykuty z kamienia krzyż i topór; są to godła zamku Krzyżtopór nazwanego od imienia i herbu właściciela (Christophor). Tu również wskazany jest rok rozpoczęcia budowy, a kiedyś podobno nad bramą widniał napis:

Krzyż obrona, krzyż podpora
Dziatki naszego topora.

Po przejściu bramy zamkowej znajdujemy się na głównym dziedzińcu zamku przed nadzwyczajnej piękności fasadą frontową. Tu mistrz Wawrzyniec wykazał całe bogactwo tego szlachetnego stylu i cały swój niezwykły zmysł artystyczny. Okna, nisze arkady, medaljony, gzymsy, zworniki tak gustownie i szlachetnie są nakreślone, że robią na widzu nadzwyczaj miłe, a zarazem imponujące wrażenie. Cała ta fasada była malowaną, a na polach pomiędzy oknami były portrety krewnych właściciela, dumnie

pysznącego się świata ze swej parenteli. Rzeczywiście na portretach tych widniały postaci najwybitniejszych ludzi Rzeczypospolitej z XVI i XVII wie-

Fasada frontowa zamku.



ku, a pod każdym wypisaną była dedykacja, czyjej pamięci była poświęcona. Wiele z nich się zatarło ale wiele też można dotąd wybornie odczytać: np.

Ianowi z Sienna Sieninskiemu wojewodzie podolskiemu oicu matki mei naimilszey 1600 w honor domu iego y pamięci.

Krystynie Padniewski hetmana Szczęsnego małżonce siostrzenicy Mathiasza krola węgierskiego nabbabie syna mego 1480 w honor domu iey y pamięci.

Tak przed oczami widza suną tu całe szeregi najgłośniejszych imion, najpotężniejszych rodów, grzmiące nazwiska Zebrzydowskich, Łaskich. Kurozwęckich, Ostrorogów, Ligęzów, Tarnowskich, Sobieskich, Chodkiewiczów, Sapiehów, Tarłów, Lubomirskich, Firlejów, Opalińskich, Lanckorońskich, Oleśnickich, Radziwiłłów, Kazanowskich, książów Ostrogskich, Koreckich i Wiśniowieckich, wszystkim niby skromnie wojewoda pisze, że to w honor domu ich, a nie jego.

Nad drugim piętrem fasady na środkowej atyce wojewoda pomieścił napis:

„Oiczyźnie mey Polskiey, wojewodztwu sandomierskiemu braci mey miley w honor domu ich Krzysztoph na Tenczynie Ossoliński wojewoda sandomirski wystawił 1644“.

Z głównego korpusu zamku przez pochyłą sklepioną sień przechodzi się do północnego skrzydła, pośrodku którego mieści się cysterna o kryształowej wybornej wodzie. Widok z tej północnej strony jest prawdziwie czarujący: taras zamkowy sterczy wysoko, jak półwysep nad szmaragdową zielenią łąk, po prawej stronie tafla dużego stawu rozlała swe wody, za nią bieleje wieś Ujazd, po pochyłościach

rozrzucone są małe laski, a dalej ciągną się wspaniałe lipowe aleje sadzone przez Paca, jednego z późniejszych właścicieli zamku.



Widok zamku od strony północnej.

Wojewoda Krzysztof wydał na budowę podobno 3,000,000 złotych, co na owe czasy stanowiło olbrzymią sumę, ale też urządzenie było zbyt kosztowne.

Łśnił zamek od złota, kryształów i marmurów, nawet żłoby w stajniach były marmurowe, na czterech basztach sterczały figury alegoryczne, w baszcie północnej sufit na górze był kryształowy, a wodę ciągniono tam rurami. Nad głowami zdumionych gości pływały złote rybki i dziwy morskie.

Jakże tu pasowałyby słowa Kasztelanowej do Wojewody z „Mazepy“:

Jakże mi pięknie zamek wygląda waszmości! co lamp! co pozłotowin!..

Ogromne więc sumy wydał wojewoda na swój skamieniały rok; przez 11 lat ciągnęła się jego budowa, a świetność zamku w zdumienie wprowadzała nie tylko swoich, lecz i obcych: Sandrat w opisach Królestwa Polskiego (Salzburg 1687) mówi: ... „z wielu zamków w Polsce istniejących Krzyżtopór jest najpiękniejszy“. Kronikarz zaś Karola Gustawa Puffendorf nazywa ten zamek „*elegantissima et fortissima arx*“. Jakże krótko ów cud świata, owo ukochane dziecię wojewody błyszczało w całej pełni swej chwały. Zaledwie krótkich jedenaście lat pysznili się Ossolińscy swą dumną siedzibą.

Nadciągnęły z północy brzemienne burzą chmury, a bóg owych chmur król Szwedzki Karol Gustaw jak jastrząb zawisł nad bezbronną Rzeczpospolitą. Jak gromy spadały na zamki, miasta, kościoły i klasztory polskie te zgłodniałe rzesze wandalich szwedów. Bogate niwy sandomierskie nęciły tę szarańczę.



Brama wjazdowa.

Tonąca w słonecznych blaskach, lśniąca od złota, kryształu i marmuru *elegantissima arx* znęciła drapieżną horde. Z mordem i pożogą wpadli na jeźdźcy na wypieszczone cacko wojewodzińskie i choć *fortissima* była ta siedziba, padła jednak bezpowrotnie pod razami wroga. Przepych zamku był dlań wyrokiem zagłady.

Jedno skrzydło zamku trzymało się długo, lecz i ono padło później ofiarą pożogi, zapuszczonej przez konfederatów barskich.

Dziś zamek ten, jak już dyarjusz podróży Stanisława Augusta opiewa: „w gruzach nawet swoich wielkość starożytnych Polaków przypomina“, ale czyni bolesne wrażenie swem opuszczeniem. Brama wjazdowa, kędy krzyż bezsilne wyciąga ramiona, a obok dumny topór grozi swem stępiałem i poszczerbionem ostrzem, patrzy beznadziejnie swem wylupionem okiem górnego piętra na rozległe pagórki, jak gdyby czekając stąd opieki i dawnej chwały, lecz tylko jastrzębie i kawki ciągną z pobliskich lasów i smutnem krakaniem mącą ciszę skamieniałego roku wojewody.

Mimowoli staje tu na myśli część cudnego sonetu Mickiewicza:

Te zamki, połamane w zwałiska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły o, niewdzięczny Krymie,
Dzisiaj sterczą na górach, jak czaszki olbrzymie
W nich gad mieszka, lub człowiek podlejszy od [gadu.

Szczęblujmy na wieżycę. Szukam herbów śladu;
Jest i napis: tu może bohatera imię,

Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzemie
Obwinione jak robak liściem winogrodu.

U stóp zamku nie człowiek podlejszy od gadu,
lecz poczciwi gościnni sandomierzacy pobudowali
swe chaty, i one teraz świadczą o pracowitem życiu
i o większej niespożytości żywej słomianej strzechy
niż martwego marmurowego zamku.

W chacie gościnnie przyjmą mlekiem i czarnym
chlebem, a w żar letni chłodzi wędrowca kryształowa
woda cysterny, lecz, że czeka droga jeszcze daleka,
należy ruszać dalej do Klimontowa.

Ta część drogi jest bodaj najpiękniejszą w tych
stronach: to idzie ona u stóp wzgórza porosłego dro-
bnym laskiem, to zapuszcza się w głęboki jar, o pio-
nowo sterczących krawędziach, gdzie korzenie drzew
plączą się jak węzowe gniazda, to przecina wioskę
z nieregularnie rorzuconemi po wzgórzach chatami.
Trzeba kazać furmanowi koniecznie jechać przez
wieś Konary, leżącą w głębokim jarze i po bokach
jego. Jedyny to może w kraju widok tych przepa-
ściстых rozpadlin, porosłych krzakami, pokrytych
powikłaną tarniną, przez którą przeświecają żółte
płaty gliniastych ścian.

Dziko malownicza ta wieś leży nad Koprzy-
wianką. Kiedyś stanowiła ona posiadłość Piotra
Kochanowskiego, ojca naszego wielkiego Jana. Choć
urodzony w Sycynie pod Zwoleniem, być może, iż
przyjeżdżał tu z rodzicami mały Jaś, a tutejsze ja-
ry i puszcze, szmerząca rzeczka i lud gościnny może
silniej oddziaływały na jego wrażliwą wyobraźnię.

niż gładkie równiny Sycyny lub Czarnolasu. Może
jego pacholące stopy biegały po tym samym szlaku,
którędy stąpa dziś wędrowiec, może odwieczne lasy
wśród jarów wycisnęły swój obraz w jego pamięci,
gdy potem pisał swego Satyra.



Jar pod Konarami.

„O zamku Konarskim takie jest miejscowe po-
danie, w niektórych szczegółach słowami Kromera
stwierdzone: Jeszcze za Piastów było dwóch braci
Ślupeckich, bardzo zamożnych do których należały

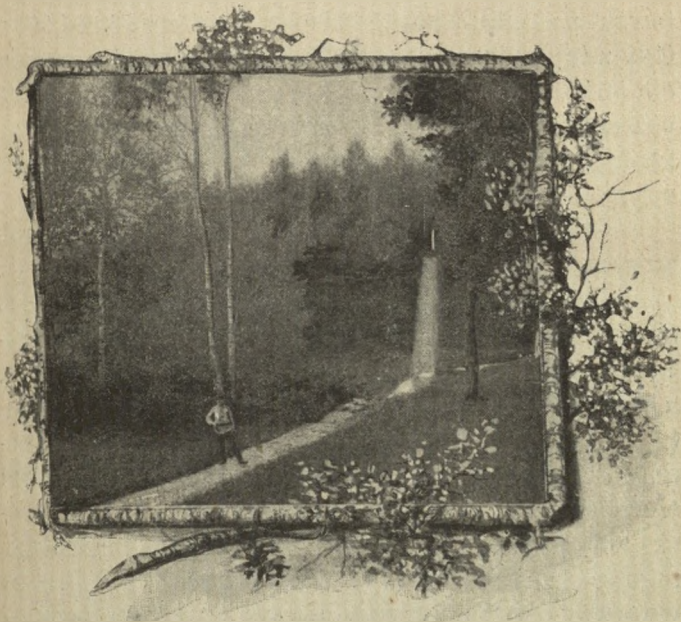
Konary, Płaczkowice, Czorsztyn, inne wsie i miasteczka pobliskie; jeden z nich w czasach panowania niedbałego o nas Ludwika, na sejmiku w Sandomierzu zabił Ossolińskiego; już to była można rodzina, zabójca zatem na śmierć skazanym został. Nie wiele myśląc zamknął się wraz z bratem i z licznym poczetem ludzi zbrojnych w zamku swoim w Konarach, a chcąc już korzystać z swojej niesławy, wycieczki z niego czynił w okolicę: napadał, rozbijał sąsiadów w ich domach i po drodze. Oni łączyli się po kilka razy, oblegali go w tym zamku, ale dobyć nie mogli i przyszło do tego, że sam król Jagiełło w pierwszych latach panowania, na czele wojska podstąpił pod ten gród szlachecki, szturmem wziąć go kazał, a całą osadę w pień wyciąć. Słupeccy jednak uszli tej śmierci. Zabójca Ossolińskiego rzucił się z wieży i kark skrzył, drugi jak mówią, zapisawszy duszę czartowi, podziemną drogą (dla niego w tej chwili mocą dyabelską sporządzoną), uciekł do Węgier z niezmiernymi skarbami. Nie wiadomo jak się tam obrócił, ale dotąd, zdaniem wszystkich włościan z okolic, istnieje ta podziemna droga; gdyż idąc ku Węgierskiej stronie dudni pod nogami. Dawnemi zaś laty (ale już nie żyją ci, co to widzieli), przeskadzała w rozwalinach tego zamku, w bogatym pasie i w żółtych butach, dusza niejakiego Rogalińskiego; był on niecnym przyjacielem Słupeckich, a dla dogodzenia własnej chciwości podlegał ich do łupiestw i napaści. Kiedy wszystkich w pień wycięli z rozkazu Jagiełły, jego dobić nie mogli i dlatego przeskadza.

(Kl. z T. Hoffmanowa).

Droga ciągnie się dalej ku Górkom, a że jedziemy teraz środkiem powiatu, to warto rzucić okiem i powiedzieć słów parę, jak się przedstawia:

Powiat Sandomierski:

zajmuje on południową część gubernji Radomskiej i graniczy od zachodu z pow. Stopnickim, od półno-



Widok z Konar.

cy z pow. Opatowskim, a od południo-wschodu z Galicją, gdzie przez całą długość granicy płynie Wisła. Powiat ten obejmuje 1014 wiorst kw. z 116668 mieszkańców (80% katolików, 19% żydów). Średnio na

wiorstę kw. wypada 115 mieszkańców. Jest on więc najgęściej zaludniony w swej gubernji, gdzie średnie zaludnienie wynosi 85 osób na wiorstę kw. Dowodzi to żyzności ziemi, mogącej wyżywić swą ludność. To też zaledwie 498 ludzi zatrudnionych jest w przemyśle, który tu reprezentuje 133 fabryk i zakładów z produkcją 842,578 rubli, podczas gdy sąsiedni powiat Opatowski produkuje za 6,688,063, a Koński za 3,804,909 r. Gdy z tej cyfry odtrącimy jedną cukrownię z produkcją 564,799 r. i 5 gorzelni z produkcją za 100,111 r. to pozostanie zaledwie mała sumka na pozostałe 127 zakładów przemysłowych, z których 97 przypada na młyny (4 parowe, 39 wodnych i 54 wiatraków).

Wszystko to dowodzi, że powiat jest czysto rolniczym, a ludność jego żyje jedynie z pracy koło roli.

Rzeczywiście 61% obszaru powiatu stanowi ziemia orna, a 15% łąki i pastwiska. Z obszaru powiatu 40% stanowi większą własność ziemską, a 51% jest w rękach włościan. Pomimo tego lud tujszy trudni się wiele rękodzielami; brak rozwiniętego przemysłu fabrycznego w tych stronach zachował starodawny przemysł domowy ręczny, a zebrane troskliwie przez p. Szczęsnego Jastrzębowskiego okazy tego przemysłu na wystawie w Radomiu w r. 1899 wprawiały w podziw widzów swą wszechstronnością, gustem i staraniem wykończeniem.

Ziemia powiatu sandomierskiego słynną jest ze swej urodzajności. Składa się ona z lössu nawianego tu przez wichry, mało w niej znajduje się kamieni, lecz często trafiają się kości zwierząt przedpotopowych.

Mięki ten löss łatwo daje się wymywać wodzie, która żłobi owe głębokie korytka, przecina drogi i podmywa grunta. Często też mieszkańcy starają się wzmocnić krawędzie wąwozów, sadząc tam wierzbinę, lub karłowatą wisienkę. Czasem także wierzbowe gaiki sadzą w głębi wąwozu, by go wzmocnić, a wtedy zdziwionemu oku wydaje się on zaczerpniętym gaikiem ze strumieniem wody i koniecznie chciałoby się tam zobaczyć bezpiecznie płasające poszaragdowej trawie rusalki.

Od wieków głośną jest w całej Europie słynna „sandomierka“, pszenica w wyborowym gatunku, której złote łany falują jak bezbrzeżne morze.

W roku 1898 zbiór ważniejszych produktów tak się przedstawiał w korcach:

Zasiano:	Zebrano:
Pszenicy . 12,904	64,450
Żyta . . . 19,077	113,260
Owsa . . . 25,806	182,645
Jęczmienia 15,344	99,673
Kartofli . . 87,688	701,504

widzimy więc, że zbiory były bardzo obfite.

W obrębie powiatu są dwie ważne komory celne, a mianowicie w Sandomierzu i Zawichoście.

Wywóz z kraju stanowi: zboże, owoce, jajka, drób, konie, wapno, szczecina i pierze.

Przywóz: wino, wody mineralne, węgiel, nasiona, narzędzia rolnicze, szkło.

Podczas gdy przez obie komory przeszło do kraju towarów za 45,002 ruble, to wywieziono za granicę za

570,287 rubli i tu więc mamy bardzo pocieszający objaw rozwoju. Ciekawe są niektóre dane co do wywozu np. drobiu wywieziono 89,542 szt. jajek wywieziono 13,700,168 szt., owoców 124,283 pudy.

Liczba osób przebywających granicę, jest prawie jednakową dla obu stron granicy, a mianowicie przybyło z Galicji 27,109 osób, wyjechało do Galicji 26,364 osób.

Lud sandomierski czyni wrażenie nadzwyczaj przyjemne. Jest on bardzo grzeczny, uczynny i pobożny, a choć nie jest tak uprzedzająco gościnny jak lud kielecki, nie mniej jednak serdecznie wita gości w swej chacie, a za mleko zwykle nie chce przyjąć zapłaty. Mężczyźni noszą sukmany różnej barwy, traflają się i białe, i granatowe i brązowe, na głowach noszą rogatywki, lub kaszkiety, a w lecie duże słomiane kapelusze. Kobiety ubierają się barwnie, ale nie krzyżaco, barwy szat są łagodniejsze, niż w innych stronach kraju. Chlubę niewiastry stanowi znaczna ilość koralu zawieszona na szyi, a na wielkie uroczystości okoliczne, jak na odpusty do Sandomierza na Męczenników, lub do Sulisławic na święta Matki Boskiej, przywdziewają na się najpiękniejsze stroje i często sznury koralu gęsto spadają od szyi aż do stanu.

Brak drzewa daje się bardzo we znaki tutejszej ludności, to też często budynki stawiają z gliny ze słomą, a szopy często są bez ścian, tylko na słupach wspiera się dach słomiany. Mimo to lud jest tutaj zamieszany, a wpływ wzorowych gospodarstw w wielkiej własności ziemskiej, łatwo zauważyć się daje i w go-

spodarstwie włościańskim. Najwięcej widać to na bydło i trzodzie. Nie rzadko przed chałupą kmiećką spotkać można stojące rośle o pełnych wymionach krowy o holenderskiej krwi, a często pastuszek pasie stadko trzody chlewnej gromadzkiej o krótkich

zadartych ryjkach angielskich i obwisłych podgardlach. Najmniej znać wpływ ulepszenia rasy na koniach. Są to zawsze pełne, okrągłe, ale małe koniki, niezmiernie dalekie od wyciągniętych poderwanych ideałów stajni



Kompanja z Sulisławic.

dworskiej. Za to są one wytrwałe nie do uwierzenia. Ostrożność, z jaką sprowadzają wózek w głęboki jar po śliskiej drodze, lub wyteżona ambitna praca przy wciąganiu go na wyżynę, czynią je podobnymi do

drobnych dzielnych koni góralskich, wytrwałych a przezornych.

Szybko przebyły one drogę od Konar i nareszcie zdala ukazuje się tonący w zieleni wykwintny pałac w Górkach. Mijamy tam piękny młyn stawiany w guście szwajcarskim, gustowny park i ukazuje się nareszcie cały Klimontów, ze swemi dwoma kościołami i bezładnie rozrzuconemi domami miasteczka.

KLIMONTÓW.

Niegdyś miasto obecnie osada pow. Sandomierskiego, gub. Radomskiej. 4201 mieszkańców przeważnie żydów (76.8%), ma szkołę elementarną, sąd gminny, urząd pocztowy, aptekę, 2 lekarzy, fabrykę narzędzi rolniczych. W miasteczku zajazd krakowski, utrzymywany przez izraelitę i traktjernia Welca, gdzie na poczekaniu coś do zjedzenia zrobić mogą.

Dawne to gniazdo rodu Ossolińskich. Z tych Zbigniew, wojewoda Sandomierski, wyjednał u Zygmunta III przywilej na targi i jarmarki. Z pamiątek po dawnych dziedzicach pozostało dwa okazałe kościoły, a mianowicie:

Kościół Dominikanów

stoi na wspaniałem wzgórzu po lewej ręce od wjazdu ze strony Górek. Jakkolwiek tradycja mówi, że fundował go wojewoda Zbigniew, jednak z architektury wnosić można, że jest on o wiele starszym, a wojewoda może go tylko powiększył i Dominikanom oddał. Cichy i spokojny obecnie, ma wszystkie ce-

chy dawnych poklasztornych kościołów, gdzie noga ciekawego przechodnia budzi przeciągłe echa w pustych kurytarzach. Dotąd pozostał przy życiu ostatni po kasacji klasztoru Dominikanin O. Korneli Mikosiński.

W kościele na prawej ścianie prezbyterjum wiisi portret wojewody Zbigniewa z napisem:

Illustrissimo D. D. Ioanni Zbigneo de Tenczin Ossolinski Palatino Sandom. Capit. Stobnie. Stanislawo etc. Fratres Ordinis Praedica. Fundatori suo posuerunt 1627.

Wojewoda dobrego wzrostu, siwa broda spada mu na piersi, ręką wsparł się pod bok, delja bogata spływa mu z ramion, w całej postaci dużo buty. Maluje się w jego twarzy ta duma rodowa, boć to był obrońca magnackiej swawoli, nieulekły jej bojownik, co nawet przed majestatem tronu nie zaważał się cisnąć gorzkiego słowa.

W roku 1584 był on obrany na marszałka sejmu, a, będąc rozżalony na Jana Zamojskiego i Batorego o kaźń swego wuja Samuela Zborowskiego, wystąpił na sejmie z tak zjadliwą mową, przeciw kanclerzowi, że król porwał się z tronu i chwycił za szablę, aby ukarać śmiałka. Ledwie udało się senatorom uspokoić wzburzonego pana.

Parę ubogich nagrobków, jako to zmarłej w roku 1625 70 letniej panny Heleny Karskiej i ks. Macieja Glanceryna, proboszcza Kromołowskiego, zdołbi ściany kościoła. W podziemiach kościoła pokazują dobrze zachowane zwłoki butnego wojewody,

oraz kilka innych ciał. Drugim pomnikiem sławy Ossolińskich jest



Kolegjata.

Ma ona pięknie pomyślony fronton z dwiema wieżami, za którymi wznosi się okazała rotunda z kopułą, dość ciężką i przysadzistą. Kolegjatę wznosił syn wojewody Jerzy Ossoliński, brat Krzysztofa z Ujazdu, słynny kanclerz państwa za dwóch ostatnich Wazów. Po swym słynnym wjeździe do Rzy-

mu, wznosił on ten kościół, przeniknięty będąc potęgą bazyliki Piotrowej i jej wiekopomnej kopuły. Miała to być minjatura tamtej, ale rzecz cała bardzo się nie udała; wewnątrz kościół ma kształt rotundy wspartej na ciężkich filarach; w każdym z nich wstawioną jest okrągła kolumna, która się nic a nic nie tłumaczy po co tam stoi i czy co dźwiga, bo cały ciężar kopuły trzymają same filary. Po lewej stronie wisi portret kanclerza, który tu przedstawiony jest w młodym wieku jako bardzo piękny mężczyzna. Biała suto haftowana, szata obejmuje kształną jego postać, płaszcz, ozdobiony futrem, rzucony na ramiona. Portret zapewne odnawiany bo bardzo świeżutko wygląda.

Bardzo ładny jest chór z rzeźbioną postacią króla Dawida, grającego na harfie, kilka pomników z udatnie malowanymi twarzami zdobi ściany kościoła. Kolegjata ma obszerne podziemia, w których wybornie przechowywały się zwłoki nieboszczyków.

Kolegjata kilkanaście lat stała w tym stanie, jak ją ufundował kanclerz, proboszcz infułat, dziekan, kustosz, 4 kanoników i odpowiednia ilość niższego duchowieństwa, pełnili służbę przy tej świątyni.

Sam kanclerz ma być tutaj pochowany, lecz na pewno nie wiadomo, czy i które jest jego ciało.

Napad szwedzki za Jana Kazimierza zniszczył doszczętnie gmach tak, że zaginął ślad wspomnień o fundatorze. Gołe mury sterczały na pół w ruinie. Dopiero w r. 1727 Jakób Morsztyn wda. Sandomierski, z żoną swą Heleną z Kalinowskich, wnuką

kanclerza podźwignęli kościół, nadając mu obecny kształt.

Dzisiaj cicha to miejscina, ludność żydowska, jak w każdej u nas osadzie, wegetuje w nędzy i ciemnocie, trudniąc się drobnym handlem i partackimi rękodzielami. Ludność chrześcijańska obrabia trochę roli, gorszej tu niż w okolicy, że jednak ta praca nie wystarczylaby na wyżywienie rodzin, trudnią się też i rzemiosłami, głównie zaś mularstwem i bednarstwem.

Biedniejsi mieszczanie tutejsi często oba te rzemiosła uprawiają, pracują jako mularze w lecie, a jako bednarze w zimie. Brak fachowego wykształcenia paraliżuje rozwój tych gałęzi przemysłu, a arkaną rzemiosła przechodzą tradycją z ojca na syna.

Wyrobione w ciągu zimy roboty bednarskie rozwożą po jarmarkach do Koprzywnicy, Opatowa, Ostrowca, lub Sandomierza, w lecie zaś rozchodzą się po sąsiednich wsiach i miasteczkach za mularką.

Okolo 40 ludzi zatrudnia tu fabryka narzędzi rolniczych, która przy tak wysokiej kulturze rolnictwa w tych stronach mogłaby znacznie więcej się rozwinąć, gdyby poświęcono na nią odpowiedni kapitał nakładowy. Byłoby to prawdziwe dobrodziejstwo dla miasteczka, gdyby paręset ludzi znalazło tam zarobek.

Mimo usilną pracę mieszkańców miasteczka, wygląda ono bardzo biednie i odrapanie, z wielkiem też zdumieniem na dwóch porządnie murowanych domach ujrzy wędrownik napis: „Spółka komandytowa Klimontowska“ i „Klimontowskie Towarzystwo

pożyczkowo-oszczędnościowe". Zaiste, nie często można spotkać u nas tego rodzaju stowarzyszenia. Świadczą one o znacznej kulturności i uspołecznieniu mieszkańców tej okolicy, a są objawem tak sympatycznym i godnym uznania, że poczuwam sobie za obowiązek zwrócić na nie uwagę może więcej, niż ramy przewodnika winny mieścić.

Według łaskawie zakomunikowanych mi przez miejscowego lekarza Dra. Zysmana danych Spółka Komandytowa posiada dwa sklepy spożywczo-rolnicze jeden w Klimontowie, drugi w sąsiedniej Koprzywnicy. Spółka dostarcza ziemianom i włościanom narzędzi rolniczych, wyborowych nasion i wogóle przedmiotów w zakres gospodarstwa wchodzących. Posiada ona 56 uczestników z udziałami od 25 do 500 rubli, a obroty jej w ciągu lat 4 wzrosły o 25%. Dochód od udziałów z 4 1/2% podniósł się do 12 1/2%. Dowodzi to wielkiej żywotności Spółki, której sklepy są oblegane przez kupujących.

O wiele większe znaczenie ma dla okolicy

Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe.

Otrzymało ono zatwierdzenie Ministerjum Skarbu w Sierpniu 1898 r. W ciągu pierwszego roku Towarzystwo zyskało 300 członków i wypożyczyło 40.000 rubli. Towarzystwo udziela pożyczek krótkoterminowych, z obowiązkiem czuwania, aby użyte one były na ulepszenia w gospodarstwie, zakup inwentarza, spłatę długów lichwierskich i t. p. W cią-

gu owego roku wszyscy uczestnicy wywiązali się ze zobowiązań bez zarzutu. Towarzystwo przyjmuje też drobne depozyty, poczynając od 10 kop.

Gmina Klimontów obejmuje 3864 mórg powierzchni, w czem 81% ziemi ornej, 3,5% łąk, 8,6% lasów, 1,1% nieużytków, 41% ziemi stanowi własność włościan, a 53% większych właścicieli. Gmina posiada 9684 mieszkańców, z zaludnieniem 131 osób na 1 wiorstę kwadratową.

Ładna ta okolica na długo zostaje w pamięci. I te korytka w wąwozach i te wioski, i ten lud wesoły, co serdeczną pieśnią po polach jak ptak niebieski dzwoni, chwytają za serce podróżnego. Jak wesoło, naprz. grymasi dziewoja, przebierając kawalerów:

Oj tam w sadecku liście padają,
Moja matulu piersego rają
A ten piersy
W plecach sersy,
Ja nie pójdę za niego.

Oj tam w sadecku liście padają
Moja matulu drugiego rają,
A ten drugi
W stanie długi,
Ja nie pójdę za niego.

Oj tam w sadecku liście padają
Moja matulu trzeciego rają,
A ten trzeci
Bije dzieci,
Ja nie pójdę za niego.

Oj tam w sadecku liście padają
Moja matulu czwartego raju, .

A ten czwarty

Grywa w karty,

Ja nie pójdę za niego.

Nim jednakże dziewczyna zdecyduje się ostatecznie na wybór, nam należy ruszać w dalszą drogę. a tę z Klimontowa należy skierować do Ossolina, a nie daleko to, bo jest on stąd odległy zaledwie o 4 wiorsty. Droga mniej piękna niż z Ujazdu do Klimontowa, ziemie jednak urodzajne. Z dość daleka widać się daje baszta zamku Ossolińskiego i narazie ukazują się resztki tej pańskiej siedziby.

OSSOLIN.

Wśród mało kamienistej równiny sterczy wyniosła skała, otoczona głębokim parowem i stanowi punkt już jakby przez naturę stworzony pod budowę obronnego zamku.

Nic też dziwnego, że już w r. 1340 Jaśko Owca, syn Nawoja z Przegini, herbu Topór założył tu osadę na skale wybudował dworzyszcze które, stało się gniazdem tyle głośniej rodziny Ossolińskich. W wieku XVI i XVII wzmógł się ten ród w niesłychaną potęgę, a do zenitu wzniosł go potężny Jerzy Ossoliński, Kanclerz Wielki Koronny. Skromne dworzyszcze Jaśka Owcy nie mogło pomieścić wielkiej chwały księcia kanclerza, wystarczyło ono ojcu jego wojewodzie Zbigniewowi, lub dziadowi Pawłowi, co na kanclerzów sandomierskiej siedział, a „był człek roztrząsany i mężny“ według Paprockiego.

To też po powrocie z Rzymu z owej sławnej legacji do papieża Urbana VIII, kazał kanclerz zwać stary dwór w Ossolinie, a na szczycie skał postawił sobie zamek „na wieczność murowany“ w r. 1636. Wśród jarów za zamkiem rozciągnęły się ogrody

włoskim gustem urządzone, rzeczulka płynąca przez głęboki jar czyniła całą miejscowość i obronniejszą i malowniczą.



Baszta w Ossolinie.

Nie żałował książę Kanclerz grosza na tę budowę, a choć milionami, jak brat Krzysztof nie szafował, bo był na to zbyt oszczędnym, jednak stworzył prawdziwie wspaniałą siedzibę nie tak imponującą

swą wielkością, jak pełnem gustu, wykwintnem urządzeniem wewnętrznem.

Zamek był stawiany w stylu późnego włoskiego renesansu. Miał on kształt kwadratowy z czterema okrągłemi basztami po rogach. Wzniesione facyjaty, zdobne wykwintne lekkie wieżyczki, zasłaniały dachy zamkowe, a na szczycie budowli dwa posągi: cnoty i mądrości panowały nad całą okolicą.

Trzy bramy potężne wiodły do wnętrza, jedna była od strony Sandomierza, druga nad fosą z mostem zwodzonym miała piękną z ciosowego kamienia facyjatę, trzecia była zdobną w artystyczne gipsatury.

Niewielki dziedziniec znajdował się wewnątrz, a gmachy zamkowe dwoma piętrami wznosiły się dokoła.

Mimo niewielki swój obszar mieścił zamek 22 pokoje, 2 duże sale i kaplicę w baszcie. Przepych urządzenia wewnętrznego był niesłychany: wszędzie posadzki, kominy i futryny marmurowe, gzymsy od złota kapiące, w oknach szyby kryształowe w olów sprawne, sufity malowane cudnie, rzeźby bogate drzwi pokrywały. Licznie zaopatrzona biblioteka, suto złożona, zawierała cenne dzieła, a ze ścian jej spoglądały oblicza antenatów kanclerskich.

W wielkiej sali balowej potrójny gzyms złocisty dźwigał 13 bogato rzeźbionych i malowanych beltek, wspierających sufit, a między belkami cudnym kunstem miasta, okręty i dziwy zamorskie były malowane. Liczne portrety przodków w bogatych ramach zdobiły salę, a część jednej ze ścian zajmował

olbrzymi komin marmurowy, gdzie dwa posągi podtrzymywały tarczę z herbowym toporem kanclerza.

Na drugiej ścianie wisiał obraz, przedstawiający ów sławny wjazd Ossolińskiego do Rzymu.

Jako dwie przewodnie idee swego życia postawił kanclerz na szczycie zamku owe posągi mądrości i cnoty, a pod nimi umieścił stosowne napisy. Mądrość powiada: „Trzymam pierwszeństwo w rządzie bogów tego świata. Świat cały moim kościołem, częstokroć towarzyszę cnocie, nigdy jej nie szpeczę. Wykonuję jej przedsięwzięcia, wspieram rady, strzegę honoru, rozszerzam i uwieczniam chwałę. Każdy umysł wysoki szukał mnie zawsze, żadne szlachetne serce naukami memi nie wzgardziło, a kto mnie wyłącza z szczęśliwości swojej, ten się wyzuwa z natury ludzkiej“.

„Jam jest cnota—mówi drugi posąg—która naczynam cenę przeważnym dziełom, przed którą wszystkie wielkości, wszystkie blaski nikną. Ojczyzną moją jest niebo, w sercach wspaniałych domój zakładam. Czyliś się w gminie, czy w nędzy urodził, pójdź na łono moje synu nieodrodzony. Gotowam podać rękę żebrakowi, byle się niedoli swej nie wstydził, twardy los mężnie zniósł i mężnym umysłem poprawiał. Zarasta cierniem moja droga, atoli przez nią wdzierają się bohaterowie ponad obłoki, po niej śmiertelny człowiek nieśmiertelności dośłużyć się może. Nie zagłuszy mnie zazdrosnych wrzawa, okrzyki niebian serca mi dodają“.

„Na wieczność“ murowany zamek przetrwał rzeczywiście długo. Przeciągnęła nad nim jedna

i druga wojna szwedzka i konfederacja barska i opłakane czasy końca XVIII wieku, aż dopiero rok 1806 w gruzy go zamienił.

Ówczesny właściciel Antoni hr. Ledóchowski w oczach całej rodziny, mimo usilnych jej prośb, polecił zamek burzyć, aby syn jego, co miał pojąć te włości, nie silił się na odpowiedni zamkowi przepych. Argument rzeczywiście nie do pojęcia. Inni jednak twierdzą, że stary hrabia miał pewną nadzieję znalezienia olbrzymich skarbów, które jakoby sam kanclerz miał tam ukryć.

Podobno rzeczywiście przy rozbiórce znaleziono mały srebrny kredens, który jednak, spadając po skałach, rozbił się w tysiączne kawałki.

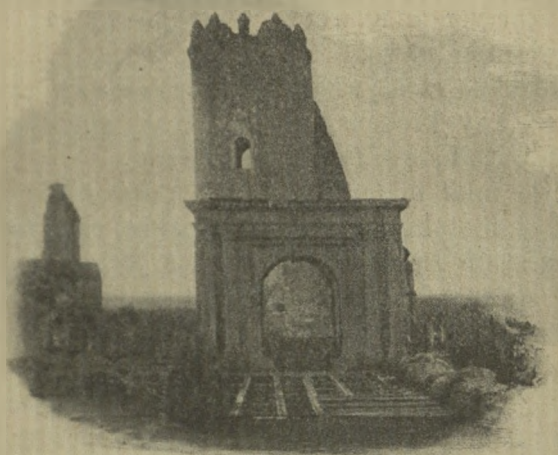
Tyle miał materjalnego zysku wandaliski właściciel, w moralnym zaś zysku miał żal całej rodziny i oburzenie ziomków; zaiste dziś jeszcze każdy żyć musi na wspomnienie tego świętokradzkiego czynu, spełnionego tak bezcelowo przez zamożnego obywatela własnego kraju.

Dziś zaledwie ciosowa brama z napisami i herbami, oraz jedna baszta okrągła pozostały. Most na pięknej arkadzie łączył zamek z folwarkiem, lecz dziś tylko parę pogniłych belek tam leży, całość zaniedbana i opuszczona, że serce ścisza się patrząc na ten obdarty szkielec, sterczący szczątkami swej wielkości.

Gdyby najsurowszy asceta chciał mówić długo o kazaniu na temat znikomości rzeczy tego świata, nie mógłby lepiej przekonać słuchaczy, jak przedstawić im te magnackie rezydencje w Ujeździe i Ossolinie,

kędy takie bogactwo, taka siła i potęga się kryły, a dziś w takim upadku i upodleniu bezwładne leżą.

To grzmiące imię Ossolińskich, co przez pół wieku prawie wypełniało karty dziejów naszych, co znanem było od Tybru do Nowogrodu i od Krymu do Londynu, starte zostało tak szybko z widowni, że na-



Brama wjazdowa.

wet prochów, nawet kamieni grobowych nie pozostało ni z krewkiego wojewody Zbigniewa, ni z jego dumnych synów.

Jak wysoko wzbił się ów ród, do jakiej doszedł potęgi, wskazują nam dzieje samego Kanclerza.

Jerzy Ossoliński.

Ostatnią pociechę starego wojewody Zbigniewa był najmłodszy syn jego Jerzy, którego w dniu 15 Grudnia 1595 roku powiła mu w Sandomierzu druga jego żona Anna Firlejówna.

Matka odumarła pięcioletnie pacholę, a spokojne konanie zakłócała jej troska o małego synka. Bała się ojcowskiej dla benjaminka słabości, więc zobowiązała męża, aby chłopię wychowywane było przez wierną sługę do lat siedmiu, poczem oddane do szkół.

Serdecznemi słowy zaklina ta czysta i szlachetna matrona swego małżonka „jakom nikogo upodobańszego w oczach moich nad małżonka mojego nie miała i z tem też umieram, przeto proszę, abym i po śmierci doznała miłości w wypełnieniu tej ostatniej woli mojej“.

Zbolały ojciec wysłał małego Jerzego z domu, a w siódmym roku oddał go na edukację do Jezuitów w Pułtusk.

Stary wojewoda doszedł do potęgi i znaczenia przez wierną służbę dla interesów rakuskiego domu. Tem też wysłał syna po trzyletniej nauce w Pułtusk.

Przybył Jerzy na dwór arcyksięcia Ferdynanda * polecającym listem od jego rodzonej siostry, Zygmuntownej żony, Konstancji.

Arcyksiążę miłościwie zajął się pacholęciem i umieścił je w słynnej naówczas akademii jezuickiej * Gracu, gdzie Jerzy zasłynął jako najlepszy uczeń, a Ferdynand otaczał go prawdziwie ojcowską opieką.

Po czterech latach wrócił Jerzy do kraju, aby po paromiesięcznym pobycie znów wyjechać za granicę. Teraz zwiedził Holandję, Flandrję, Anglję, Francję, Włochy, skąd go ojciec nagle powołał do kraju.

Otwierała się tu droga do kariery: Zygmunt III zamierzał zająć tron moskiewski dla siebie, lub syna Władysława. Młody królewicz miał sam orężem zdobyć stopnie tego tronu, i wyruszyła wielka wyprawa na Moskwę w r. 1617, gdzie przy boku królewicza stawiał Jerzy pierwsze kroki swej kariery politycznej.

Miał tam dosyć przykrości, gdyż chciał zwalczyć wpływ potężnego faworyta Władysława, Stanisława Kazanowskiego. Stąd częste utarczki między rywalami, zmienna łaska królewicza, nad którą tak bardzo bolał ambitny wojewodzie.

Smutne były dzieje tej wyprawy: z pod samych murów nieprzyjacielskiej stolicy cofnęły się hufce królewicza, a Jerzy aż drżał do powrotu, ciągnęło go bowiem serce do ukochanej niewiasty Izabelli Daniłowiczówny, podskarbianki koronnej.

Początkujący młodzian, dotknięty niełaską królewicza, nie mający, jak sam pisze „kąta, kędyby konia swego rozsiodłać mógł“ ani wielkością imienia, ani fortuną, ani pozycją nie dorównywał innym konkurentom nadobnej podskarbianki, która w szeregach wielbicieli liczyła wojewodów i kasztelanów. Ale za młodym Jerzym przemawiał silny rzecznik dla panny, to jest jego uroda. Regularne rysy twarzy, wysokie i pięknie sklepione czoło, jasne duże oko,

klasycznie wycięte usta, wysoki wzrost, senatorska powaga młodej czerstwej twarzy, a imponująca grandezza w ruchach musiały uczynić silne wrażenie na



Portret Jerzego Ossolińskiego.

młodej dziewczęce. Po wielu latach, gdy burze żywota poorwały w bruzdy oblicze kanclerza, jeszcze owa imponująca powaga pozostała wypisana na jego twarzy.

Ojciec jednak miał dla niej upatrzoną najświetniejszą partję w księciu Januszu Ostrogskim, najpotężniejszym podówczas panu w Rzeczypospolitej. Książę jednak, jadąc w konkury, zachorował i umarł. a Jerzy z tego powodu „za tak wielką opatrność Bożą świętemu Jego Majestatowi kornie dziękuje”.

Zniewolony stałem uczuciem córki i popierających ją kobiet swego domu zezwolił podskarbi na związek i 17 maja 1620 roku odbyło się huczne wesele, na którem był i król i królowa szwedzka z wielu senatorami i chmarą szlachty.

Ojciec wojewoda uczynił dział majątkowy i Jerzemu przypadło rodzinne miasto Ossolin, Goźlice, Zakrzów, Pechów, Chorzew, Klimontów i Nowa wieś, posag młodej Izabelli nie zbyt był wielki, bo tylko 20000 złp. w gotowiźnie i 5000 w klejnotach wynosił.

W tym też czasie przyjmuje Jerzy i cała rodzina tytuł hrabiów na Tęczynie, jaki przelał na Zbigniewa jego wielki przyjaciel Tęczyński kasztelan wojnicki.

Poparcie teścia podskarbiego Daniłowicza, hełmana Chodkiewicza i nowego kanclerza Lipskiego pchnęło Jerzego na wielkie wody polityki europejskiej. Powierzono mu poselstwo do Anglii o pomoc w zapowiedzianej wojnie z Turcją.

Król Jakób przyjął go nader łaskawie, przyrzekł pomoc czynną, pozwolił werbować żołnierza, a posła przez parę miesięcy na swoim dworze hucznie przyjmował.

Ossoliński po powrocie do kraju czuł się w nim obcym. Całą swą młodość przepędził po za jego granicami. Rozumował nieraz dobrze, ale kochać nie umiał. Miłość ojczyzny nie jest uczuciem wrodzonym, nabiera się jej od kolebki, rozwija w młodzieńczem życiu. Kochamy ojczyznę, jak kochamy dom rodzinny. Dla obcych może być on biedny i pusty, dla nas mimo to jest drogi, choćby nam same cierniska przynosił; to święte uczucie miłości każe nam kochać tę ziemię i nie tylko poświęcać dla niej życie, ale często umieć, zniżyć wyniosły umysł do poziomu współrodaków.

Tego uczucia Ossolińskiemu brakło, stąd też zawsze w swym ojczystym kraju czuł się obcym. Nie umiał go kochać i stąd nie był sam kochanym.

Nawet języka ojczystego dobrze nie znał, przez parę lat musiał więc usunąć się od życia publicznego. Dopiero w r. 1630 wybił się na podstolstwo koronne, w 1631 został marszałkiem sejmu, a Zygmunt III na śmiertelnem łożu dał mu podskarbiostwo nadworne.

Podczas konwokacji i elekcji Władysława IV tak umiał pozyskać sobie młodego króla, że mu ten przywrócił łaskę odjętą jeszcze pod murami Moskwy, a po koronacji hojnie go wynagrodził, dał mu bowiem swój pałac w Warszawie, szablę, na 10,000 zł szacowaną, sześć wspaniałych koni, 60,000 zł. gotówką, pyszne obicia, któremi był w czasie koronacji osłonięty chór krakowski i nareszcie najbogatsze w kraju starostwo bydgoskie.

Objąwszy tron jagielloński, król Władysław był pełen żądzy sławy. Złamanie potęgi otomańskiej

uwolnienie uciemnionych ludów chrześcijańskich, zdobycie Grobu Świętego było marzeniem tej rycerskiej natury.

Zwyczajem przodków pragnął Władysław oświadczyć uległość względem Stolicy Piotrowej i za jej wpływem rozbudzić w Europie krucjatę przeciw Turkom. Nie zdało się znaleźć godniejszego do tej poważnej misji męża, jak młody podskarbi nadworny, jemu więc to poselstwo powierzono.

Posel wybrał co najprzedniejszych z młodzieży polskiej, przygotował się do podróży z niebывałym przepychem i przez Wiedeń do Włoch pociągnął.

Co tylko Rzym miał w swych murach dostojnego i wybitnego, wszystko pospieszyło witać u bram wspaniałego posła, o którego przejeździe przez Padwę, Ferrarę, Bononię, Loret skrzydlate wieści już były przybiegły.

Sam poseł, chwilę zatrzymawszy się przy witających go stanach, pospieszył do łoża starego Urbana VIII, niosąc mu jako dar od swego monarchy autentyk: przywilej nadawczy cesarza Konstantyna Wielkiego, oddający papieżowi miasto Rzym.

Ciekawe są losy tego dokumentu, który po zdobyciu Konstantynopola dostał się do Moskwy, a stamtąd hetman Żółkiewski przywiózł go do Warszawy; po czternastu wiekach wrócił nareszcie tak wysoce historyczny dokument do wiecznego miasta w rękach wykwintnego podskarbiego.

W tydzień później odbył Ossoliński ów uroczysty wjazd do Rzymu, o którym tak głośno w opisach owych czasów:

„27 listopada, dzień niedzielny, przeznaczony do wjazdu, wcale nie wróżył pogody. Niebo pokryte chmurami, lada chwila ulewnym deszczem groziło. Ossoliński i cały dwór jego nie bez przykrości wyglądał przybycia dworzan kardynalskich, urzędników poselstw zagranicznych i szlachty rzymskiej, którzy go wedle zwyczaju do miasta prowadzić mieli. Przybyli jednak wszyscy z wielką wystawą, za nimi wielu prałatów, biskupów, opatów, książąt, margrabiów i hrabiów, dwory poselstwa francuskiego, hiszpańskiego, cesarskiego i wielkiego księcia Etrurji, i przedstawiali się kolejno posłowi, który każdemu coś uprzejmego powiedzieć umiał. Tymczasem niebo się wypogodziło. Nadeszli szwajcarzy papiescy z muzyką i pochód ruszył w przepisany porządku bramą Flamińską. Tutaj czekał nań marszałek dworu papieskiego z licznym orszakiem prałatów i szlachty, i, przywitawszy w imieniu papieża, do pałacu go prowadził najdłuższą drogą, przez rozmaite ulice, ażeby pokazać ludowi tę niewidzialną pompę. Przez cały ten czas służyło jak najpiękniejsze powietrze, słońce niemal lipcowe. Ulice zapchane były karetami i tłumami ludu; na balkonach, w oknach, na dachach nawet, mnóstwo było widzów.

Pochód otwierali dwaj przystawi po polsku ubrani, na dzielnych koniach, za nimi muły i wielbłądy dźwigały tłumoki posła. Mułów było 30, wszystkie przykryte długimi oponami z szkarłatnego sukna, na których błyszczały herby posła złotem wyszyte. Dziesięć wielbłądów ze srebrnymi dzwonkami niesły drogie sprzęty pokojowe, pokryte jedw-

bnemi oponami, tkanemi złotem. Za niemi czterej trębacze posła, których sztukę całe miasto podziwiał, przygrywało postępującej gwardji kozackiej, złożonej z 34 jeźdźców od stóp do głów uzbrojonych, w mundurach z różowego jedwabiu złotem litych, z białemi piórami u czapek. Za nimi szła szlachecka gwardja papieska z muzyką, oraz dworzanie kardynałów, z kapeluszeniami kardynalskiemi na plecach.

Drugi orszak otwierał poważny starzec z długą białą brodą. Suknię miał złotą, perłami sadzoną, bogata tarcza wisiała u łoku, w ręku trzymał dzię perskim obyczajem. Jechał spokojnie, a skrzydła z piór żórawich roztoczone od kulbaki, zdawały się go unosić. Z podziwieniem patrzono na tego starca. Był to giermek Ossolińskiego, za którym na dzielnych koniach trzydziestu pokojowców posła jechało. Mundury polskie z niebieskiego aksamitu, sahajdaki i łuki berberyjskie w srebro oprawne, czapki czerwone, konie kasztanowate, rząd na nich srebrny, na łbach pióropusze ze strusich piór. Trzęsły forgami, i rozbijając niespokojnie nogami, parskały wesoło. Za nimi prowadzili mastalerze sześć koni tureckich tak pięknych, jakich w Rzymie nie widziano. Rzędy szczerem złotem kowane, strzemiona złote, czapraki dyamentami, rubinami i szmaragdami haftowane. Na czołach sztuki klejnotów, z których każdy wart był do 20,000 szkudów (10,000 dukatów), mieniły się przy blasku słońca, a kiedy dwie podkowy złote umyślnie w tym celu złamane odpadły i na łup gminowi się dostały, podwoiła się uwaga i szmer tłumu, który sobie tę nowinę z ust do ust podawał. Jechał

za tymi końmi koniuszy posła, trzymając srebrną buławę w ręku, a za nim orszak dobranej młodzieży dworskiej, która urodą i zręcznością nader przyjemne wrażenie robiła. Wszyscy w perskich złotogłowiach, jednakowo ubrani, szable, handziary i siedzenia od złota. Drugi ten oddział pochodu zamykał orszak dworzan posła hiszpańskiego i kardynałów.

Ujrzano teraz nadjeżdżającą kawalkatę dwudziestu przedniejszych dworzan polskich nad przepych ustrojonych: od soboli rezańskich i nóg rysiów perskich... mało znanych z wartości swej Rzymianom. Przodkował marszałek dworu Ossolińskiego z buławą srebrną w ręku. Za nim w strojnym orszaku kawalerów francuskich jechał książę de Richmond, krewny posła francuskiego i dworzanie papiescy.

Następowali w niejakiej odległości świeccy i duchowni urzędnicy poselstwa i przyjaciele posła, pojedynczo jeden za drugim, każdy prowadzony przez dwóch kawalerów rzymskich. Tak bogato i wspaniale wyglądali, że wszystko poprzednie gasło. Jechał nasamprzód Komorowski, kanonik krakowski, trzech Naruszewiczów, synów podskarbiego Wielkiego Księstwa Litewskiego, Wężyk, synowiec prymasa, Krzysztof Lanckoroński i Stanisław Miński, dworzanie królewscy; dalej Lipski, kanonik płocki, Ronkali sekretarz królewski i Korniak, siostrzeniec posła. Najbardziej się podobał młody Ciekliński, sekretarz królewski. W długiej szacie, skłniony od złota i szkarlatu, kamieniami drogiemi oświecony, siedział na ślicznym anatolskim rumaku, który nie przerywając

poważnego pchodu, z przedziwną gracją igrał ze swoim jeźdźcem i z zadziwiającą szybkością najrozmaitsze skoki wykonywał. Patrzone nań z ciekawością, a kiedy złoty młodzieniec, ujrawszy większy tłum ludu, podskoczył naprzód i rzucając się w bok, jednym zgrabnym ruchem zerwał łańcuch od munsztuku i złote ogniwa pomiędzy lud rozrzucił, kawalerowie przyjęli ten żart oklaskiem, w który cały lud zawtórował.

Nadjechał zwolna wspaniały orszak młodzieży pierwszych domów polskich, przybyłej umyślnie do Rzymu, aby wjazd obecnością swą uświetnić. Nie świecili złotem ani jaskrawością kolorów, i zaledwo bliżej stojący mogli dojrzeć bogactwo, które się w przepysznych koniach, spinkach, guzach i sobolach ukrywało. Jechał wśród nich Zebrzydowski, Tarnowski, Gosiewski, dwaj Firlejowie, Lubomirski, a w końcu na karych przepysznych koniach z kitami z czarnych strusich piór dyamentami sadzonych: Mikołaj Ossoliński, synowiec pośła, Grudziński, wojewódzic kaliski i Daniłowicz, starosta parczowski.

Huczne okrzyki i cisnące się tłumy oznajmiały zbliżenie się pośła. W ruchomym szpalerze szeroko rozstawionych Szwajcarów, poprzedzony kompanią piechoty polskiej w mundurach niebieskich z guzami i piórami srebrnemi, jechał Gembicki, sekretarz poselstwa; tuż za nim dwóch prałatów strojnych we fiolety: arcybiskup amazyjski, marszałek dworu papieskiego, i Cajetani, patriarchy aleksandryjski a w pośrodku nich Ossoliński. Ubiór jego w odległości szary, za zbliżeniem rozrzucił iskry dyamentów. Wy-

glądał jak szary zmierzch. Suknia na czarnym jedwabiu w złote łuski haftowana, bogatem futrem ozdobiona, miała u spięcia po 20 szerokich pętlic dyamentowych i tyleż guzów sporych, każdy z jednej sztuki dyamentu. Karabela klejnotami sadzona na 20,000 szacowana, czołdar perłami i rubinami posuty. Siwy koń świecił chryzolitami, strojny w czarne pióra, przy uszach czuby gęsto dyamentami przeplatane; siedzenie na nim a nawet strzemiona drogiemi kamieniami sadzone. Ten strój dyamentowy dawał blasku poważnej urodzie pośła. Łagodnym uśmiechem okazywał swą wdzięczność ludowi, który go wśród radosnych okrzyków do poselskiego prowadził pałacu. Tam, gdy wjeżdżał, powitał go huk armat z zamku Ś. Anioła.

Posel pomyślnie załatwił sprawy dyplomatyczne, zręcznie lawirując, przeprowadził kilka zupełnie sprzecznych sobie zawikłań, a nuncjusz papieski w Polsce, pisał z goryczą „Ten człowiek przybył do Rzymu z maską na twarzy“.

Nie mniej pomyślnie od publicznych złożyły się jego sprawy osobiste: prócz mnogich podarunków ofiarował mu papież dyplom, zamieniający jego rodzinny Ossolin z przyległościami na księstwo, a jemu i jego następcom nadał tytuł „dux in Ossolin“.

Wracając, posel odwiedził Florencję, gdzie czynił kroki o małżeństwie swego pana z księżniczką Katarzyną Medici, następnie przez Mantwę przybył do Wenecji pociągnął do Wiednia. Tam cesarz Ferdynand gościł go jak swego krewnego. „Jestem dla ciebie dawnym Ferdynandem z Gracu“, mówił

doń, ściskając go serdecznie, „nie pozwolę ci odjechać, dopóki się z tobą nie nagadam i nie nacieszę“. Kiedy po serdecznej tej gościnie Ossoliński wyjeżdżał z Wiednia, otrzymał od cesarza w darze dyplom, który jemu i jego potomkom nadawał tytuł księcia Cesarstwa Rzymskiego, równając go w prawach i honorach ze wszystkimi książętami Rzeszy.

Król nagrodził go również wspaniale, dając mu Siewierszczyźnie olbrzymie dobra.

W trzy lata później widzimy znów Ossolińskiego w Linzu u cesarza i na sejmie Rzeszy w Ratyzbonie. Cesarz przyjmuje go serdecznie. „Będziemy mieli o czem pomówić w zaufaniu, bo ja Waszę Wysokość od małego chłopca jaknajmocniej ukochałem“ rzekł mu cesarz przy powitaniu. W Ratyzbonie Ossoliński zachęcał zebranych elektorów o zatwierdzenie następstwa syna Ferdynanda II na tron cesarski, następnie traktował sprawę małżeństwa Władysława z Cecylją Renatą arcyksiężniczką. Popierał usilnie interesy Rakuskiego domu, wyciągając wzamian obietnice pomocy do odzyskania dla króla Polskiego dziedzicznej Szwecji.

Zadowolony z traktatów król mianował go wojewodą Sandomierskim a cesarz z płaczem mu dziękował za serdeczne poparcie interesów jego domu, a, zdjawszy z palca kosztowny pierścień, włożył go na palec Ossolińskiemu.

Nie tak pomyślnie szło Jerzemu w kraju. Szlachta, zagniewana nań, że popierał dworskie sprawy, zażądała na sejmie w 1638 roku zniesienia tytułów książęcych. Jerzy, już wówczas podkanclerzy ko-

ronny, pragnąc uspokoić umysły, rzekł się swych tytułów, mimo, że straszna burza miotła dumnem jego sercem.

W r. 1643 otrzymał wielką pieczęć kanclerską po Piotrze Gembickim, a stanowisko jego u dworu i w Rzeczypospolitej wzmogło się ogromnie. Po śmierci Cecylji Renaty Ossoliński stał po stronie małżeństwa z francuską, co mu zapewniło poparcie nowej królowej Marji Ludwiki.

Najważniejsze sprawy krajowe bierze w swoje ręce: przewodniczy na zjeździe różnowierców z katolikami w Toruniu, na owem sławnem *Colloquium Charitativum*, o którym tak wiele pisano wówczas i dzisiaj jeszcze. Wielką sławą okrył ten zjazd imię Władysława IV. Mnóstwo cudzoziemców zjechało do Torunia, aby uczestniczyć w tak niezwykłym zjeździe, który jednak żadnych praktycznych rezultatów nie wydał, a „każdy ze swoim zdaniem odjechał“.

20 Maja 1648 roku zmarł król Władysław w Mereczu, a z nim zagasły ostatnie dni potęgi i szczęścia Rzeczypospolitej. Cios ten tak dotknął kanclerza, że został paraliżem ruszony i stracił władzę w obu rękach.

Prymas, do którego należała władza podczas bezkrólewia, był zgrzybiałym starcem, złożonym chorobą (Maciej Łubieński), Ossoliński przeto na swych barkach dźwigał losy kraju. A tu z chmur brzemiennych burzą poczęły już bić gromy w skołataną nawę państwa. Nadeszła wieść o klęsce pod Żółtymi Wodami, o pogromie hetmana pod Korsuniem, o połączeniu ordy z Chmielnickim.

Złamany chorobą kanclerz całą swą energję wyczerpał, by podołać sterowi państwa w tak okropnych warunkach. Do cierpień fizycznych i moralnych dołączył się straszny cios rodzinny. Jedyne dziecko, chluba i nadzieja, duma i przyszłość rodu, konał na rękach zrozpaczonego ojca.

Z rzymskim zaiste stoicyzmem znosił te straszne ciosy kanclerz, oddany zupełnie sprawie publicznej, ale i tu nie umiał iść z biegiem rzeczy i rządził bezwzględnie, pomijając zasłużonych w kraju ludzi dla osobistych widoków.

Zniechęcił cały naród, mianując trzech regimenterzy nad wojskiem i pospolitem ruszeniem: ks. Dominika Zasławskiego, Mikołaja Ostroroga i Aleksandra Koniecpolskiego. Pogardliwie zwała ich szlachta „Pierzyna, Łacina i Dziecina“, ujmując się za odsuniętych od dowództwa nad wojskiem zasłużonych wodzów, jak kn. Jeremiego Wiśniowieckiego, Janusza Radziwiłła, lub Stanisława Lubomirskiego. Pomimo silnej opozycji stronników królewicza Karola, Ossoliński wprowadził na tron Jana Kazimierza: bogate starostwo lubelskie, 40,000 florenów przynoszące, było za to nagrodą.

Ciągłe walki z kozakami postanowiono zakończyć walną rozprawą i król, zebrawszy wojsko ruszył na Ukrainę, mianując Ossolińskiego naczelnym wodzem (*generalissimus*) całej armji. Nieograniczony wpływ wywierał on wtedy na króla, obóz, senatorów i wszystkie sprawy krajowe.

Wojska królewskie liczyły zaledwie 25,000 ludzi, a w nieszczęsnej bitwie pod Zborowem oto-

czył je Chmielnicki ze 150,000, a han ze 100,000 ludzi.

Król, senatorowie, całe wojsko poszłoby w jasyr do Krymu, lecz Ossoliński zaproponował traktaty z hanem. Upokarzająca była rozmowa kanclerza z wezyrem hańskim na placu pomiędzy armjami, jednak doprowadził do możliwie w tych warunkach wygodnej umowy i choć z niesłychanym wstydem i hańbą zakończyła się ta zborowska wyprawa, jednak Chmielnicki z hanem cofnęli się z pod Zborowa. Żałobny to był ten dzień 15 Sierpnia 1649 r., gdy podpisano owe haniebnie dla Rzplitej traktaty.

Za wszystkie klęski narodowe winiono Ossolińskiego, ugiął się kanclerz pod brzemieniem oskarżeń, paszkwilów i osobistych przymówek, choroba nurtowała go, złamana duma wyczerpała jego siły i 9 Sierpnia 1650 roku głos dzwonów w Warszawie obwieścił miastu śmierć potężnego kanclerza.

Obowiązany mu za koronę król „w dzień jego zgonu był nadzwyczaj wesoły i pełen śmiechu“, naród zacytywał się paszkwilami, ciskaniami teraz bezpiecznie na zmarłego:

Legł Ossoliński kanclerz od wielkiej choroby.
Bo inna zmóźdz nie mogła tak wielkiej osoby,
Głowa jego gorąca sejmami mieszała.
Choroba też sejmowa z świata go porwała.
Prawem kaduka chciał brać cudze majątności,
Kaduk za to samego cisnął jegomości.
I aby każdy poznał, że to był mąż święty,
Zginał taką chorobą, jak święty Walenty.
Rzadka u nas choroba, niezwykła w tym domu,

Ależ bo kanclerz nie chciał być równym nikomu.
Śmierć twoja wielki mężu nie w smak wszystkim
[była,

Bo cię za późno zgładziła.

Na takie wspomnienie pośmiertne zdobyła się szlachta dla znieenawidzonego kanclerza. Ciało jego wśród najsroźszej burzy, straszego wichru, piorunów i grzmotów „jakby Sąd Pański następował” przewieziono ze wspnianego pałacu przy ulicy Reformackiej do Klimontowa. Mała tylko garstka przyjaciół przybyła oddać ostatnią posługę potężnemu niegdyś ministrowi.

Po zmarłym zostały w spuściźnie jego mowy łacińskie, jakie miał do dostojnych osób podczas swych poselstw. Zwłaszcza mowa do króla Jakóba miała w swoim czasie niezwykle powodzenie, a kilka tysięcy jej egzemplarzy rozeszło się w Londynie w ciągu jednego dnia.

Mistrzowskim piórem wskrzesił tę postać Dr. Ludwik Kubala w swej pracy p. t. Jerzy Ossoliński (2 tomy, Lwów 1883), skąd cały życiorys kanclerza czerpałem.

Godną widzenia jest w Ossolinie kapliczka w ziemi, zwana Betleem, zbudowana przez kanclerza. Cały cmentarz koło niej ogrodzony, u bramy dwa domki dla pustelników. Cmentarz zarosły kwiatami i krzewami. Dalej rysuje się piękna arkada wejścia do kapliczki. Z wierzchu kaplica pokryta jest ziemią umyślnie sprowadzoną z Betleem, na której dziś bujnie krzewią się rośliny. Przed bramą

wejściową stoi kamienna figura N. M. P. z XVII wieku. Klucz od kapliczki jest we dworze i można go otrzymać, poprosiwszy o to.

Na lewo od Ossolina widać biały kościół w Gozlicach, gdzie Warsz, kasztelan sandomierski, pobił Romana kniazia Halickiego.

Z Ossolina droga idzie dalej na piękną wieś Nasławice, gdzie park rozrzucony po stoku wzgórza otacza zielenią miły dworek. Dalej rozciągnęła się długa wieś Świątniki tyle znana w historii ze swej służby przy kolegiacie Sandomierskiej. Podanie mówi, że królowa Jadwiga, jadąc do Sandomierza, wśród strasznej zamieci śnieżnej zbłąkała się w tej okolicy i ledwie dotarła do najbliższej chatki, gdzie w oknie migało łuczywo. Mieszkańcy wioski z chętną pomocą pospieszyli podróźnej, nie wiedząc nawet, kto ona jest. Wydostano wozy ugrzęzłe w śniegu, poprawiono uprzęże, a dostojna podróżna czekała w chatce kmiecej na ukończenie tych prac. Byłać to przecie wnuczka króla chłopków, nie lękała się więc ubóstwa kmiecej siedziby. Wieśniacy dali przewodników, którzy wyprowadzili dostojną panią pod Sandomierz.

Przez wdzięczność za gościnne przyjęcie wydała Jadwiga mieszkańcom wioski akt uwalniający ich od wszelkich ciężarów, opłat, czynszów i t. p. pod warunkiem jedynie pełnienia służby przy sandomierskiej świątyni, stąd otrzymali oni i ich wieś nazwę „Świątniki”. Do dzisiaj jak najcenniejszą relikwię przechowuje gromada ten przywilej królowej Jadwigi, chroniąc go szczęśliwie przez pięćset lat.

Zobowiązania swego do służby przy kościele dotrzyмали świątnicy również prawie tak długo, a mianowicie do r. 1864. Czterech ich zawsze w barwnych strojach wiejskich pełniło służbę w kole-gjacie.

Zaraz za Świątnikami ciągnie się wieś Bileza, kędy często przebywał tyle zasłużony pisarz Jan Kanty Gregorowicz, pisujący często pod pseudoni-mem Janka z Bilezy.

Dzięki jemu posiadamy wiele opisów tutejszych stron, obrazów z życia ludu sandomierskiego, jego pieśni, zabawy, wierzenia, charakter pochwycone wiernie i barwnie skreślone. Obrazki te Gregorowi-cza cieszyły się wielką poczytnością w swoim czasie, szkoda że dziś mało kto do nich zagląda.

Za Bilezą droga przecina wieś Dębiny, a zdala już czerwienieje piękny kościół na wysokim wzgórku w Obrazowie.

Obrazów należał do szpitala Św. Ducha w San-domierzu, a obecny kościół postawił ks. Potocki ka-nonik Krakowski w końcu XVIII wieku.

Niedaleko od Obrazowa stoi karczma zwana Łupichą, w której według podania miała rozegrać się słynna scena Twardowskiego z Mefistofelem, gdy wołał do rycerza z Twardowa:

Karczma ta Rzym się nazywa,
Kładę areszt na Waszeci!

Tam to troskliwy o honor klejnotu czarodziej oddał się w moc piekiel, a *verbum nobile* nie złamał.

Co prawda w samym Sandomierzu pokazują też domek pod zamkiem, gdzie niegdyś miała być owa karczma Rzym.

Z Obrazowa dwie wiorsty tylko już do szosy, co łączy Opatów z Sandomierzem. Nareszcie wózek wtacza się na szosę i wartko sunie ku miastu. Choć to droga o wiele wygodniejsza i idzie znacznie prędzej, jednak żał rozstać się z owymi malowni-czemi korytkami, które barwnie opisuje Deotyma: „Jedzie się pomiędzy dwiema ścianami, często tak wysokimi, że tylko niebo nad niemi widać; wpra-wdzie roślinność pomimo wszystkich swoich usiło-wań, na tych ścianach przyjąć się nie może, ale to jeszcze lepiej; widoku roślinności mamy wszędzie wiele, a tu zasłaniałaby ona to, co stanowi całą niezwykłość tej drogi; glina tutejsza nie jest zbyt twarda, wysycha jednak po deszczu niezmiernie szybko i wtedy układa się w zadziwiające archi-tektoniczne kształty; są to włoskie arkady, maury-tańskie ząbkowane ozdoby, egipskie pochyłości po-kryte hieroglifami, tajemnicze krużganki, żółte stala-ktyty, małe a ciemne jaskinie, wszelkie style budo-wy, wszelkie kształty urwisk, w uroczym bezładzie zmieszane, wszystko zdaje się z piaskowca starannie wyrzeźbione; to też podróżnik mógłby sądzić, że je-dzie pomiędzy frontonami dwóch zaklętych, do nie-skończoności długich pałaców. Gdyśmy dla spadzi-stości drogi musieli wysiadać, cieszyłam się nie-zmiernie, że mogę bliżej patrzeć na to zwycięstwo ziemi, które oczy tem skwapliwiej chwytają, że się wie, iż z pierwszą mocną ulewą cały ten chaos kształ-

tów zniknie, a inny na jego miejsce powstanie; to też mało pięknych budynków tak mi się trwale w pamięci odrysowało, jak sandomierskie korytka“.

W oddali zaczynają się rysować na tle nieba wieże sandomierskie. Jakkolwiek od strony Opatowa Sandomierz najmniej efektownie się przedstawia, jednakże i stąd ma on wiele uroku, i chciałoby się popędzić rączy koniki sandomierskie, by jaknajprędzej zawiozły nas do wnętrza tego starego grodu. Nareszcie mijamy ogród miejski, kościół Reformatorów i przed klasztorem Benedyktynek stajemy przed hotelem Podolskim, gdzie gospodarz troskliwie baczny, aby możliwie dobrze pomieścić wędrowca. Troskliwszą jeszcze opieką otacza on wszelkie zabytki przeszłości, jakie uda mu się zgromadzić w okolicy, ma też ich sporą ilość i chętnie pozwala je obejrzeć podróżnemu.



Widok od strony Zawichostu.

SANDOMIERZ.

Miasto powiatowe gub. Radomskiej w r. 1893 miało 6784 mieszkańców, leży na wyniosłych wzgórzach 574 st. n.p.m. na lewym brzegu Wisły.

Od Ostrowca st. D. Ż. Iw. Dąbr. odległe 43 w., od Opatowa 28, od Kielc 83, od Radomia 84, od Warszawy 196, od Zawichostu 18. Szosy dwie: do Opatowa w. 28 i do Zawichostu w. 18.

Miasto składa się z rynku i 15 brukowanych ulic, tudzież kilku przedmieść jako to: Krakowskie, Zawisielcze, Stročcice, Kobierniki, Chwałki, Rzeczycza, Gerlachów, Kamień Plebański, Opatowskie, Zawichoskie i Rybitwy.

Urzędy. Miasto posiada: Rezydencję Biskupią. Urząd Powiatowy. Urząd Miejski. Komisję Włościańską. Urząd celny, Brygadę straży pogranicznej, Urząd pocztowo-telegraficzny. Zjazd sędziów pokoju. Oddział hipoteczny. Sąd gminny. Urząd żandarmerji powiatowej. Urząd regulacji Wisły i Sanu. Seminarjum. Progimnazjum męskie. Szkołę żeńską. Szkołę elementarną męską i żeńską. Więzienie. Szpital św. Ducha. Straż ogniową ochotniczą.

Hotele. Hotel Podolski obok bramy Opatowskiej. numerów 6 w cenie od 1 rubla.

Hotel Polski (utrzymuje izraelita) za bramą Opatowską.

Cukiernia Misaniego.

Restauracje z Cukiernią: Dobrowolskiego, Bełczykowskiego, obiady po 30 kop.

Księgarnia W. Chodakowskiej.

Zakład fotograficzny Kasiewicza.

Teatr w sali straży ochotniczej na paręset miejsc. Kurtyna z figurami alegorycznymi i widokiem Sandomierza u dołu.

Zbiory prywatne. Wykopaliska, numizmaty, pamiątki archeologiczne p. Zielińskiego, właściciela Hotelu Podolskiego.

Rzadki i nadzwyczaj cenny zbiór motyli ks. Targowskiego. proboszcza Sandomierskiego. Oglądać je można za zezwoleniem właścicieli.

Historja. Podczas gdy północno-zachodni kraniec wyżyny Kielecko-Sandomierskiej bodzie niebo wysokimi szczytami gór w okolicach Chęcin, Kielc, Bodzentyna i Nowej Słupi, południowo-wschodni obszar tej wyżyny rozciąga się do lewego brzegu Wisły jako płaska równina lössowa, poprzerynana

głębokimi na paręset stóp jarami. Równina ta spada ku Wiśle stromemi stokami, a nieprzystępność ich, jak również poblizsze szerokiej rzeki stanowią naturalne obronne środki dla wznoszących się tu osad.

To też wzdłuż tego wspaniałego brzegu stoją odwieczne grody: Sandomierz, Zawichost, Solec, Janowiec, nie licząc wielu mniej znanych wsi i osad. Z pomiędzy wymienionych grodów najwybitniejszą rolę w historii naszej odegrał Sandomierz. Żyzne ziemie tutejsze znane były jeszcze w zamierzonej epoce przedhistorycznej, czego dowodem są licznie spotykane tutaj cmentarzyska pogańskie, a położenie osady przy trakcie handlowym ku Rusi sprzyjało niezmiernemu jej rozwojowi.

Kiedy i kto założył to miasto, pozostanie to zapewne nigdy nierozwiązaną zagadką. Wywody nazwy Sandomierza od mierzenia Sanu do Wisły ostać się nie mogą najpobliższej krytyce, wywód ostatniego monografisty miasta od Sądów (Sudomir) także niema historycznych podstaw. Najtrafniejsze zapewne jest zdanie prof. Łuszczkiewicza, który wskazuje, że miasto założył zapewne jaki Sądowir, a z biegiem czasu nazwa ta, jak z Władymira — Włodzimierz, a z Kazimira — Kazimierz, zmieniła się na Sandomierz.

Bezwątpienia założeniem swem sięga miasto odległej doby przedhistorycznej, a już w pierwszych wiekach naszych dziejów istnieje ono jako potężny gród. Najstarszy nasz dziejopis Marcin Gallus nazywa w swej kronice Sandomierz stolicą państwa i kładzie go obok Krakowa i Wrocławia (*sedes regni*

principales); koło książęcego grodu rozsiadło się miasto, a obok osady książęcych sług, co według zajęć osiadali razem, stąd do dziś istnieją dokoła miasta wsie: Rybitwy, Skotniki, Szczytniki, Kuchary, Winiary, Piekary, Kobierniki.

Najważniejsze znaczenie i najwybitniejszą rolę swą historyczną odegrał Sandomierz pod rządami dynastji Piastowskiej. Gdy umierając Bolesław Krzywousty dzielił pomiędzy synów swe państwo, dzielnicą sandomierską ze stołecznym grodem dostała się ks. Henrykowi. Szkoda, że tak mało zostało nam wiadomości o tym Bolesławie, musiała to jednak być natura pełna rycerskiej fantazji, może też więcej od braci zetknął się on z rycerstwem Europy zachodniej, bo jest to jedyny książę słowiański, co z hufcem swoim połączył się z krucjatą i poszedł oblegać mury Jerozolimy. Powróciwszy do kraju, ks. Henryk, jako wierny sługa krzyża, podjął wyprawę na pogańskich Prusaków i tam zginął w zasadzce.

Książęcy tron sandomierski przypadł w udziale młodszemu jego bratu Kazimierzowi Sprawiedliwemu, i odtąd był najwyższym stopniem, skąd krok jeden tylko prowadził do zwierzchniego tronu w Krakowie. Oba te berła złączył w swej dłoni Kazimierz, a pod berłem jego, jak również jego syna i wnuka Sandomierz trzymał prym nawet przed królewskim Krakowem. Zwłaszcza ówczesne niewiasty Piastowskiego domu: żona Kazimierzowa Helena, córka Adelaida, synowa Grzymisława, wnuka Salomea i Kinga bratowa jej, cały ten kwiat ówczesnych księżniczek, słynnych z pobożności, cnót i miłosiernych uczynków

stale prawie tu gości, wznosi pobożne fundacje, jak Adelaida—kościół św. Jakóba w Sandomierzu, a Grzymisława klasztor Franciszkanów w Zawichoście.

Wszak tutaj w Sandomierskim zamku:

Od dworaków opuszczona,
Helena w stroju niedbałym
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym.
Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszcześliwe.

Tu według poety Leszek wyrzekł swe pamiętne słowa:

Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
Gdym się tułał opuszczony,
Dla mnie wyгнаńcem umierał.
Nie chcę państwa, ni korony.
Nad blask, co berło udziela,
Wyżej cenię przyjaciela.

Mój Boże, któż z nas nie zna tego wiersza, kto nie uczył się go na imieniny dziadka, lub wuja, kto nie podzielał przyjaźni Leszka dla starego Goworka!

Cała ta gromadka książęca jakże sympatyczna: choć martwi księżnę Heleną gwałtowność syna Konrada, cieszy ją jednak stałość i dobre przymioty Leszka. Toż te młodociane orlęta potrafią, gdzie trzeba, przypomnieć dzielne tradycje dziada, jak w owej bitwie pod Zawichostem, gdzie zginął napadający Polskę kniaź Roman Halicki. Nareszcie Leszek objął tron dziedziczny, żona jego Grzymisława z mało

letniemi dziećmi Salomeą i Bolesławem zamieszkują zamek sandomierski.

W kwiecie wieku dosięgła tragiczna śmierć Leszka Białego, a gdy nagi, przebity dżdżem zwierzęcego pomorzanina, spadł z konia swego w Gąsawie, ostatnią jego myślą była zapewne troska o los swej małżonki i drobnych dzieci.

Słuszny bo niepokój ogarniał serce konającego księcia. Stroskana wdowa straszne przeszła koleje, ciężkie więzienie wraz z ukochanym synem przeżyła w ponurem Czerskiem zamczysku szwagra Konrada, później długie dni niewoli w Sieciechowskim opactwie, aż młode piastowskie orle rozwinęło bujne pióra i stanęło u bram sandomierskiego zamku, żądając zwrotu ojcowizny.

Wierni sandomierzanie poparli prawego następcę, i ten, jako panujący książę Bolesław V, zwany Wstydlwym, objął tron Sandomierski i Krakowski.

Za jego panowania przeznaczoną była Sandomierzowi prawie zupełna zagłada: był to pierwszy napad Tatarów w r. 1241, który zamożne miasto zamienił w jedną gromadę zgłiszcz.

Zaledwie 20 lat upłynęło, gdy w r. 1260 nowy napad Tatarów wraz z książętami rusińskimi Wasilem Włodzimierskim, oraz Romanem i Lwem Halickimi zapisał się krwawemi głoskami na kartach miasta. Zwłaszcza gdy przez zdradę rusinów podstępnie wywabiono z zamku pod pozorem układów dowódcę Piotra z Krępy i nikczemnie go zamordowano, miasto uległo, a straszna rzeź mieszkańców

była dalszym ciągiem zdradliwego postępowania Tatarów.

Żywem i barwnem słowem kreśli kronikarz wołyński zdobycie Sandomierza. Naoczny ten świadek pisze, co następuje tu w przekładzie:

„A potem wyruszył Buronda szybko ku Lublinowi, a z Lublina do Zawichostu. I przybyli do rzeki Wisły, a przeprawwszy się na drugą stronę, poczęli wojować ziemię lacką. Potem zaś nadciągnęli do Sandomierza, obstąpili go zewsząd i opasali swoim ogrodzeniem i ustawili tarany wojenne. Tarany te były nieustannie dzień i noc, a strzały nie pozwalały z poza twierdzy wyglądać. Tak bili się przez trzy dni, czwartego zaś dnia obalili twierdzę miasta i tak darli się na górę. Najpierwej wyleźli dwaj Tatarowie z chorągwią i poszli po mieście siekąc i kłując; jeden z nich poszedł po jednej stronie miasta, drugi zaś po drugiej. Pewien Lach zaś, ani to z bojarów, ani rodu szlachetnego, tylko prosty człowiek bez tarczy, w jednym tylko płaszczu z włócznią, szukając pomocy jedynie w rozpacz, dokonał dzieła godnego pamięci: podbiegł ku Tatarowi, a utknąwszy się z nim, ubił go na śmierć; ów zaś drugi Tatarzyn nadbiegł z tyłu i porąbał Lacha i Lach został zabity.

Ludzie zobaczywszy Tatarów w mieście, jęli uciekać do zamku, lecz nie mogli zmieścić się we wrotach, gdyż most przed wrotami był wązki, a jedni podusili się sami, drudzy zaś pospadali z mostka w rów, jako snopy. Rowy były głębokie i napęły się trupami i można było stąpać po trupach jakby po moście. Były zaś w grodzie namioty słó-

mą pokryte, które zapaliły się same od ognia, po nich i gród zaczął się palić. W grodzie tym była cerkiew z kamienia wielka i cudowna, gdyż była zbudowaną z białego ciosowego kamienia. Ta była napelniona ludem, wierzch jej z drzewa zajął się i ona spaliła się, a w niej mnóstwo ludzi; ledwie żołnierze zdolali wybiec.

Nazajutrz zakonnicy i księża świeccy złożyli kryłos, a odśpiewawszy mszę, zaczęli komunikować się, najpierw oni, potem bojarzy z żonami i dziećmi tudzież wszyscy od małego do wielkiego, i zaczęli spowiadać się, jedni przed mnichami, drudzy przed księżmi i diakonami, albowiem mnóstwo ludu było w grodzie. Potem zaś wyszli z grodu z krzyżami, świecami i kadzielnicami, poszli też bojarzy i bojarynie, ubrawszy się w szaty godowe; słudzy zaś bojarscy, nieśli przed nimi ich dzieci i był wielki płacz i lament. Wypędzonych z grodu posadzili Tatarzy na błoni nad Wisłą, i siedzieli dwa dni na błoni. Potem zaczęto ich wszystkich zabijać, pleć męzką i żeńską zarówno i nie pozostał z nich ani jeden“.

Nieznany kapłan sandomierski z końca XV wieku w rękopisie swym podaje wspomnienie o rzeczywistym napadzie Tatarów, wspomnienie zasługujące na uwagę ze względu na swą pisownię współczesną:

Z Sądomyrzą czo szę thesz sthalo
Przesz Thatarij placzlijwe dzalo
Thak ludzi wijelije pobijlij
Wijszla trupij zostawijlij
Dzadkij z krowią po wodze pliwajlij

Pijotr z Krapeij w then czas shtarosthą bijł
Kxądz Bolesław w Sządomirzryn gij zostawijł
Szam do Schijradzą uczekschij zbył
Z starosthą szę tam nijebronijł
W pokogiju grod thatharom zpuszczyl.

W roku 1278 nowy napad Tatarów zagroził miastu, podanie mówi, że Helena Krępianka, córka zabitego Piotra, mszcząc się śmierci ojca, podstępnie zawiodła horde w podziemia, gdzie zginęli wszyscy razem zasypani.

Za tym napadem nastąpił straszny najazd Jadzwingów, Tatarów, Litwinów i Rusi pod wodzą kniazia Halickiego Lwa w r. 1280, ten i następny napad w trzy lata później do reszty zniszczyły zrujnowane już przez Tatarów miasto.

Następca Bolesława Wstydliwego Leszek Czarny troskliwie zajął się podniesieniem upadłego grodu. Zapewne przyczyniły się do tego prośby żony jego Gryfny, która upodobała sobie niezmiernie tutejszą okolicę, lubując się czystem powietrzem i cudnymi krajozrazami. Zawiedziona ta gwałtowna księżna szukała silnych wrażeń i całymi tygodniami przemieszkowała w namiotach, ustawionych nad brzegiem Wisły.

Przeniósł Leszek miasto na wzgórze leżące obok Wisły, gdzie dotąd ono stoi, nadał mu znaczne przywileje, prawo magdeburskie, prawo bicia monety, wyznacza tu obowiązkowy skład przewożonych ku Rusi i Węgrom towarów; przewóz przez Wisłę i prawo wrębu w lasy książęce należą do mieszczan.

Władysław Łokietek pobił pod Sandomierzem Czechów króla Wacława, a syn jego Kazimierz Wiel-

ki opasał miasto murami z czterema bramami, wybudował kolegiatę i kościół św. Piotra.

Tutaj też wydał Kazimierz przywilej nadawczy dla miasta Lwowa, nadając mu prawo magdeburskie. Jagiełło częstym bywa tu gościem, na rynku tutejszym odbiera hołd od ks. Mazowieckich, a w kolegiacie N. M. P. przyjmuje posłów od Soboru Bazylijskiego. Władysław Warneńczyk przeznaczył na mieszkanie zamek Sandomierski swej ciotce Barbarze Cyllejskiej, małżonce cesarza Zygmunta.

Ta zmarł potężny kardynał Zbigniew Oleśnicki, co tak zawziętą walkę prowadził o pierwszeństwo władzy duchownej przed świecką. Kazimierz Jagiellończyk i jego synowie wydają różne przywileje na korzyść mieszczan, miasto więc wzrasta w potęgę. Zygmunt August w r. 1548 bawi tu na ślubie marszałka Piotra Kmity, broni mieszkańców od samowoli starostów, tu też za jego panowania zebrali się różnowiercy na ów głośny zjazd, znany w historii pod nazwą *Consensus Sandomiriensis*.

Waleczusz, Batory, Wazowie potwierdzają przywileje poprzedników, lub dodają nowe. Scentralizowanie władz w Krakowie pod Jagiellońskim berłem zmniejszyło ważność Sandomierza, a jednak według opisów Sarnickiego (1585) i Cellarjusza (1659) Sandomierz jest najpiękniejszym miastem polskim po Krakowie. „Tak liczne sady otaczały miasto, że wyglądało ono jakby pośród lasów. Żyzne niziny okoliczne dostarczały bujnych plonów, rodziły gruszki, jabłka, śliwki, wiśnie, brzoskwinie, orzechy nieustępujące włoskim, winogrona obfite i smaczne. Pię-

kności położenia odpowiadała obyczajność i ogłada mieszkańców. Nie brakowało tu sławnych lekarzy, wybornych muzyków, ludzi biegłych w naukach, mnóstwo zamożnej szlachty dla różnych spraw przemieszkiwało tu stale, a duchowieństwo nad wyraz było gościnne, zamożne i serdeczne. Do tego ryb, miodu, łososi, zwierzyny i przysmaków niedowiary“.

Przeniesienie stolicy państwa do Warszawy jeszcze więcej obniżyło znaczenie Sandomierza.

Na początku XVII wieku zaraza morowa wyludniła miasto, choć wrzało ono pod ten czas życiem, bo tu zawiązał swój rokosz słynny Zebrzydowski.

Rok 1656 i następny zapisał się tragicznie na losach Sandomierza. Oblegany naprzemian przez Polaków i Szwedów w ostateczną popadł ruinę. Zamek wysadzili Szwedzi w powietrze wraz ze znajdującym się tam wojskiem polskim. Legenda mówi tu o panu Boboli, że go wybuch ten przeniósł z koniem na drugi brzeg Wisły zupełnie nieuszkodzonego i tak przytomnego, że zaraz trafił do najbliższego plebana na obiad.

Wiśniowiecki, Sobieski i Sasi nowe przywileje nadają miastu, ale wojny, mór i pożary niszczą je zupełnie, tak, że w r. 1757 miało ono zaledwie 2000 mieszkańców.

Po rozbiorze dostał się Sandomierz Austryjakom; 18 Maja 1809 roku po bohaterskim i słynnym w dziejach naszego oręża szturmie gen. Sokolnickiego polacy zajęli twierdzę, skąd po miesiącu zostali wyparci. Dwa te szturmy niezmiernie zniszczyły miasto i jakgdyby zamknęły okres dawniejszego je-

go znaczenia w historii, a jak słońce przed zachodem potężne jeszcze rozsiewa blaski, tak i to zamknięcie ubiegłego okresu dziejowego oświeciło Sandomierz blaskiem sławy naszego męstwa i szalonej odwagi.

18 Maja 1809 r. wojska Księstwa Warszawskiego, posuwające się po kapitulacji Warszawy po prawym brzegu Wisły, zdobyły austriacki szaniec przedmostowy w Nadbrzeziu. Następnie naczelny wódz ks. Józef Poniatowski polecił gen. Sokolnickiemu przeprawić się na lewy brzeg Wisły, aby odebrać Austryjakom twierdzę. Generał zabrał pułki jazdy Dziewanowskiego, piechoty Sierakowskiego i Weysenhofs, przyłączył się do nich Włodzimierz Potocki ze swemi wołyżerami. Sokolnicki polecił pułkowi Weysenhofs uderzyć na bramę Opatowską. Na czele oddziału szedł ks. Marceł Lubomirski, szef bataljonu. Piechota uderzyła dzielnie, ale grad kul i kartaczów przywitał szturmujących. Lubomirski padł ugodzony kartaczem, a oddział musiał się cofnąć. Austriacy podpalili kościół św. Wojciecha napełniony sianem i słomą, by oświecić walkę. Sokolnicki pchnął do ataku pułk Dziewanowskiego, i z nim razem podążył Potocki na czele swych wołyżerów. Natarcie było straszne, ale i twierdza broniła się zaciekle, grzmiać ze swych 80 armat. Całą noc i rano trwał ten krwawy atak, dopiero koło południa twierdza kapitulowała, i Polacy weszli do miasta. Nieopisany zapał ogarnął mieszkańców, witających zwycięskie legjony. Sokolnicki zajął się skwapliwie wzmacnianiem fortyfikacji, sam codziennie objeżdżał bastjony i forty. 23 Maja z głównej kwatery

w Trześni przybył do Sandomierza sam ks. Józef ze swoim sztabem.

Gdy w pierwszych dniach Czerwca Arcyksiążę Ferdynand zaczął odwrót z Warszawy, 15 tegoż miesiąca, stanął pod Sandomierzem i wysłał do Sokolnickiego parlamentarzy o poddanie miasta, gdyż w przeciwnym razie przypuści szturm. Generał dał odpowiedź odmowną. Około 11 w nocy rozpoczęli Austriacy bombardowanie miasta. Nieprzyjaciel atakował w dziesięciu kolumnach. Najzaciętsza walka wrzała na cmentarzu przy kościele św. Pawła, gdzie szef bataljonu Białkowski dokazywał z garstką żołnierzy cudów męstwa. Ustawiwszy armaty w wąwozie, zatarasował drogę dziesięćkroć liczniejszemu nieprzyjacielowi. Miastu brakowało amunicji. Wystrzelano kule, sztaby żelazne, nawet kraty z okien wydarto i porąbano. Nieprzyjaciel znużony wyczerpującym atakiem, posłał znów parlamentarzy do komendanta o poddanie. Sokolnicki postawił warunki: załoga wyjdzie z bronią w ręku, z rozwiniętymi sztandarami, lonty przy działach będą zapalone, wojsko polskie złączy się z głównym korpusem Księstwa. „To są moje ostateczne warunki, jeśli ich nie przyjmiecie, twierdzy nie oddam, choćby mi się w ogniu guziki munduru stopić miały“.

Znużeni szturmem Austriacy zgodzili się na te warunki i załoga polska wyszła ze wszystkimi honorami wojskowymi.

Od tych krwawych dni 1809 roku martwa cisza zaległa miasto. Najwybitniejszym faktem historycznym było jeszcze ustanowienie biskupstwa Sando-

mierskiego w roku 1819 i cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu wielką uroczystością kościelną, trwa w dalszym ciągu. Dokąd tak potrwa, któż może zgadnąć. Miasto ma warunki rozwoju: leży w żyznej okolicy, nad dużą graniczną rzeką, a jednak...

Życie obecne leniwie toczy się z dnia na dzień. Przemysłu nie ma ani śladu, nawet prymitywna garbarnia utrzymać się nie mogła, jedynie browar i ma-



Widok rynku.

ła fabryczka kafli prosperują jako tako. Brak komunikacji z resztą kraju głównie wpływa na zastój życia, najbliższa stacja kolei odległa o 6 mil, codzienną łączność z krajem utrzymują statki parowe, które wloką się sennie po Wiśle, utykając raz po raz po mieliznach, oraz kolej Austriacka po prawym brzegu Wisły, dochodząca do st. Nadbrzezie o niecałe

dwie wiorsty od Sandomierza. **Życie towarzyskie** płynie również cicho i powolnie, rzecz nawet dziwna: jest tu dużo ludzi dobrej woli, szeroko obejmujących sprawy i odczuwających współczesne potrzeby życia zbiorowego, a jednak brak tu inicjatywy śmielszej i energii w przeprowadzeniu planów. Jedyne zrzeszeniem jest straż ochotnicza, licząca 200 członków i spółkowy sklep spożywczy.

Czasem przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny poruszy trochę życie towarzyskie i znów cisza rozciąga swe skrzydła. Ożywiają miasto mundurki młodzieży szkolnej, które pustemu miastu nadają wygląd ruchliwszy i budzą nadzieję rozwoju. Oprócz wielu pamiątek i zabytków historycznych, obfituje też Sandomierz w prawdziwie piękne widoki na okolicę. Można zupełnie zrozumieć upodobanie ks. Gryfiny, przesiadającej pod namiotem nad brzegiem rzeki. Wyniosłe pasmo gór pieprzowych zamyka po lewej stronie krawędź widokregu. Szare fale Wisły oddzielają wysokie wzgórza lewego od rozległej płaszczyzny prawego brzegu, gdzie na szarozielonej karcie uprawnych pól i łąk rysują się mury Nadbrzezia, Trześni a dalej w sinych mgłach majaczą dachy Dzikowa. W którą stronę się zwrócić, wszędzie nęcą oko cudne widoki, które ciągnęłyby krocie turystów, gdyby były nad... „modrym Dunajem“ lub „szmaragdowym Renem“!

Co do ruchu zagranicznego Sandomierz jest dość uczęszczanym punktem: w r. 1898 przebyło kormorę tutejszą 17261 ludzi, wywieziono towarów za

402.450 rb., przywieziono za sumę 31,276 rb., osób przeszło za granicę 19.217.

A teraz należy rozpocząć wędrówkę i zwiedzanie kolejnych pamiątek miejskich, które głównie pozostały w starych gmachach. Po wyjściu z Hotelu Podolskiego droga ku miastu wiedzie przez piękny zabytek starego budownictwa fortecznego, którym jest

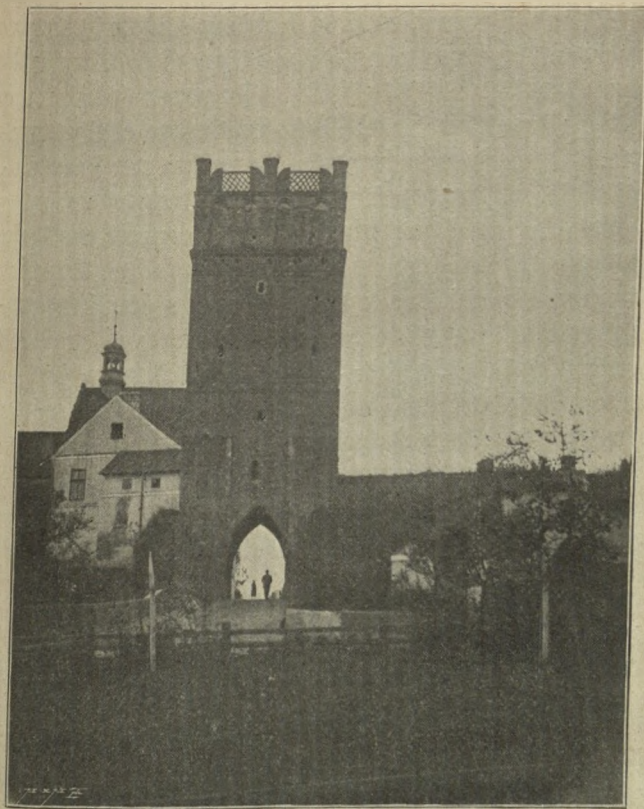
Brama Opatowska.

Z murów, któremi było otoczone miasto, z jego paru bram pozostała jedynie tylko ta wyniosła wieża z gotyckim ostrołukiem swej bramy. Została ona w r. 1840 od spodu podmurowana i to ocaliło ją od zagłady. Do bramy tej po lewej stronie ku miastu przylega

Kościół i szpital św. Ducha.

Biskup krakowski Pełka w r. 1203 sprowadził z Rzymu zakonników reguły św. Ducha t. zw. Duchaków, których zadaniem było pielęgnowanie chorych. Inaczej zwano ich jeszcze „*de Saxia*“, gdyż w Rzymie byli ufundowani przez władców saskich. Pełka osadził nowe zgromadzenie w Sławkowie pod Olkuszem, aby czuwali tam nad górnikami, narażonymi często na wypadki i choroby. Wkrótce potem w r. 1222 Żegota, kasztelan krakowski, sprowadził Duchaków do Sandomierza i wybudował im

obecny kościół i klasztor z obowiązkiem udzielania wsparcia ubogim i podróżnym, ratowania chorych,



Brama Opatowska.

dawania przytułku i pożywienia sierotom i podrzutkom. Fundator określił liczbę braci tutejszej do pię-

ciu, bywało ich jednak i mniej. Ostatni z braci Jakób Janowski zmarł w r. 1814, a w pięć lat później objęły zarząd szpitala Siostry Miłosierdzia.

Zacne i energiczne te kobiety znacznie powiększyły gmachy szpitalne, odnowiły kościół i wybudowały głęboką studnię. Kościół przez parokrotne w ciągu wieków przeróbki stracił swe cechy starożytne. Obecnie przedstawia się nadzwyczaj czyściutko i mile. Z dawnych pamiątek najwięcej tu cenniejszą jest figura Pana Jezusa Miłosiernego w ołtarzu kaplicy po prawej stronie. Podanie mówi, iż rzeźba ta była w ołtarzu kaplicy zamkowej, a św. Kunegunda przed nią zwykle w swych żarliwych modłach trwała. Opis historii tej rzeźby umieszczony jest na filarze obok ołtarza, a jeśli ołtarz jest zasłonięty, uprzejma, uśmiechnięta łagodnie Siostra Zakrystianka na prośbę podróżnego chętnie go odsłoni.

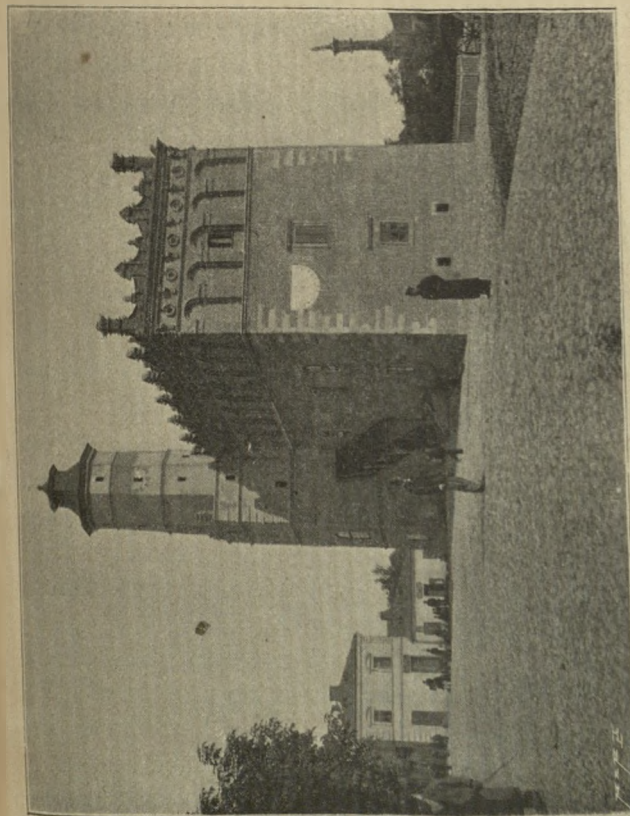
Idąc dalej ulicą Opatowską wychodzimy na rynek i uderza nasze oczy niezwyklej piękności

R a t u s z.

Gmach ten, który co do wartości architektonicznej śmiało współzawodniczy z Sukiennicami, powstał bezwątpienia za czasów Leszka Czarnego, gdy książę ten nadał miastu przywilej lokacyjny na prawie magdeburskiem.

Zwłaszcza jedna połowa gmachu o murach nieślychanie grubych pochodzi z XIII wieku. Drugą

połowę może dobudował Kazimierz Wielki. Gmach parę razy ulegał pożarowi, a jednak może jedyna to budowla tego rodzaju w Królestwie tak dobrze zacho-



R a t u s z

wana. W r. 1873 został on odnowiony, przy czem pod gmachem odkryto obszerną sklepioną izbę z hakami z kółkami zapewne do tortur.

W godzinach popołudniowych, gdy biura magistratu są nieczynne, można tu w salach zobaczyć parę portretów, jako to: Stanisława Augusta, Jacka Małachowskiego, Soltyka i in. Przechowują tam też miecze katowskie, kilka popielnic znalezionych w okolicach Sandomierza, kość mamuta z gór pieprzowych i herb miasta, zdjęty przed paru laty z wieży ratuszowej. Na wieżę tę wejść można, a stamtąd rozciąga się piękny widok na katedrę.

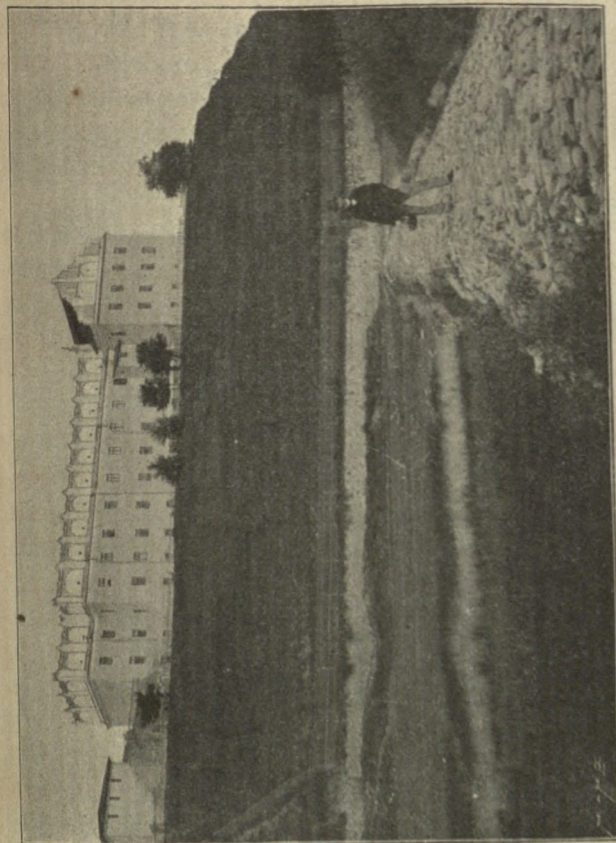
Od wejścia z ulicy Opatowskiej należy przeciąć rynek po przekątni i na ulicy Gimnazjalnej spotykamy po lewej ręce

Proгимnazjum.

W XII wieku, gdy Krzywousty wznosił kolegiatę N. M. P. na miejscu kościoła św. Mikołaja, z rozebranego wówczas drzewa polecił wystawić drugi parafialny kościół pod wezwaniem św. Piotra. Kościół ten Kazimierz Wielki postawił z muru, nadając mu bardzo piękną strukturę.

W roku 1602 Hieronim Gostomski, starosta sandomierski i Kacper Cichocki, proboszcz od św. Piotra osadzili przy tym kościele Jezuitów, co Zygmunt III skwapliwie zatwierdził. Podczas wojny szwedzkiej w r. 1656 kościół św. Piotra zgorzał doszczętnie, lecz w dwadzieścia lat później został odbudowany. Zwykłym trybem zgromadzeń jezuickich otworzyli oni tu szkoły i konwikt dla młodzieży, oraz drukarnię dzieł treści religijnej. Miało zgromadze-

nie tutejsze kilku wybitniejszych członków, jak Jan Gizowski doktor filozofji i teologii, Bazyli Narbutt



Proгимnazjum

znawca wielu języków, mąż wielkiej pokory i świętobliwości, którego zamierzano kanonizować, Gabryel Rzączyński przyrodnik i w. in. Jak w każdym in-

nem kolegium miały te szkoły 5 klas: infima, gramatyka, syntaxis, poetyka i retoryka, były też kursa filozofii i teologii. Mieli też jezuici konwikt dla młodzieży szlacheckiej, założony w r. 1635 przez Jakóba Bobolę podczaszego sandomierskiego.

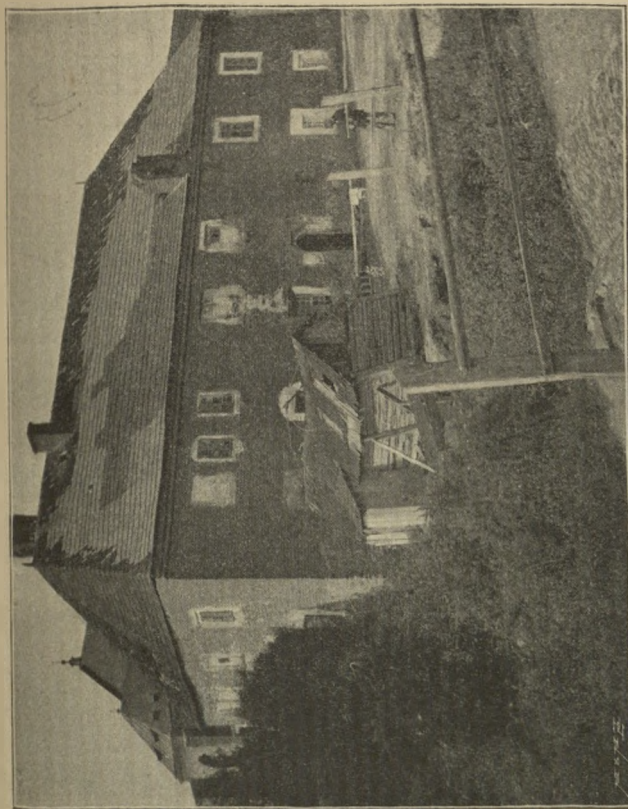
Za rządu austriackiego w dawnym kolegium mieściła się tu 5-cio klasowa szkoła gimnazjalna, obecnie mieści się tu 4-ro klasowe progimnazjum, które w roku 1898 miało 200 uczniów.

Przy wejściu do progimnazjum stoi bardzo ładna figura św. Ignacego Loj. Minawszy progimnazjum skręcamy w boczną uliczkę na lewo, gdzie czerwieni się tak bardzo głośny

Dom Długosza.

Ojciec historyków naszych był kanonikiem Sandomierskim i ufundował przy kolegjacie zgromadzenie ks. mansonarzy, a na mieszkanie wystawił im dom w r. 1476. Dom ten, w całości dotrwał do naszych czasów, posiada on gotycką ciosową futrynę drzwi, ciekawe futryny okienne, desenie czarnej cegły na czerwonym tle, obszerną sień, gdzie jedna ogromna belka z wyróżnioną datą 1672 roku, długa na 10 metrów, dźwiga pułap, nareszcie od strony podwórka ma ciekawą tablicę erekcyjną z herbem Długosza Wieniawa, rzeźbioną w kamieniu. Ze wzgórza tego piękny widok rozciąga się na Wisłę i prawy jej brzeg, niemniej jednak piękny jest widok z dołu z tamy na wzgórze, gdzie stoi Progimnazjum,

dom Długosza i Katedra. Jeżeli wąska ścieżka z góry nie jest zbyt śliską, a czas na to pozwala, to war-



Dom Długosza.

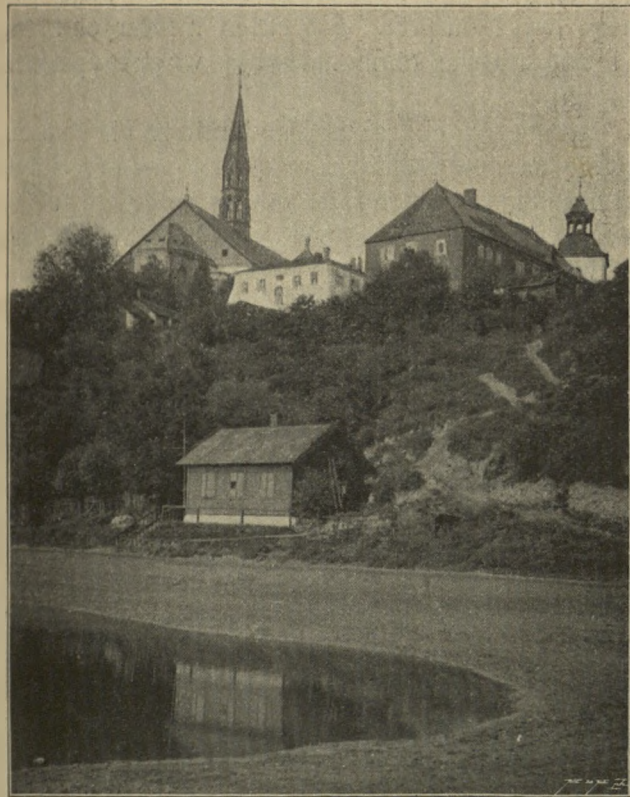
to zejść na dół, aby obejrzeć tę panoramę, nie należy jednak bawić tam zbyt długo, gdyż czeka nas nadzwyczaj piękna i ciekawa

Katedra Najświętszej Marji Panny.

Nim wstąpimy w mury tej okazałej świątyni przypomnieć sobie należy, że bez mała wszyscy wybitniejsi duchowni mężowie naszej ojczyzny pod jej sklepieniami przebywali, tu modły i pienia pobożne odprawiali. Błogosławiony Wincenty Kadłubek, kronikarz Kazimierza Sprawiedliwego, wielki Iwo Odrowąż biskup krakowski, fundator Marjackiego kościoła i Dominikanów krakowskich i sandomierskich, krewniacy jego św. Jacek i św. Czesław Odrowążowie, późniejsi biskupi Prandota, Bodzanta, potężny kardynał Zbigniew Oleśnicy, ojciec historyków naszych Długosz, Piotr Tomicki, drugi historyk Marcin Kromer, Stanisław Grochowski, późniejszy arcybiskup Lwowski, o którym Niesiecki mówi, że był sławnym poetą, Henryk Firlej, późniejszy prymas, człek gołębiego serca, o którym mówiono, że nie umiał się gniewać, Teodor Potocki, późniejszy prymas i wielu innych zasłużonych w kościele polskim mężów, dłuższy czas zamieszkując w Sandomierzu, byli zapewne codziennymi gośćmi tej świątyni. Idźmy ich śladem i wstąpmy pod wyniosłe jasne sklepienia tej pięknej gotyckiej budowli.

Bolesław Krzywousty w r. 1120 polecił wznieść okazałą świątynię w Sandomierzu pod wezwaniem N. M. P. na miejscu kościoła św. Mikołaja, wzniesionego pono za Mieczysława I. Już w bulli papieża Eugenjusza III w r. 1148 wspomniany jest ten kościół, jako bogato uposażony. Syn Krzywoustego

Kazimierz Sprawiedliwy wyniósł ten kościół do godności kolegiaty. Wielki budownik król Kazimierz



Wzógrze z domem Długosza.

około roku 1360 na miejscu dawnego kościoła wzniósł obecną świątynię, która swą bogatą strukturą z najprzedniejszych kościołami naszego kraju może iść

w porównanie. Jej lekkie ostrołukowe sklepienia, równej wysokości we wszystkich trzech nawach, wspierają się na 8 lekkich filarach i nie mają posępnego wyglądu późno gotyckich mrocznych katedr, a liczne i duże okna zalewają wnętrza potokami światła.

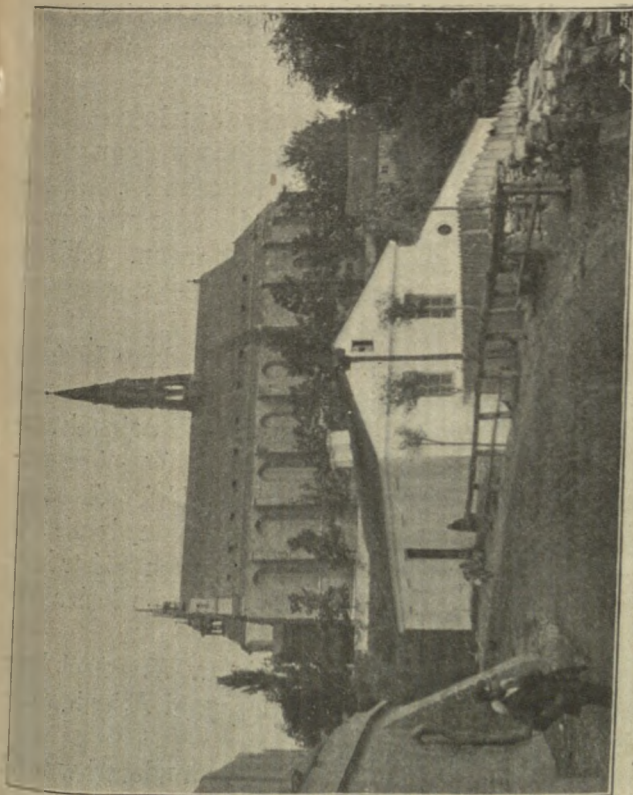
Stołeczny charakter Sandomierza choć nie zdobył się na utworzenie równej Krakowowi oddzielnej katedry biskupiej, jednak na kolegiatę tutejszą zlewał z hojnych rąk książęcych i królewskich liczne przywileje i nadania.

Najstarszym tego rodzaju dokumentem jest przywilej Bolesława Wstydlwego z r. 1276, gdzie książę ten nadaje kolegiacie Sandomierskiej te same swobody i wolności, jakie ma katedra na Wawelu. Leszek Czarny, Kazimierz W. ponawiają ten przywilej, a Jagiełło w swym potwierdzeniu dodaje, iż od początku rządów swych w Polsce zawsze ten kościół otaczał swą troskliwą opieką. Późniejsi królowie również ponawiali owe przywileje nadawcze.

Nietylko jednak władza świecka troskliwie czuwała nad ulubionym kościołem, nie mniej i Stolica Apostolska nadawała liczne odpusty kolegiacie, jak np. odpust 365 lat, wyrobiony staraniami kanonika Bodzanty. Wspomniany już wyżej sandomierzanin o owych odpustach pisze:

Z kanonijkyem Bodzantą
Dzekan poszedł do Rzijmą
Prze odpustnij raczijl dacz
Z kazonijch koczijolów poprawacz
Bonifatius papijesz myły

Placzliwij prosz bamij zklonijonij
Wijelkije odpustnij tham gijm dal
Ieleje dnij do roką bijwa
Thele lat Sandomijrz odpusthow mijewa.



Katedra.

W dniu 2, 3 i 4 Czerwca odbywały się nadzwyczajne uroczyste nabożeństwa ku czci pomordowanych Męczenników Sandomierskich; dla wiernych ucze-

stniczących w tych nabożeństwach papieże wydali liczne odpusty i wogóle porównali ten kościół co do odpustów z kościołem Sancta Maria ad Martyres w Rzymie.

W XV wieku duchowieństwo kolegiackie zostało powiększone przez ks. Mansjonarzy, ustanowionych tu za staraniem Długosza.

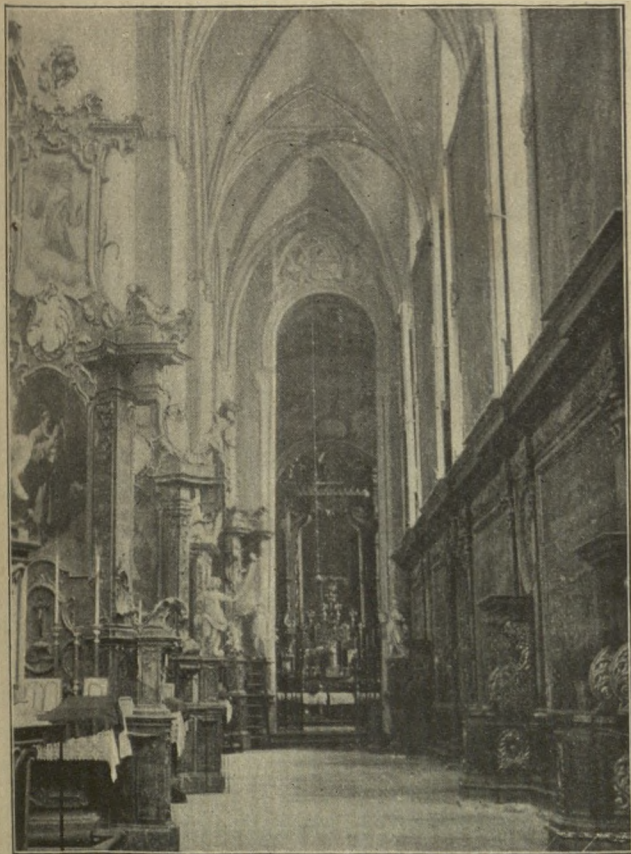
W XVII wieku ustanowiono tu ks. psalterzystów, którzy mieli śpiewać psalmy w ciągu godzin nocnych, w XVIII w. wzrosła tu liczba ks. Altarzy-stów, których obowiązkiem było odprawiać msze z zapisów przed jakimś stałym ołtarzem. Od XVII wieku istniał przy kolegjacie dom dla ks. emerytów, steranych wiekiem lub chorobą.

Królowa Jadwiga, żona Władysława Łokietka otaczała wielką opieką tutejszą kolegiatę, ustanowiła tu w r. 1321 kanonię „Pierścienia królowej“ tak zwaną, że daninę, jaką miasto składało królowej na pierścień, oddano nowemu kanonikowi. Taż królowa Jadwiga ustanowiła przy kolegjacie zgromadzenie żeńskie beguinek, podobne do dzisiejszych Sióstr Miłosierdzia. Zgromadzenie to dotrwało do końca XVI wieku.

Wzniesiony przez Kazimierza W. gmach kolegiacki powiększył potężny kardynał Zbigniew Oleśnicki.

W połowie XV wieku piorun uderzył w wieżę świątyni, potrzaskał krzyż, zabił spowiadającą się właśnie Magdalenę, córkę burmistrza z Łagowa, a kontuzjował lewą rękę i nogę jej spowiednika wikariusza Piotra.

Podczas najazdu Szwedów zgorzała wspaniała ta świątynia w dniu 20 Marca 1656 roku. Na szczę-



Prawa nawa Katedry.

ście ogień z dachu nie przeszedł przez sklepienie do wnętrza, co ocaliło od zagłady wiele pamiątek. Ener-

gja kanoników rychło zaradziła złemu, dach postawiono, wzniesiono wieżę i kościół odzyskał dawną swą świetność. Szturm Austryjaków nadwyreżył znów mury zewnętrzne, a i do wnętrza wpadł granat, potrzaskał aniołki przy ołtarzu i podziurawił trochę obrazy.

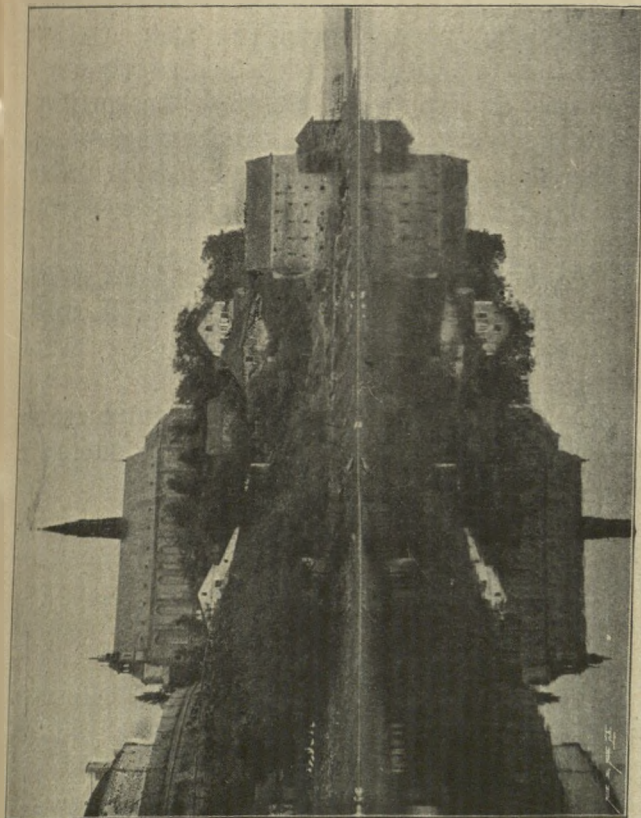
Kolegjata miała własną muzykę z 12 ludzi pod wodzą magistra.

Władysław Jagiełło polecił pokryć malowidłami ściany kolegjaty i malowidła te utrzymały się do XVIII wieku, gdyż dopiero w r. 1711 członkowie kapituły kazali je zabielić wapnem. Obecnie na lewej ścianie presbyterjum widzieć można jedno jeszcze z tych starych malowideł, szczęśliwie przechowane pod dużym obrazem, który niedawno spadł.

Po zwycięstwie nad Zakonem pobrane tam obrazy rozdał ten król kościołom w Polsce, otrzymała i Sandomierska kolegjata znaczną ich ilość, ale nie z nich nie pozostało. Może jedynie obraz, przedstawiający wskrzeszenie Piotrowina, na prawym filarze z tego daru pochodzi, jest to bardzo ciekawy zabytek malarstwa z XIV wieku.

W XVII wieku ozdobiono wielkimi obrazami prezbiterjum, a w XVIII wykonano obrazy wiszące obecnie na ścianach kościoła. Obrazy te u góry przedstawiają ustępy z ewangelji, a u dołu martyrologję na każdy miesiąc. Pod chórem cztery obrazy przedstawiają rzeź tatarską w Sandomierzu, męczeństwo 49 dominikanów, wysadzenie w powietrze zamku Sandomierskiego przez Szwedów, gdzie się znajduje i ów sławny Bobola, przerzucony przez Wisłę

z koniem. Kościół ma 11 ołtarzy z bardzo ładnymi obrazami, wielki chór, dużą zakrystję, a za nią salę posiedzeń kapituły, gdzie mieści się i skarbiec, nad-



Wzgórze katedralne.

zwyczaj interesujący swemi pamiątkami: są tu rękopisy z XIII wieku, liczna biblioteka, dużo portretów, osobliwy mały portrecik Sobieskiego, na któ-

rym drobnymi literkami wypisaną jest mowa pochwalna, rękawiczki podobno królowej Jadwigi bułeczka chleba maleńka, co podczas oblężenia Sandomierza przez Szwedów miała kosztować złoty, nade, cenny relikwiarz i wiele innych pamiątek. Ciekawe też są: dwa świeczniki mosiężne na marmurowych podstawach w kaplicy N. Sakramentu, sprawione przez Rafała Wargockiego kustosa Sandomierskiego w r. 1558, sam ołtarz w tej kaplicy z hebanu i srebra, oraz mały ołtarzyk z kości słoniowej, stojący na wielkim ołtarzu w nawie głównej.

Prymas Michał Poniatowski, brat króla, ustanowił sufraganię sandomierską w końcu XVIII wieku, a w r. 1819 ustanowionem zostało biskupstwo Sandomierskie.

Obok katedry stoi wysoka dzwonnica a za nią w dużym gmachu mieści się seminarjum, które w r. 1898 miało 62 alumnów.

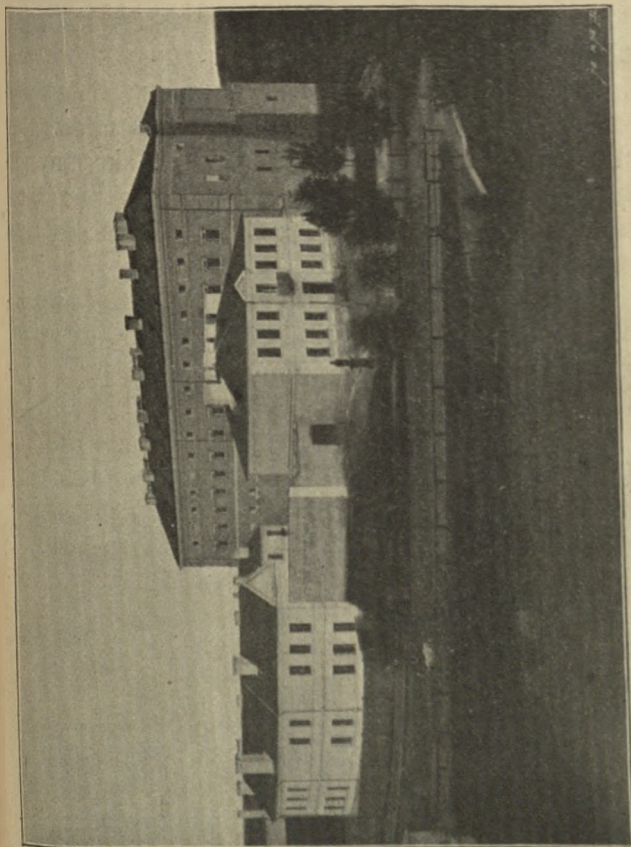
Nad Wisłą stoi bardzo ciekawy starożytny spichlerz kolegiacki, znany z wybornego rysunku Andriolego. Spichlerz ten posiada niezwykle piękne ganki drewniane i także schody, a widok z nad rzeki na spichlerz i katedrę zaiste jest czarujący.

Głęboki wąwóz oddziela wzgórze katedralne od niższego, na którym wznosi swe szczyty:

Z a m e k.

Ten był założony prawdopodobnie przez Bolesława Chrobrego, lub może nawet wcześniej; był on

pierwotnie drewnianym, dopiero zapewne przez Kazimierza Wielkiego z murów wzniesionym. Zupeł-



nie odnowionym i przerobionym został przez Zygmunta I, który mu nadał piękne cechy ówczesnego krakowskiego renesansu. W tym stanie zamek prze-

trwał do wojen szwedzkich i pamiętnego wybuchu w r. 1656, kiedy znaczną część jego wysadzono w powietrze. Od tej pory zamek do dawnej świetności już nie powrócił. Sobieski polecił podtrzymać mury, pozostałe w całości po wybuchu; za rządu austriackiego mieścił się tu sąd kryminalny. Po ustanowieniu biskupstwa ofiarowano zamek na mieszkanie biskupom, jednak biskup Burzyński, skromny zakonnik reformata, niestety odmówił tego zaszczytu. a zamek zamieniono na więzienie, które dotąd tam się mieści.

W obec tego, wnętrza zamku zwiedzać nie można. Znajduje się tam kaplica, oraz na głównym korpusie tablica o odnowieniu zamku przez Zygmunta I.

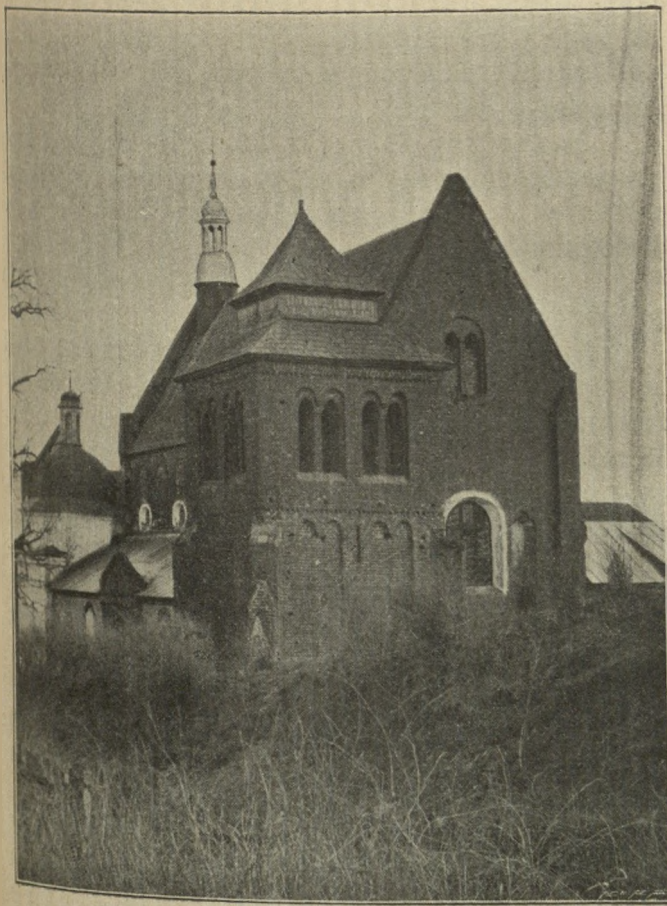
Więźniowie zajmują się przedzieniem i tkactwem.

Przez wąską stromą ścieżkę, po mostku nad głębokim jarem trzeba się pięć teraz na wyniosłe wzgórze, na którem stoi chluba Sandomierza i okolicy.

Kościół św. Jakóba.

Po całym kraju słynie ta świątynia ze swej starożytności, ze swych pamiątek, ze swej krwią męczenników zlanej przeszłości.

Doczekała się nawet osobnej monografji, znakomicie opracowanej przez prof. Wł. Łuszczkiewicza, który z przedziwną znajomością rzeczy i przenikliwością odczytał to, czego ani podania, ani dokumenty nie przechowały.



Kościół św. Jakóba.

Kościół ten jako parafjalny fundowała ks. Adelajda, córka Kazimierza Sprawiedliwego, a biskup krakowski Iwo Odrowąż osadził przy nim Dominikanów, parafię zaś przeniósł do wystawionego przez się kościoła św. Pawła.

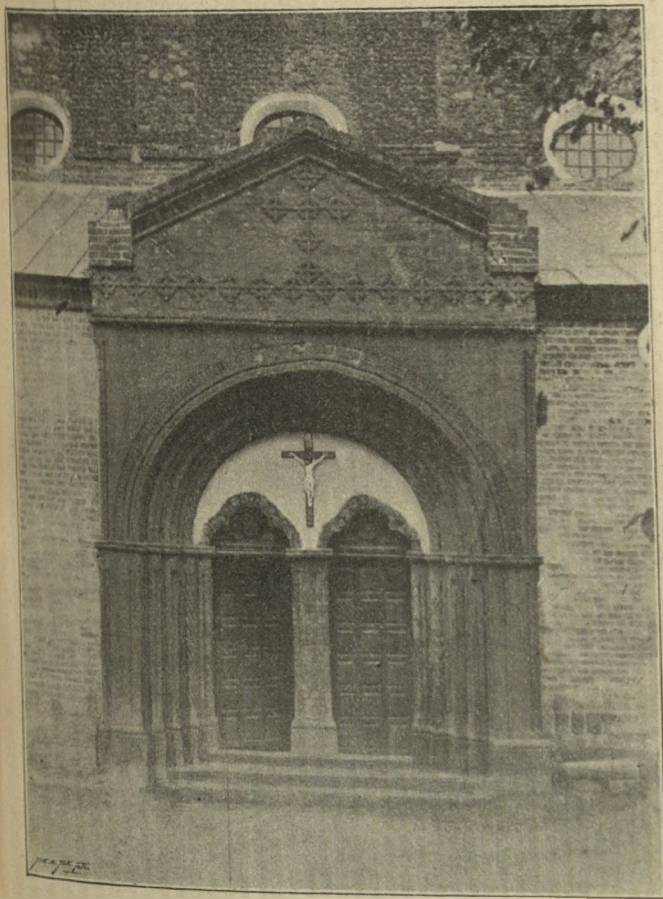
Nastąpiło to około roku 1230. Kościół z gruntu przebudowano, a że nie było czasu ciosać głazów kamiennych, z jakich wzniosły się sąsiednie kościoły w Koprzywnicy, Opatowie, Wąchocku, lub na Łysej Górze, więc jako materiału użyto cegły, bodaj czy nie poraz pierwszy na tak wielką skalę w Małopolsce.

Za bardzo jednak Sandomierz wystawiony był na napady, aby to prawdziwe arcydzieło romańszczyzny przetrwało spokojnie przez siedem blisko wieków. Wieki XIV, XVI i XVII brutalną ręką przeróbek zatarły czyste piękno starej romańskiej budowli, a XIX przyłożył się wprawdzie do podtrzymania kościoła, ale bezlitośnie zburzył cały klasztor, współczesny kościołowi.

Dawne okna zamurowano, arkady wewnątrz zniżono, filary znacznie pogrubiono, na pięknych ścianach oparto w XVII wieku brzydkie sklepienie, słowem ledwie biegły w czytaniu starych gmachów znawca potrafi odcyfrować tę dawną czystość i wdzięk stylu i odtworzyć ją zdumionym widzom.

W nieskalanej czystości pozostał tylko sławny portal ceglany, nie posiadający nic równego sobie na całym obszarze dawnej Polski.

Jest on utrzymany w stylu romańskim, 5 metrów długi i tyleż wysoki (bez nadmurowania). Pośrodku rozdzielony zgrabnym smukłym filarem,



Portal kościoła św. Jakóba.

a każda połowa u góry kończy się wykwiśniętym trójliściem. Jakież tu niesłychane bogactwo motywów w formach cegieł! To skręcone z grubych lin filary, to w ząbki zgrabnie wyrobione kolumnki, to z wąskiej taśmy plecione ornamenty, to zgrabne rozetki na trójliściu, to drobne, a gustowne główce kolumn, rozmaitość deseni i form niezwykła, a wszystko zachowane wybornie, jak gdyby nie 700 lat temu, lecz wczoraj dopiero wyszło z pod ręki artysty modelatora.

Małeńkie główki jedna kobieca, druga zaś męska w koronie widnieją na kapitelach z lewej strony i na filarze środkowym. Podanie chce widzieć w tem głowę Adelajdy i Leszka Białego.

Jednakże drobny ten ślad, nie byłby godnym królewskiej opieki nad tą świątynią. Zapewne nad trójliściami mieścił się bogato rzeźbiony tympanon, a książęcy fundatorowie zapewne tam byli wyobrażeni, te zaś główki artysta rzucił z fantazji tylko, lub w jakiej, tak w wiekach średnich modnej symbolistyce. Podanie mówi, że tympanon z nad tego portalu był umieszczony w domku gotyckim w Puławach.

Wewnątrz kościół dzieli się na trzy nawy, ma długie prezbiterjum, na ścianach nawy środkowej znać dobrze dawną wysokość arkad, które zamurowane zostały już w końcu XIV wieku.

Trzy kaplice przylegają do kościoła. Pierwsza w lewej nawie jest najciekawsza, jest to bowiem kaplica Męczenników Sandomierskich zbudowana około roku 1600 przez Teofila Szemberka z Rajchenbachu, kasztelana kamienieckiego.

W prawą ścianę kaplicy wprawiono kamienny pomnik ks. Adelajdy, którego robota wskazuje pó-



Pomnik ks. Adelajdy.

źniejsze pochodzenie, niż umieszczona na nim data śmierci księżniczki (1211). Charakter rzeźby przypomina prace kamieniarzy krakowskich z końca XIV wieku. Rzeźba mało jest artystyczna i nie słusznie uważana za najstarożytniejszy pomnik w Polsce.

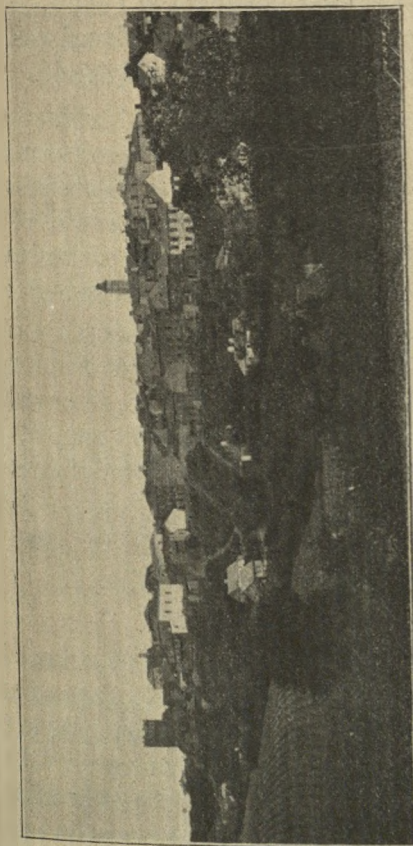
Pod oknem lewej ściany stoi dębowy sarkofag, przedstawiający też ks. Adelajdę. Rzeźba to w jednej sztuce dębu, robiona w XVII wieku, a pod tym sarkofagiem w małej trumience spoczywają szczątki księżnej przeniesione z grobowca. Z tego też czasu pochodzi lichy obraz przedstawiający księżniczkę.

Na ścianach zatarte freski przedstawiają po prawej stronie męczeństwo 49 Dominikanów w r. 1260, a po lewej śmierć ks. Andrzeja Rogali, okrutnie zamordowanego w r. 1657 przez żołnierzy Rakoczego.

Prawą nawę kościoła kończy kaplica św. Walentego, obecnie N. M. P. Różańcowej, a z boku nawy znajduje się wejście do obecnej kaplicy, a dawnej celi św. Jacka, który tu przez czas dłuższy przemieszkiwał. Bardzo starożytną jest na kościele płyta grobowa Grotów ze Słupcy z herbami Leliwa, Świnka, Zadora i Grzymała, następnie w filarze lewej strony pomnik z h. Nałęcz Jana Ostroroga z r. 1427, duża tablica Mateusza Boguckiego mieszczanina sandomierskiego z r. 1535, nagrobek Teofila Szemberka, fundatora kaplicy Męczenników z r. 1605, jest też posąg nieznanego rycerza w zbroi.

Północna ściana (z portalem) zachowała piękne ornamenty z palonej cegły nad oknami, a pas cegieł, ciągnący się u dołu z piękną plecionką pocho-

dzi z murów klasztornych, zburzonych przez magistrat miasta po kasacji zakonu w r. 1863. Obok ko-



Widok od strony kościoła św. Jakóba.

ścioła stoi starożytna dzwonnica, obronna wieża ze strzelnicami, a w niej zawieszane są dwa bardzo stare dzwony. I co do nich miejscowe podania zbyt

barwne podają twierdzenia. Jeden z nich, zwany Demetrjuszem, ma jakoby o kilkadziesiąt lat poprzedzić przyjęcie chrześcijaństwa w Polsce, jednak ma on na sobie wyraźną datę 1399, drugi zaś 1314, co i tak poświadcza znaczną ich starożytność.

Jeżeli tutejsze zabytki sztuki, zwłaszcza budownictwa, są tak bardzo cenne, to i poetyczna legenda, na rzeczywistym fakcie oparta, o męczeństwie braci zakonnej, tak jest piękna, że choć powszechnie znana, powtórzyć jej tu nie zawadzi, zwłaszcza wobec tych murów, co były świadkami okropnego czynu.

2 Lutego 1260 roku w dzień oczyszczenia N. M. P. modlili się bracia zakonni do swej osobliwej Opiekunki. Modły były tem żarliwsze, że nawała tatarska obległa miasto, zdobyła gród i zamek, czyniąc tam straszliwą rzeź między obezwładnionym ludem.

Poważny spokój pierwszych chrześcijan pawał na chórze zakonnym. Może modły odwróćą klęskę, może dziki barbarzyńca cofnie się, dotknięty szlachetną wolą Bożej Rodzicielki.

Skończyła się jutrznia, a jeden z nowicjusów, skromne ubogie zapewne chłopię, czyta martyrologium na ten dzień przypadające. Wyliczył już wszystkich, co w tym dniu za wiarę prawdziwą polegli, ponosząc śmierć męczeńską, gdy wtem przed oczyma jego złotemi głoskami rozwija się napis w księdze. Oczom nie wierzy, czyta po raz drugi, w księdze wyraźnie napis wymienia: „W Sandomierzu męczeństwo czterdziestu dziewięciu męczenników“.

Ascetyczny przeor Sadok z pokorą poddał się woli Najwyższego. Nie miał widać tego hartu i sił, jaki w czterysta lat później ożywia wielką duszę Kordeckiego, nie mieli i bracia zakonni tej energii, jaką w sąsiednim Opatowie wykazali podczas podobnego napadu Bernardyni.

„Bolesne to jest upomnienie, bracia, zawołał przeor, dawca żywota wzywa nas do życia nieśmiertelnego, może to nasze męczeństwo zbawi naród polski, i Wszechmocny spojrzy łaskawem okiem na tę ziemię, na której jego wierne dziatki krew przelewają, zasłaniając swemi pierściami inne narody!“

Po czem zaintonował hymn „*Salve regina*“, aż oto rozległy się wrzaski dzikiej hordy, pomieszały się z pieśnią pobożną i legli wszyscy synowie Dominika. „Zginęli jak rozśpiewana ptaszyna, którą wśród pieśni przeszywa pocisk myśliwca“. (*Deotyma*).

Lud okoliczny otoczył czią pamięć męczenników, a w XVII wieku rozpoczęto proces kanonizacyjny tych ofiar tatarskiego okrucieństwa. Konwent tutejszy wydał kilku znakomitych mężów, najgłośniej zaś wślawił się dominikanin Marcin, zwany Sandomierzaninem, którego Grzegorz IX słał jako posła do króla Ludwika francuskiego, aby go zachęcić do krucjaty.

Upadek kraju przerwał sprawę kanonizacji, jednak od r. 1860 Stolica Apostolska pozwoiliła duchownym dyeceji Sandomierskiej czytać officium i mszę Śtą o męczennikach Sandomierskich.

Z budynków klasztornych pozostało jedno tylko skrzydło, a do kościoła należy piękny ogród na stoku

wzgórza. Kiedyś rozciągnęły się tu winnice dominikańskie, dziś jeszcze obficie rodzą tu drzewa owocowe, wystawione na południowe ciepła, a widok z ogrodu prawdziwie czarujący: zamek, dalej katedrę, miasto, Wisłę, równiny galicyjskie, Nadbrzezie, Dzików, Koprzywnicę widać stąd, mimo ich odległości.

Wąska ścieżka, która przywiodła nas tu z katedry, pnie się dalej pod górę, kędy wznosi swe belejące mury

Kościół św. Pawła.

Iwo Odrowąż, oddawszy sprowadzonym przez się Dominikanom parafjalny kościół św. Jakóba, w samym środku starego Sandomierza, na wzgórzu wystawił kościół parafjalny drewniany pod wezwaniem św. Pawła (około 1226).

Drewniany kościół Iwona przetrwał okragłe 200 lat, gdyż dopiero w r. 1426 Grzegorz, proboszcz, kanonik i oficjał sandomierski wzniósł tę świątynię z muru. Była ona jednak dużo mniejszą od obecnej, dopiero bowiem w r. 1710 Jakób Orzechowski proboszcz powiększył ją do obecnej formy. Dzwonnicę przy kościele wybudował Marcin Jasiński w r. 1728.

Wewnątrz kościół Ś-to Pawelski ma bardzo ładne sklepienia, parę dobrych obrazów, ciekawe rzeźbione z polichromią drzwiczki na chór, portret Iwona Odrowąża, przedstawionego tu bardzo odmiennie od znanego typu na obrazie Matejkowskim.

Przy kościele istnieje bractwo św. Barbary, założone w r. 1719, a księga członków tego bractwa mieści w sobie od założenia przeszło 12000 nazwisk.

Podczas sławnego oblężenia miasta w r. 1809 kościół ten wiele ucierpiał, gdyż Austriacy ufortyfikowali go i na cmentarzu poustawiali baterje, gdy



Kościół św. Pawła.

żas Polacy zajęli miasto i ten szaniec, nieprzyjacieli, odbierając go, prażył strasznym ogniem działowym, od którego drewniane zabudowania spłonęły, a mury kościoła i dzwonnicy popękały od granatów.

Dziś jeszcze parę kul wmurowanych na pamiątkę tego szturm tkwi w ścianach kościoła.

Cicho tu i pusto, stadko białych gołębi krąży nad pordzewiałymi krzyżami, jak płaty śniegu spadną na dach kościelny i gruchanie mąci tę ciszę cmentarną. Miasto uciekło bliżej ku rzece, pozostał gmach Boży, co niegdyś wśród domów miejskich się wznosił. Usunął się gwar i drobne walki codziennego życia, a tu zapanował spokój dla dusz pragnących wytchnienia.

Wąską ścieżyną koło cmentarza, przez pola i głęboki jar można skierować stąd drogę ku niezbyt odległej wyżynie, kędy białymi ścianami, czerwonym dachem i wysmukłą sygnaturką panuje wśród zieleni drzew

Kościół św. Józefa.

Należał on niegdyś do zakonnego zgromadzenia O.O. Reformatów, którzy przybyli do Sandomierza w roku 1672. Początkowo osiedli nowi bracia w miejskiej kamienicy i dopiero w parę lat później zaczęli budować sobie kościół i klasztor z materiałów, jakie im przyznała uchwała sejmowa z roku 1678: „ażeby chwała Boża w państwach naszych jaknajbardziej kwitnęła, ojcom Reformatom rudera zamku, które extant pod Zawichostem, a reperowane być nie mogą rozebrać i na murowanie kościoła do Sandomierza przewieść za zgodą wszelkich stanów zezwalamy“.

Obecne więc mury są stawiane ze szczątków zamku zawichostskiego, który Szwedzi r. w 1657 zburzyli, a Wisła podmywała i groziła mu zupełnym zbraniem.

Kościół poświęcony w roku 1685 przestał spokojnie sto dwadzieścia cztery lata, ale nie uszanował go szturm austriaków w r. 1809. Zgorzał wtedy dach na kościele i klasztorze, oczerniały mury sterczały jak szkielety na szczycie wzgórza.

Dopiero w r. 1824 został ponownie poświęcony i od owego czasu pozostał bez zmiany. Wewnątrz



Kościół św. Józefa.

znajduje się siedem ołtarzy, cały kościółek czysty i widny miłe czyni wrażenie. Kilka tablic grobowych rozrzuconych jest po ścianach, a w podziemiach kościoła leżą ciała dobrodziejów konwentu. Godne widzenia w podziemiach są zwłoki Izabelli Morstynówny, wojewodzianki sandomierskiej, zmarłej w 19 wiosnie życia. Zwłoki dotąd zachowały się

wybornie i nawet rysy twarzy zmarłej dobrze dają się rozróżnić.

Strudzony zwiedzaniem opisanych pamiątek widz może słusznie pożądać obecnie chwili odpoczynku, a tej udzieli mu wybornie leżący na reformackiem wzgórzu

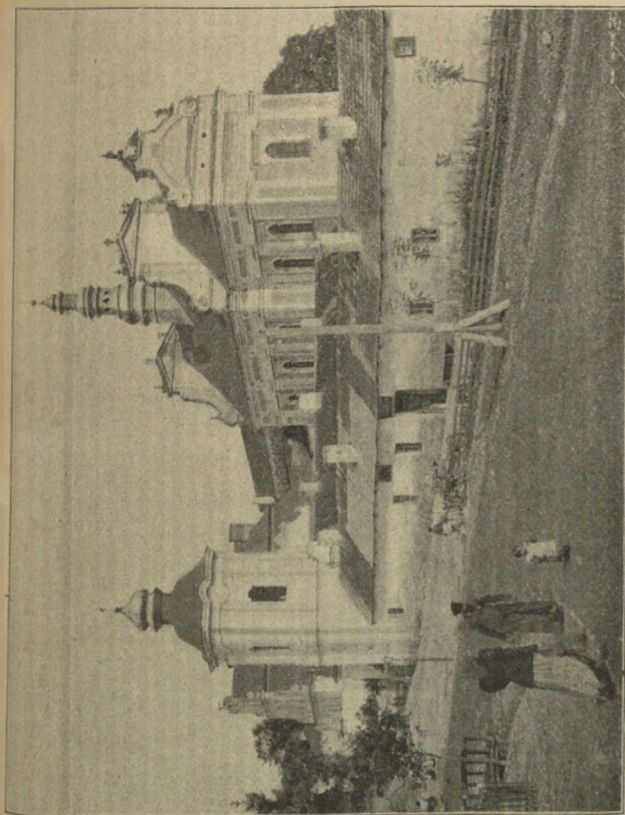
Ogród miejski.

Za przykładem stolicy nosi on nazwę saskiego, choć nigdy zapewne prawdziwego Sasa nie oglądał. Założony on został w roku 1869; posiada wiele pięknych i rozrosłych drzew, wygodne ławki i miły wypoczynek daje strudzonemu turyście. Po wypoczynku w ogrodzie dalsza droga czeka nas, bo należy obejrzeć tyle od wjazdu już interesujący

Kościół św. Michała i klasztor p.p. Benedyktynek.

Na wstępie wita tu przechodnia wysoka kształtna brama z gankiem, z którego niegdyś grzmiały słowa kaznodziei, lub płynęły słodkie dźwięki muzyki klasztornej. Mały cmentarzyk, zarośnięty bujnie krzewami i zielenią oddziela nas od kościołka, w koło cisza spokój i pogoda. Skrzypnęły ciężkie drzwi kościelne, i podróżny znajduje się wewnątrz pięknej świątyni, która swym spokojem i oderwaniem od świata jakby gojący balsam zlewa na jego duszę. Na wstępie zaraz rzuca się w oczy niezwykle bogato

rzeźbiona kazalnica, gdzie z bioder św Benedykta, założyciela zakonu, wyrasta bogate drzewo, wydające



Kościół p.p. Benedyktynek.

na swych konarach znakomitych mężów benedyktyńskich. W podobnym stylu rzeźbione są ołtarze boczne.

Benedyktynki przybyły do Sandomierza w roku 1615. Pochodziły one ze słynnego klasztoru tego zgromadzenia w Chelmie, skąd 12 sióstr pod przewodnictwem Zofji Sieniawskiej, której matka, Elżbieta z Gostomskich Sieniawska, marszałkowa koronna, zakupiła domy i place dla nowego zgromadzenia, tu się przeniosło.

Pierwszą przełożoną była Dorota Karpińska, wkrótce zaś potem objęła rządy córka fundatorki, wspomniana już Zofja. Podczas pożaru miasta w r. 1623 spłonął drewniany klasztor, a ksienię namawiano, aby w znaczniejszym grodzie wzniosła siedzibę dla sióstr, ta jednak odrzekła, że woli pozostać w Sandomierzu, jak sobie życzyła tego nieboszczka matka, a „choć ludzie nie będą tu o mnie wiedzieli to tembardziej Bóg będzie o mnie w Sandomierzu pamiętał“. Jakoż wzięwszy się energicznie do dzieła, wzniosła jedno skrzydło obecnego klasztoru. Następne ksienie dokończyły budowy gmachów, a były to panie gospodarne, jak np. Zofja Mikułowska, co zboże z dóbr klasztornych słała galarami do Gdańska.

Dotychczas jednak nie miały siostry okazałego kościoła, a nabożeństwa odbywały się w małej kaplicy. Dopiero ksieni Skarszewska w 1686 r. przystąpiła do budowy obecnego kościoła. Znaczną pomoc materjalną przyniósł sędzia ziemski p. Stanisław Zaremba. Jako ubogi żaczek przychodził on z garnuszkami pod furtę klasztorną po miłosierzną strawę. Wyrósł biedny żaczek i doszedł z wiekiem do fortuny, a przez wdzięczność dla swych dawnych dobrodziejek, złożył na ręce ksieni 50000 złp. na budowę



Ambona w kościele pp. Benedyktynek.

kościola. Rzadki zaiste przykład wdzięczności Narodzi się w r. 1692 poświęcono obecny kościół. W r. 1757 zgorzał dach na klasztorze, kościół jednak ocalał. W połowie XVIII w. było zgromadzenie nadzwyczaj liczne, bowiem liczyło 52 sióstr, założono wtedy słynną w okolicy pensję żeńską, która mieściła się w skrzydle, gdzie dziś są biura powiatu.

Podczas oblężenia Sandomierza przez Austriaków siostry wraz z pensjonarkami opuściły klasztor, który kule armatnie cokolwiek zrujnowały, po odejściu jednak nieprzyjaciela, wróciły one do swych cichych zajęć.

Od tego czasu spokój panuje w klasztorze, spokój za wielki, pensję zamknięto, a zgromadzenie pozostawiono bez nowicjatu, więc z chwilą usunięcia obecnych sióstr, ustanie już zupełnie klasztorny charakter tego przybytku, gdzie przez dwieście kilkadziesiąt lat brzmiały pobożne hymny na chwałę Bożą.

Kościół sam kratą jest oddzielony od sal klasztornych i często przez tę kratę widzieć można czarne habity 7 pozostałych jeszcze sióstr, kornie zatopionych w modlitwie.

Oprócz wymienionych kościołów było jeszcze w Sandomierzu parę innych, a mianowicie: kościół Marji Magdaleny z klasztorem Dominikanów z XIV wieku, obecnie zamieniony na biura komory. Wspomniany już kościół św. Piotra przy kolegium jezuickim rozebrany w r. 1821, kościół św. Jana, rozebrany w r. 1736, kościół św. Wojciecha spalony podczas szturmów w r. 1809, kościół św. Hieronima, rozebrany w r. 1816. Jeżeli Kraków z powodu mnogości jego

kościółów nazywają często małym Rzymem, to Sandomierz śmiało mógł być nazywany małym Krakowem.

Mury miejskie rozbierano potrochu, aż w r. 1874 i 1875 rozebrano je zupełnie. Pomimo tego wszystkiego miasto do dziś zatrzymało jakiś dziwny urok starożytności, zwłaszcza od Wisły z pokładu statku, lub od drogi do Zawichostu przedstawia się ono nadzwyczaj malowniczo. Jeżeli więc czas pozwala warto jest wyjść na szosę zawichostską ku górcom Pieprzowym, co sinieją po lewej stronie, by stamtąd napawać się prawdziwie czarującym widokiem.

Góry Pieprzowe stromo spadają ku Wiśle i czynią wrażenie pewnej dzikości, głębokie parowy czerpią się pomiędzy niemi, rozgradzając góry na podługne zręby.

Również piękny jest widok na miasto ze wzgórza zwanego *Salve Regina*, o którym mówią podania, że po rzezi Męczenników, gdy Tatarzy cofnęli się już, wół jeden wyrwał się ze stada i gonił morderców, gdy jednak dogonić ich nie mógł, począł ryć ziemię rogami i wyrzył na wzgórzu napis *Salve Regina*. Według innego podania napis ten wyryli na murawie biwakujący tam w roku 1809 żołnierze i dotąd miejsc to nie zarasta trawą.

Sandomierz cierpiał zawsze na brak dobrej wody do potrzeb mieszkańców. Woda wiślana jest mętną, a przytem podczas lata koryto rzeki znacznie się oddala od miasta. Istnieje wprowadzić kilka źródeł w wąwozach pod miastem, lecz zawsze są one dosyć odległe, a typowi nosiwodowie dźwigają pod

górze pełne konewki. Bardzo dobra jest woda w studni, leżącej przy drodze z Katedry do św. Jakóba.

Za Stefana Batorego i Zygmunta III wodaż z podmiejskich źródeł prowadzoną była rurami do dużej cysterny, położonej w rynku. Wśród zamieszek i nieszczęść krajowych rzeczony wodociąg został zupełnie zaniedbany.

Dużo, bardzo dużo możnaby jeszcze mówić o tym starożytnym grodzie, o którym Deotyma rzekła: „Ktokolwiek rozczytał się w naszych kronikach i dziejopisach, kto zbadał koleje tego miasta dziwne, groźne i poetyczne, jak straszna powieść przy ognisku, lub jak dręczący sen obłąkanego, ten z pochyłonym czołem wjeżdża w owe mury, na których strwożone oko sądzi jeszcze wszędzie dostrzegać ślady krwi męczeńskiej, gdzie każde stąpienie odśłania krajobraz, a każdy kamień opowiada o dniach radości i chwały“.

A jednak i zachwycony podróżny musi zakończyć swój pobyt w tym grodzie pamiątek i pomyśleć o powrocie z tego zaczarowanego snu do szarej monotonnej jawy codziennego życia. Jeżeli czas mu pozwoli może uczynić zajmującą, wycieczkę do starego opactwa Cystersów w sąsiedniej Koprzywnicy, z powodu jednak bardzo niedobrej drogi furmani drożą się z końmi.

Gdy więc opuszczać trzeba Sandomierz, pozostają dwie drogi lądem: wracać szosą na Opatów do Ostrowca, lub też wybrać się końmi bardzo piękną drogą do Zawichostu, odległego o 13 wiorst, (cena końmi 1 r. 50 k. do 2 rubli) a stamtąd na Ożarów,

Ćmielów ciągnąć szosą również do Ostrowca, skąd koleją dalej.

Dla cyklistów. Szosa od Sandomierza do Zawichostu ciągnie się wciąż po powiślu. Na lewo piętrzą się góry Pieprzowe i cały szereg wysokich wzgórz lewego brzegu Wisły, po prawej zaś stronie szeroko rozciągnięte zielone łąki i pastwiska, zlewające się w dali z falami Wisły.

Dwa uroczo położone majątki Słupczę i Winia-ry spotykamy po drodze, podziwiając piękne położenie obu, ich wykwintne parki i tarasy na stokach wzgórz oraz bielejące mury i czerwone dachy pałaców mieszkalnych.

Dla innych jednak podróżników droga ta jest trochę kosztowną z powodu drogich cen koni, o wiele więc tańszą i ciekawszą jest droga wodna, a mianowicie do Puław.

Cena biletów na statek wynosi kl. I r. 1 k. 50, kl. II r. 1, trzeba się jednak uzbroić w sporą dozę cierpliwości i zapasów żywności, gdyż statki chodzą bardzo wolno, a kuchnię mają bardzo prymitywną.

Za to pięknymi widokami nasycić się można dowoli.

Sam Sandomierz, tonący w zieleni ogrodów, przedstawia widok czarujący. Mimowoli westchnienie łączy się z piosnką parobezaka:

Oj, czy ja czarowny,
Czy mój konik siwy
Że nie mogę wyjechać
Za Sandomierskie niwy!

Oj, czy ja czarowany,
Czy wy czary macie?
Że nie mogę wyjechać.
Da choć mnie wypędzacie!

Ostatniem wspomnieniem żegnanego miasta niechaj będzie piękna legenda przytoczona przez Gryfa w książce zbiorowej p. t. „Sami Sobie“. „Panowie Polscy przed Stolicą Piotrową mówili: Postanowił nas Pan jako strażnicę na skraju Europy i jako od muru nawala pogańska odbija się od piersi naszych. Żyjemy walcząc, ginimy osłaniając Chrześcijaństwo. Ojcze Święty! daj nam relikwie: kości świętych rycerzy, aby pod ich pieczę krzepił się duch, mężniało ramię do kresowej służby. A starzec w potrójnej koronie rzekł: Synowie mili, chętnie przychylię się do prośby waszej, boć na placówce potrzebne i ducha męstwo, i ramienia krzepkość, i uczuć podniosłość i wytrwałość granitu. Zanim jednakże wybiorę dla was święte kości, przywieźcie mi ziemi cmentarnej z waszego starego grodu Sandomierza. Stało się zadość woli Ojca ludów. Pius V zgniół w dłoni garść ziemi sandomierskiej; przez palce kropkami poczęła się sączyć krew. Oto wasze relikwie, rzekł święty starzec, w miłości ku nim znajdziecie i siłę, i moc i zasługę“.

Lewy brzeg Wisły z owemi pięknymi wzgórzami zmienia coraz swe formy i bawi oko tym kalejdoskopem. Czarne pokłady łupków gór Pieprzowych giną w błękitnej dali. O milę od Sandomierza po prawej stronie widzimy ujście Sanu, a znów o milę dalej

piętrzą się na lewym brzegu domy i kościoły Zawichostu, stojącego już na pokładach wapiennych wyżyny lubelskiej. Za Zawichostem lewy brzeg wciąż wyniosły dochodzi do najwyższych wzniesień koło wsi Słupia Nadbrzeżna. Przed nią po prawej stronie staje statek koło ubogiego Rachowa, zwanego też Annopolem, skąd biała wstęga szosy prowadzi na Gościeradów ku Lublinowi.

Dalej również po prawej stronie widać wieżę kościoła w Rybitwach i rozrzucone na wzgórzach miasteczko Józefów z ruinami pałacu Lubomirskich na wyniosłym wapiennym wzgórzu.

Dalej długa wieś Kaliszany, gdzie Wisła ma największą głębokość w tych stronach. Tu też łowią dużo jesiotrów, ciągnących w górę rzeki.

Za Kaliszanami ukazują się po lewej stronie domy, kościoły i szczątki zamku w Solcu, a po prawej — czerwony ceglany kościółek w Piotrowinie. Tu według podania miał miejsce ów słynny cud św. Stanisława: wskreszenie Piotrowina. Ocenia kościół olbrzymia lipa pono ręką świętego sadzona, a w zakrystji pokazują kapę, w którą jakoby był odziany w ową pamiętną chwilę. Blisko stąd wznosi się duża cukrownia pod firmą Zagłoba.

Wkrótce za Piotrowinem ukazują się na szczycie wzgórza na lewym brzegu potężne ruiny zamku w Janowcu, a u stóp wzgórza kościół i miasteczko. Dalej willa na wzgórzach Janówek, a na prawym brzegu rozwija się cudna panorama Kazimierza: jego sady, śpichrze, bezładnie rozrzucone domy, szczyty kościołów i domów pełne zębatych attyk, drobnych

wieżyczek, połamanych gzymsów. Nad niemi za górą cmentarną bieleją jak szkielet ruiny Kazimierzowskiego zamku, a wyżej jeszcze sterczy pojedyncza, samotna wieża, w której pono zginął głodową śmiercią Maćko Borkowie (toż samo mówią o basze w Olsztynie). Wzgórza Kazimierskie pokryte z wiosną jasną zielenią swych krzewów, pod jesień przybierają złoto-purpurową barwę dojrzewających berbersów, u stóp wzgórz ciągnie się szosa do Puław, wysadzona przez Czartoryskich topolami, mijamy szczątki zamku w malowniczej Bochońnicy, kędy ulubiona Łódźka pod bokiem królewskiego kochanka przesiadywała, a sady ciągną się nieprzerwanie, mieniąc się ciemnymi barwami słynnych swych węgielek. Cały brzeg prawy poszarpany wąwozami przez erozję potoków.

Jeszcze parę rzutów oka po za siebie na uroczy Kazimierz i Bochońnicę, aż oto i kościółek we Włostowicach na prawym brzegu Wisły. Wspaniała aleja topoli zamienia się na lipową i ta prowadzi wzrok, kędy wznoszą swe dachy „Godne monarchów Puławy“ (Krasicki), przesuwają się pałac Czartoryskich, obecnie Instytut agronomiczny, kościół w kształcie rotundy i liczne domy miasta. Statek zatrzymuje się, i zgrają woźniców oblega wędrowca, ofiarując odwiezienie na kolej.

Za dorożkę do stacji kolei, odległej stąd o cztery wiorsty, płaci się 30—50 kop.. W mieście jest dwie cukiernie i restauracje, gdzie można się posilić, i podążać na kolej skąd pociąg na Iwangród, Otwock, Pragę wiezie sy-

tego wrażeń wędrowca do Warszawy. Kolej z Nowej Aleksandrji do Warszawy kosztuje kl. II 1.95, kl. III 1.30.

Uroczę strony Nowej Aleksandrji bezwątpienia zwrócą szczególną uwagę wędrowca, stąd też przy nadarzonej okazji zapewne nie jedno grono turystów wybierze się obejrzeć zbliżając ten zakątek kraju, pełen ciekawych pamiątek historycznych, zabytków sztuki i przepięknych krajobrazów.

Wskazówki do wycieczki w te okolice mam zamiar podać w następnym zeszycie „Wycieczek po Kraju“.

BIBLIOGRAFJA.

1) Biblioteka Warszawska 1849 Luty i Marzec. Wspomnienia podróży po kraju, odbytej przez uczniów Instytutu Agronomicznego w r. 1848.

2) 1843 Lipiec. Szczegóły o kościele św. Jakóba w Sandomierzu przez K. S.

3) Roczniki Gospodarstwa Krajowego 1854. Wspomnienia z podróży przez uczniów Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Marymoncie pod przewodnictwem prof. Jastrzębowskiego odbytej w lecie r. 1853.

4) Kalendarz Astronomiczno-Gospodarski Jana Jaworskiego r. 1862.

Opis ziemi Opatowsko-Sandomierskiej pod względem przemysłowym i handlowym Ad. Wiślicki.

5) Wiejskie zarysy J. K. Gregorowicz, Warszawa r. 1854.

6) Obrazki wiejskie J. K. Gregorowicz, Warszawa r. 1852.

7) Różne różności J. K. Gregorowicz, Warszawa r. 1856.

8) Księga świata Warszawa 1859 cz. II. Podania ludu J. K. Gregorowicz.

9) 1856 Tatarski Szlak przez Sandomierz i Krakowskie Wł. Wiczorkowski.

10) 1860 Wspomnienie o Malicach, ks. Dziśewski.

11) Pamiętnik Sandomierski, Warszawa 1830.

12) Muzeum domowe, Warszawa 1839.
Opis Sandomierza.

13) Pamiętnik naukowy, Kraków 1825, Sandomierz T. II str. 266.

14) Przyjaciół ludu Leszno Nr. 26, Sandomierz, kościół św. Jakóba przez K. S.

15) Pamiętnik religijno-moralny, Warszawa a) 1842 t. 2. str. 35. Kościół katedralny w Sandomierzu ks. Melchior Buliński. b) 1849 t. 16 str. 134 Raków i kościół parafialny przez A. S.

16) Jan Nep. Chądzyński, Wspomnienia sandomierskie Warszawa 1850.

17) Historyczno-statystyczne opisy miast starożytnych w ziemi Sandomierskiej, Warszawa 1855.

18) Oskar Kolberg. Lud, Warszawa 1865. Ser. I Sandomierskie.

19) Monografia miasta Sandomierza ks. Melchior Buliński, Warszawa 1878.

20) Sprawozdania Komisji do badania historii sztuki w Polsce wyd. Akad. Umiejętności w Krakowie.

a) T. V, Zesz. 2. Leonard Lepszy: Pacyfikat Sandomierski.

b) T. V, Zesz. 4. St. Tomkowicz, Krzyżtopór, twierdza magnacka XVII wieku.

c) T. II, Zesz. 2. Wł. Łuszczkiewicz, Kościół św. Jakóba w Sandomierzu.

21) Tygodnik Ilustrowany w latach 1870, 1871, 1873, 1880, a w r. 1899 N-ra 34 i 35 Gryf. Kartka z dziejów starego grodu.

22) Wędrowiec 1899 Nr. 34 i 35 Michał Rawicz-Witanowski, Sandomierz.

23) Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego T. X. str. 268.

24) Starożytna Polska T. II, str. 290.

25) Kl. z Tańskich Hoffmanowa. Wycieczka do Sandomierza.

26) Deotyma. Na górę czarów.

27) Sprawozdanie z badań geologicznych w górach Kielecko-Sandomierskich J. Siemiradzki (Pamiętnik Fizjograficzny).

28) W. Nałkowski. Dziennik podróży w góry Kielecko-Sandomierskie. Głos 1900 r.

29) Wisła (rocznik) w r. 1899 i 1900. T. XIII i XIV, Materiały do inwentarza ludoznawstwa polskiego, pracowicie zebrany przez Szczęsnego Jastrzębowskiego wykaz artykułów z Gazety Radomskiej, dotyczących się krajoznawstwa.

30) Światowit, rocznik archeologiczny wydany przez Erazma Majewskiego, Zeszyt I (1899). Zeszyt II (1900).

31) Wydawnictwa Warszawskiego Komitetu Statystycznego:

T. IX. Srawditielnaja statistika zarabotków i prodowlstwija sielskaho nasielenija w 10 gub. Carstwa Polskaho, Warsz. 1879.

T. VI. Sostojanije nasielenija w 10 gub. Carstwa Polskaho 1 Janwaria 1893 goda, Warszawa 1894 r.

T. XIV. Sielskoje biezziemielnoje nasielenije w 10 gub. Carstwa Polskaho, Warszawa 1897.

T. XV. Poziemielnaja sobstwiennost' w 10 gub. Carstwa Polskaho, Warszawa 1898.

32) Dane co do fabryk wzięte z wydawnictwa N. Puszkina: Statistika akcionernaho dieła w Rossii T. III, Petersburg 1898.

33) Witold Załęski. Królestwo Polskie pod względem statystycznym cz. I. Warszawa 1900.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	1
Droga Warszawa-Ostrowiec	5
„ Ostrowiec-Opatów	8
Opatów	11
Krzysztof Szydłowiecki.	27
Powiat Opatowski	32
Droga Opatów-Ujazd	36
Ujazd	38
Droga Ujazd-Klimontów	47
Powiat Sandomierski	49
Klimontów	55
Ossolin.	63
Jerzy Ossoliński	69
Droga Ossolin-Sandomierz	85
Sandomierz	89
Biblijografia	148

Wycieczki po kraju.

AL. JANOWSKI.

Wsp. Kom. Hist. Szt. Ak. Um. w Krak.

Wycieczki po Kraju

III.

NOWO-ALEKSANDRJA. — KAZIMIERZ.
JANOWIEC. — NAŁĘCZÓW.



Z KSIĘGOZBIORU
STEFANA HEMPLA

WARSZAWA.

Nakład Autora.

Skład Główny w księgarni JANA FISZERA.

Nowy - Świat 9.

Cena 60 kop.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Января 1901 г.

PRZEDMOWA.

*Smutną jest rzecz wiedzieć, że
wydaje Afryka, a nie wiedzieć, że
się na własnej ziemi znajduje.*

Tudzież Cenzura.

Jeżeli wycieczki z I i II zeszytu zdadzą się trochę kłopotliwemi, ze względu na niezbyt wygodną komunikację do gór Ś-to Krzyskich, lub Sandomierza, — to miejscowości, opisane w III zeszycie, z łatwością mogą być zwiedzane, leżą bowiem tuż przy kolei, lub mają komunikację statkami parowemi.

Co do malowniczości, to opisywanym tu miejscowościom przyznać należy pierwszeństwo przed innemi w kraju. Nigdzie tak pięknych wzgórz, jak pod Kazimierzem, nie znajdziemy, ani drzew tak wspaniałych, jak na szosie za Włostowicami, ani ruin tak okazałych, jak Janowieckie, ani doliny tak uroczej, jak Bochatnicka.

Dalej więc w drogę, bo łatwa i tania, bo celem jej swoboda i zadowolenie, bo skutkiem

Wycieczki po kraju.

jej—zdrowie i pogoda. Zwłaszcza zaś młodzieży! po wyczerpującej pracy całego roku dąż śmiało a wesoło po wiązanek tych wrażeń, jaką da ci podróż po kraju. Gdy zimny wiatr walki o chleb powszedni zwarzy motyle skrzydła twojej czystej i szlachetnej duszy, gdy ciemne strony życia zaćmią świetlaną pogodę twego ducha, a całun rozczarowania okryje gmach różowych nadziei, zasklepi się w sobie duch, i stracisz wtedy ten święty dar chwywania wszystkiego, co piękne i dobre.

Nim więc ta gorycz zaprawi ci czarę żywota, dąż do tych skarbów co i w starości wzmacniać cię będą wspomnieniami lepszych dni.

Al. Janowski.

Opisywana w tym zeszycie wycieczka zajmuje dwa do trzech dni czasu i należy przedsiębrać ją w następującym porządku:

Koleją z Warszawy należy wyjechać Dr. Żel. Nadwiślańską (odnoga Kowelska) z dworca przy ulicy Zakroczymskiej. Dorożka ze śródmieścia kosztuje 35 kop. Bilety trzeba nabyć do stacji Nowo-Aleksandrja. Ceny biletów: kl. II 1 rb. 60 kop., kl. III 1 r. 05 kop. Droga trwa około 5 do 6 godzin. Najlepiej jest wyjechać po południu (około 3), zwiedzić wieczorem Nowo-Aleksandrję, nocować tam, a rano statkiem lub koniami jechać do Kazimierza.

Stacja Nowo-Aleksandrja od miasta tejże nazwy odległa jest o 4 wiorsty, należy więc brać ze stacji *konie*, za które płaci się: *w dzień* bryczka 1-konna 20 kop., dorożka 1-konna 30 kop., parokonna 50 kop., *w nocy* bryczka 25 kop., dorożka 1-konna 40 kop., parokonna 60 kop.

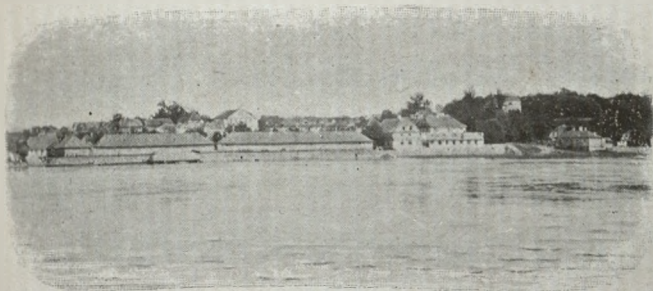
Statkiem można też dotrzeć do Nowej-Aleksandrji, wyjechawszy z Warszawy w górę Wisły o godzinie 5 rano. Cena biletów: kl. II 60 kop.,

kl. I—I rb. 35 kop. Statek przybywa wieczorem do miasta. Lepiej jednak jechać koleją, a wracać statkiem, gdy ten idzie z wodą.

Na rowerze droga wynosi 135 wiorst i należy kierować ją z Warszawy przez rogatkę Grochowską na Wawer, Kołbiel, Garwolin, Ryki i Kurów,—skąd trzeba się cofnąć na zachód przez Końsko-Wolę. Szosa dobra i bardzo przyjemna.

Tą czy ową drogą jadąc, w kilka godzin po wyjeździe z Warszawy stajemy w owym mieście, które nosi urzędową nazwę:

fantasy
NOWO-ALEKSANDRJA.



Widok z Wisły.

Osada powiatu Nowo - Aleksandryjskiego, gubernji Lubelskiej, 4000 mieszkańców, oddalona 125 wiorst od Warszawy, 46 w. od Lublina, 4 w. od stacji kolei tejże nazwy. Leży na drodze bitej z Radomia do Lublina (przeprawa przez Wisłę na promie). Posiada urząd powiatowy, urząd gminny, urząd pocztowo-telegraficzny, sąd gminny, Instytut agronomiczny, Progimnazjum żeńskie, szkołę początkową, Szpital św. Karola na 36 łóżek, Radę dobroczynności powiatową, Zarząd II-ej sekcji komunikacji wodnej, aptekę, 2 lekarzy.

Hotels: Victoria, 7 numerów w cenie od 80 kop. do I rb. 50 kop.

Rusalka, 4 numery w cenie 85 kop. z pocztową. Przy obu: restauracje, cukiernie, bilardy, obiady od 30 kop.

Hotel lubelski, oraz parę zajazdów.

Zakład fotograficzny Adeli Żychowicz.

Przemysł: Fabryka betonów, browar.

Dorożki z kolei w dzień: bryczka 1-konna 20 kop., dorożka 1-konna 30 kop., parokonna 50 kop., w nocy bryczka 25 kop., dorożka 1-konna 40 kop., parokonna 60 kop.

Drogi bite: 1) do Opola, 2) do Lublina, 3) do Radomia (z przeprawą przez Wisłę do Góry Puławskiej), 4) do Iwangrodu.

Droga żelazna Nadwiślańska, odnoga Kowelska. Ceny biletów do Warszawy kl. II i rb. 60 kop., kl. III i rb. 05 kop.

Statki parowe do Sandomierza codziennie o godzinie 6 rano, cena kl. I i rb. 10 kop., kl. II 75 kop.

Położenie geograficzne. Osada leży na prawym brzegu Wisły, wzniesiona o 351 st. n. p. m. Dogodna w tem miejscu przeprawa przez Wisłę i ciągnący tędy odwieczny trakt z Radomia do Lublina podnoszą znaczenie tej miejscowości. Szeroki pas dawnego koryta Wisły, podlegający i teraz jeszcze żyznym zalewom, sprzyja rozwojowi roślinności, podnosi plenność gleby, zasłoniętej od północno-wschodnich wiatrów stromemi stokami wyżyny lubelskiej. Przerżnąwszy się przez najwyższy punkt tej wyżyny, Wisła tworzy roz-

ległą urodzajną dolinę nadrzeczną, na której krańcu stoi N. Aleksandrja. Dawna nazwa Puławy, jak pokrewne Żuławy, lub Bielawy oznacza zapewne łęgi (ławy) nadrzeczne.

Historja. Dogodna przeprawa przez zwężające się tu koryto rzeki, niezwykła urodzajność gleby, obfitość drzewa, zwierzyny i ryb spowodowały wczesne i gęste osadnictwo tych stron. To też zarówno nad samą Wisłą, jako też i nad jej pobliskimi dopływami: Kurówką, Bechotnicą, rychło i pomyślnie rozwija się życie osiadłe, gęsto stoją miasta (Wąwolnica, Kurów, Kazimierz) lub duże wsie, jak: Końskowola, Włostowice lub Parchatka.

Założenie w XIV wieku Kazimierza, jako centralnego punktu do handlu zbożem, wskazuje już na niezwykłą kulturalność tych okolic i obfitą produkcję rolną. Za czasów Długosza Końskowola, a właściwie Konińsko Wola, jest własnością rodziny Konińskich (Konynsky) h. Rawa, jak sam herb wskazuje, dzielnych mazowieckich kolonizatorów. Już jednak w r. 1531 dzierżą te strony potężni Toporczykowie małopolscy Tęczyńscy. Droga wiana przechodzą dobra Końskowskie do Zbaraskich, Wiśniowieckich, Lubomirskich i nareszcie Sieniawskich, którzy przenieśli rezydencję swą z Końskowoli do bardziej malowniczych Puław. Gdy Karol XII przeprowadził się przez Wisłę z Góry Puławskiej, polecił spalić zamek Sieniawskich, którzy byli stronnikami Augusta II.

Ostatnia z Sieniawskich, odbudowała zburzony gmach, a wyszedłszy I-mo voto za Denhoffa, po jego śmierci oddała rękę ks. Augustowi Czartoryskiemu, wojewodzie ruskiemu. Olbrzymia fortuna Sieniawskich potężnie wzmogła stanowisko Czartoryskich, którzy nie dorównywali potęgą innym królewietom Rzeczypospolitej. Właściwie byli oni forsowani na widownię przez Sasów, którzy chcieli przeciwstawić zależne od siebie stronnictwo magnackie wzrastającej potędze Potockich. Bogate to wiano Sieniawskiej rozbudziło drżące marzenia dynastyczne książąt z Czartorji. Ruchliwe życie księcia wojewody, objazd olbrzymich, po całym kraju rozrzuconych dóbr, nie pozwoliły na rozwinięcie szczególniejszego starania o jedną rezydencję. Dopiero syn księcia wojewody, książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich z małżonką swą, tyle głośną w kraję księżną Izabellą Elżbietą z Flemmingów, wybrali Puławy na główną swą rezydencję i tu założyli ognisko, współzawodniczące z Warszawą w ruchu artystycznym, naukowym i dyplomatycznym. Potężne stronnictwo „Familji“ miało odegrać rzeczywiście niebywałą rolę w dziejach kraju. Jakkolwiek na dnie działań Familji kryły się zawsze osobiste owe dynastyczne widoki, a minister saski hr. Wackerbarth po śmierci Augusta II donosił trafnie swemu panu: „Czartoryscy służą odrazu trzem państwom: Francji, Saksonji i sobie“, jednak czuli oni ko-

nieczność uregulowania stosunków wewnętrznych państwa, aby dać mu siłę i potęgę na zewnątrz. Na sejmie konwokacyjnym w 1764 roku przeprowadziła Familja zniesienie liberum veto i inne dobroczynne reformy, na tronie zaś osadziła krewnego swego Stanisława Augusta Poniatowskiego, syna ks. Konstancji z domu Czartoryskiej, kobiety męskiego hartu, zwanej przez szlachtę „gradową chmurą“.

Dwór ks. generała ziem podolskich w Puławach urządzony był na zupełnie monarchiczną stopę. Ks. Zofja z Czartoryskich Zamoyska, najmłodsza córka księcia generała, w pamiętniku swym pisze o Puławach: „Dom nasz był przepełniony przyjaciółmi, rezydentami, oficjalistami, dworzanami i wszelkiego rodzaju metrami. Było mnóstwo młodzieży szlacheckiej, którą rodzice powierzali memu ojcu dla dokończenia edukacji w jego domu i aby na jego dworze szukali losu, mnóstwo panien do towarzystwa, wielka orkiestra, trzech czy czterech lekarzy, tłum sług, oraz tłum różnych nieszczęśliwych, chorych, zrujnowanych, dla których dom mego ojca służył za schronienie. Codziennie zastawiano pięć do sześciu stołów, każdy na 40 do 50 nakryć“.

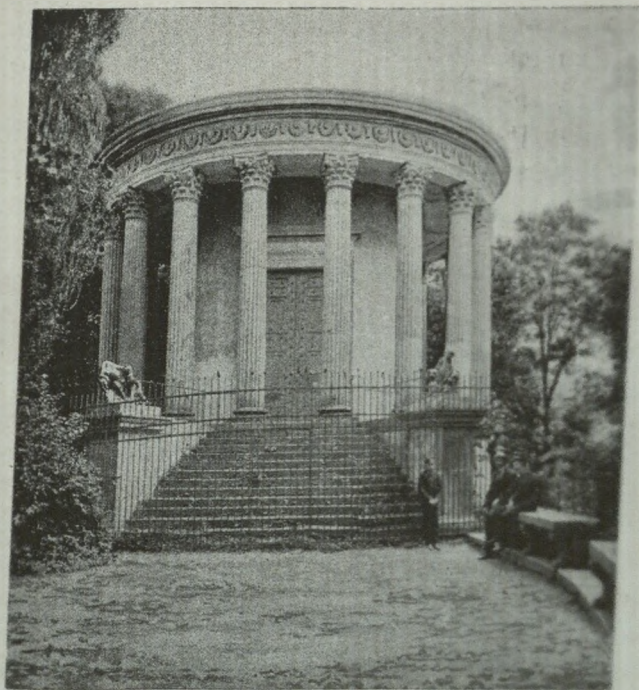
Wspaniały pałac, powiększony znacznie z dawnego zamku Sieniawskich, przepyszny park, rozrzucony na wzgórzu nad Wisłą, mnogie oficyny dla ciągle tu przebywających gości, oranżerie, figarnie, liczne budynki gospodarskie, kuchnie,

stajnie, wozownie, obszerna w pałacu biblioteka, liczne zbiory dzieł sztuki, zabytków historycznych, zamorskich osobliwości, wszystko to stanowiło ponętę życia w Puławach. Ks. Izabella, obdarzona prawdziwie artystycznym smakiem, po zniszczeniu przez wojnę ulubionej rezydencji pod Warszawą — Powązek, gromadziła w Puławach, co tylko udało się jej dostać ciekawego. Osobisty skład dworu był liczny i dobrany. Nawet może przewyższał pod niektórymi względami dwór warszawski. Do dworu ks. generała należą poeci Książnin, Karpiński, Woronicz, komedjopisarz Zabłocki, filolog Groddeck, zasłużony członek komisji edukacyjnej Piramowicz; biblioteką zarządza Łukasz Gołębiowski, później Karol Sienkiewicz. Niemcewicz tu pisze pamiętniki, śpiewy historyczne, kreśli plan Jana z Tęczyna.

Według przykładu starych rodów z XVI-go stulecia oboje księstwo garną do siebie młodzież, która uczy się razem z dziećmi państwa; są tam w owej szkole i Radziwiłł, i Sapieha, i Sieheń, i liczna gromada szlacheckich synów. Księżna utrzymuje pensjonat dla panien. Zakładem kieruje pani Bernatowiczowa, matka autora *Pojaty*. W pensjonacie pobiera nauki Klementyna Tańska.

Ks. Izabella w r. 1800 wzniosła w parku Puławskim świątynię pamięci, gdzie skrzętnie gromadziła mnogie pamiątki historyczne. Była to owa głośna Świątynia Sybilli.

Plan na budynek ten, według wzoru świątyni w Tivoli, nadał nadworny budowniczy Piotr Aigner. W świątyni Sybilli pomieszcza księżna



Świątynia Sybilli.

generalowa wszystkie pamiątki, jakie zdołała zebrać w kraju, a czego tam nie było!

Skrzętnie zebrane tu pamiątki, stanowiły rzeczywiście pierwszy zbiór archeologiczny pol-

ski. Świątynia była podzielona na dwa piętra. Na górnem piętrze, w okrągłej sali, oświetlonej z góry jedną taflą wypukłą, darem Cesarza Aleksandra I, przechowywały się miecze i tarcze, pastorały i laski marszałkowskie, buławy i buzdygany, buńczuki i sztandary, pamiątki po ks. Witoldzie, Jagiellu, po Koperniku, Kochanowskim, po Żółkiewskim, Wiśniowieckim, Kordeckim. Na dole stał pomnik ku pamięci ks. Józefa Poniatowskiego.

Licznie napływające pamiątki już nie mogły pomieścić się w świątyni. Nieopodal więc wzniesiono t. zw. „Domek gotycki“. Nad wejściem doń wisiała tablica z horacjuszowskim wierszem:

Sunt lacrimae rerum et mentem mortalia tangunt.

Cale ściany domku pokryto odłamkami ze starych budowli i pomników. Były tu kamienie z zamku w Łobzowie, i tablica bronzowa z grobu królewicza Karola-Ferdynanda, i słupki z grobowca Kazimierza Wielkiego, i głowice kolumn z sal Wawelu i futryny okienne z domu Wierzyńska, i cegły z komnat Barbary Radziwiłłówny i wiele, wiele innych pamiątek. Tylnią ścianę zajmowały pamiątki obce. W salach gotyckiego domku mieściła się bogata galerja obrazów i portretów. Herby wybitnych rodzin polskich zdobiły ściany i pułapy. Zbrojownia mieściła w sobie ciekawe okazy, epoki krucjat sięgające. Pamiątki te tak były wielostronne, że zdumiewają wprost i co prawda, wzbudzają po-

wątpiewanie o swej autentyczności, ale słusznie powiedział historyk Puław: „Wartość naukowo-ar-



Domek gotycki.

tystycznych zbiorów mierzy się zwykle praktycznymi ich rezultatami, o ile oddziaływały na stopień cywilizacyjny społeczeństwa.“ A oddziaływanie to było bardzo znaczne, nawiązywało bowiem z ka-

dej pamiątki nie z osobą pamiętną, a każda z nich to cegielka w gmachu ogólnoludzkiej kultury. Wpływ ten Puławy wywierały i przez ruch literacki. Wspomniani już pisarze i poeci pracami swemi budzili uśpione duchy szlachty XVIII stulecia, teatr dworski dawał *Matkę Spartanę* lub tendencyjne komedje samego księcia generała, a i księżna sama często brała za pióro, owocem zaś tej pracy był tyle popularny u nas „*Pielgrzym z Dobromila*.” Mój Boże! z jakim to zapalem pochłaniałismy to pierwsze dzieło popularnej historii kraju!

W ślady matki szła i jej córka, ks. Marja Wirtemberska, która przez swą powieść p. t. „*Malwina*”, torowała drogę powieści polskiej.

Czartoryscy należeli do tej grupy magnatów, która żywo interesowała się dołą ludu w swych dobrach. Książd Jezierski pisał raz: „gdybym się chłopem polskim miał urodzić, chciałbym być chłopem ks. Generała ziem podolskich.” — Troszczy się bowiem książę o dobrobyt swych włościan. Na wielkim sejmie żąda dla nich bytu i światła, sam pisze ustawy kas pożyczkowych dla włościan, dostarcza im łatwego kredytu. Księżna zakłada szkoły, nic też dziwnego, że ludność dóbr Puławskich była zamożniejszą i więcej oświeconą od swych współbraci z innych okolic kraju.

Puławy były kilkakrotnie odwiedzane przez znakomitych gości: był tu parę razy cesarz Aleksander I, który bawił tu w r. 1804 trzy tygodnie

wśród balów i zabaw towarzyskich. Były to czasy wielkiej przyjaźni cesarza z synem księcia generała, młodym Adamem Czartoryskim. Na ządanie Cesarzowej Katarzyny, młodzi Czartoryscy, synowie ks. generała, przewiezieni zostali do Petersburga. Tam młody książę zbliżył się do wnuka Katarzyny, rówieśnika swego, W. Ks. Aleksandra Pawłowicza. Gdy po śmierci ojca Cesarz Aleksander objął tron, Czartoryski otrzymał trudne w owe czasy do prowadzenia ministerjum spraw zagranicznych. Prócz tego, został on mianowany kuratorem szkół okręgu Wileńskiego. Złożyli też wizytę w Puławach królestwo Sascy, a co tylko było w kraju wybitniejszych osób, tak swoich, jako też i cudzoziemców, wszystko to przesunęło się przez lipowe aleje rezydencji książęcej.

Po roku 1830 zbiory Sybilli i Gotyckiego domku wywiezione zostały za granicę i dały początek tyle dziś słynnemu i bogatemu Muzeum X. X. Czartoryskich w Krakowie. Dobra puławskie zostały rozprzedane, część wypuszczone w dzierżawę. Pałac i park zostawione bez opieki niszczały i chyliły się ku upadkowi. Dopiero w roku 1844 przeniesiono tu z Warszawy szkołę guwernantek, przekształconą na instytut panien t. zw. Instytut Maryjski. Pierwszymi kierownikami tej instytucji byli: Dominik Bartoszewicz, Teodozy Sierociński, Kazimierz Kaszewski. W roku 1862 Instytut Maryjski przeniesiono do

Warszawy na ul. Wiejską, do gmachu po dawnym instytucie szlacheckim, w Puławach zaś, zwanych odtąd Nowo-Aleksandrją, otworzono staraniem Margrabiego Wielopolskiego szkołę politechniczną, z oddziałem rolniczo-leśnym.

500 uczniów rozpoczęło nauki w nowej szkole. Bogate zbiory i przyrządy naukowe, przeniesione tu z dawnego instytutu szlacheckiego i szkoły farmaceutycznej z Warszawy, stanowiły znakomitą pomoc przy wykładach. Szkoła ta trwała bardzo krótko, a w roku 1869 otworzono w N.-Aleksandrji do dziś istniejący:

Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa.

Instytut według ustawy nadawczej posiadał kurs 3-letni, przyjmowano doń kandydatów z patentami o ukończeniu średniego zakładu naukowego rządowego. Wpis oznaczono po 50 rubli rocznie, 10% studentów uwalniano od wpisu. Budżet nowego zakładu naukowego oznaczono na 46,770 r.

W roku 1893 nastąpiła reorganizacja zakładu.

Lata studjów przedłużono do 4, pozostawiając ceny wpisu i procent uwalnianych bez zmiany. Budżet podniesiono do 132,970 rubli. W ciągu ostatnich lat liczba studentów waha się między 260—270.

Od założenia instytutu do obecnej pory ukończyło zakład 922 ludzi.

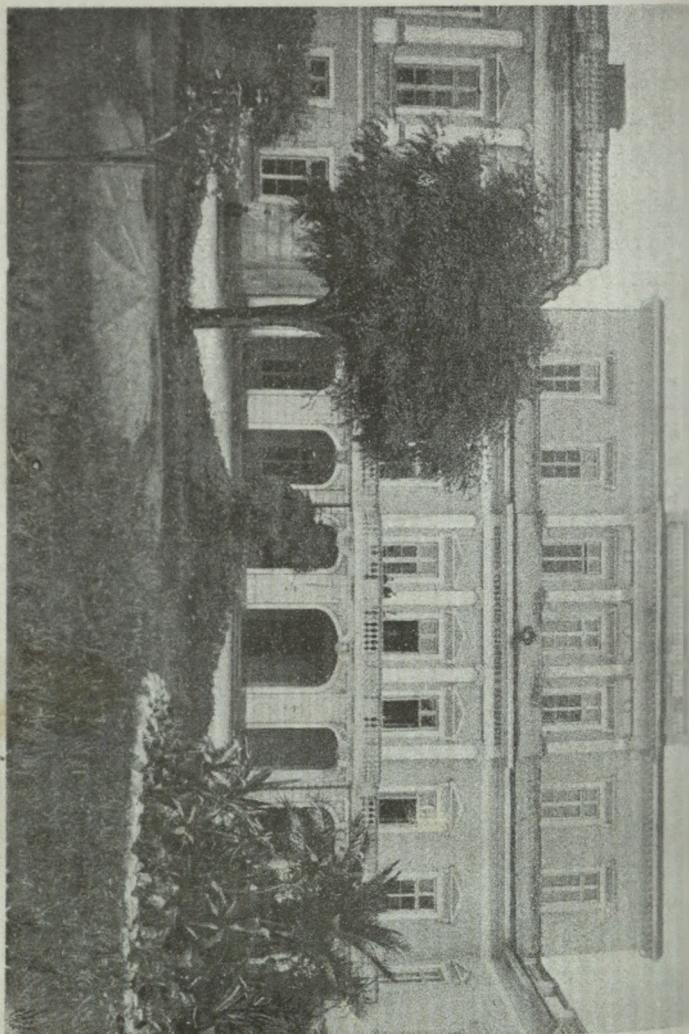
Cały ten zakład naukowy mieści się w gmachach, pozostałych po Czartoryskich.

W głównym korpusie pałacu mieści się gabinet zoologiczny i sala sesjonalna, oraz liczne gabinety, laboratorja, biblioteka, kancelarje i t. p.

Biblioteka posiada 17,689 dzieł w 42,755 tomach, budżet roczny biblioteki wynosi 5900 rubli. Czytelnia otrzymuje 320 pism i wydawnictw periodycznych. Gabinety: fizyczny, botaniczny, zoologiczny, mineralogiczny, gleboznawczy, mechaniczny, budowlany, rolniczy, zootechniczny, leśny, weterynaryjny i laboratorja: chemiczne, fizjologiczne-zoofizjologiczne, gleboznawcze, techniczne, rolnicze i wiele innych, stanowią pomoc naukową. Prócz wykładów teoretycznych, w zakres studjów wchodzi i zajęcia praktyczne, które prowadzone są na fermie doświadczalnej i w majątku Końskowola.

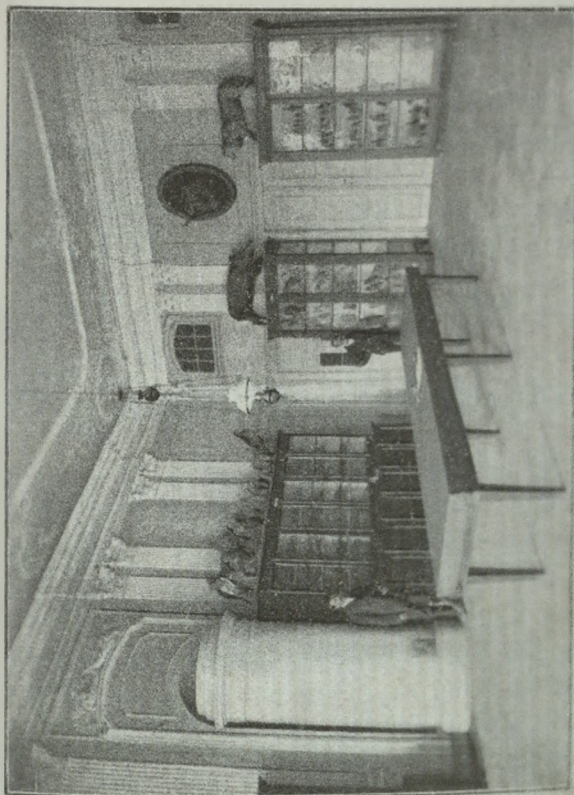
Po ukończeniu instytutu studenci obowiązani są odbyć studja praktyczne w majątkach prywatnych, poczem otrzymują patent agronoma lub leśnika.

Cicho upływa życie studentów, lokujących się przeważnie w domkach na kolonji Mokradki. Czasem odbywają się odczyty profesorów instytutu, lub wieczory muzyczne na korzyść niemożnych studentów. Tą drogą w latach od 1895—1899, otrzymano 5274 ruble dochodu.



Dawny pałac, a obecnie Instytut agronomiczny.

Dawniej bardzo wiele osób przybywało do N.-Aleksandrji na letnie mieszkania, urządzano



Wnętrze gabinetu zoologicznego.

wspólne majówki i wycieczki, lecz od czasu wybudowania tu ogromnych koszar na 10,000 wojska, ceny produktów spożywczych wzrosły znacznie, a letników ubyło.

Obszerny park stanowi ulubione miejsce spacerowe; parę drzew wiekowych, jak np. olbrzymi kasztan, (5 metrów obwodu), przy domku chińskim ścięto. Dziś jeszcze jednak godne widzenia są niektóre olbrzymy parku, jak np. lipa przy świątyni Sybilli, mało chyba mniejsza od lipy „przed Hołowińskich domem, co pod jej cieniami sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami;“ lub dąb potężny o 6-cio metrowym obwodzie.

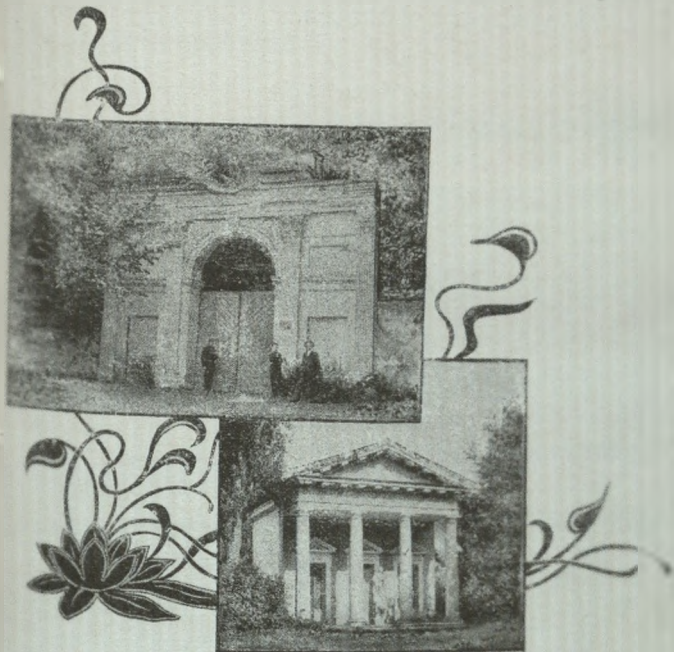
Długa aleja lipowa o osobliwie giętych konarach, prowadzi do mostku nad t. zw. „Dolną drogą“. Po drugiej stronie drogi wdzięczy się pseudo klasyczna oranżeria.

Za nią ciągną się sady owocowe i ogrody warzywne. Kręta, tarasami schodząca ku dołowi ścieżka, prowadzi od świątyni Sybilli ku łasce, za którą leżąca kępa była polem do sielankowych zabaw dworu puławskiego.

W samym mieście nic godniejszego uwagi nie ma. Stojący na wzgórzu kościół z napisem: „W niebo wzięty Boga Rodzicy“, jest dawnym kościołem pałacowym. Stanowi on wikariat parafji we Włostowicach, a wewnętrzne jego urządzenie pochodzi z czasów Czartoryskich.

Budowany jest on w r. 1803 na wzór Panteonu. Napis pod portykiem głosi: „Pomny na wiarę i cnoty kochanej matki swojej Maryi z Sieniawskich Xsieżny Czartoryski W. R. Adam Kazimierz poświęca“.

Blisko 300 osób mieszcząca galerja wznosi się nade drzwiami wejściowemi; wewnętrzne urządzenia przeniesione są z kaplicy pałacowej. Za

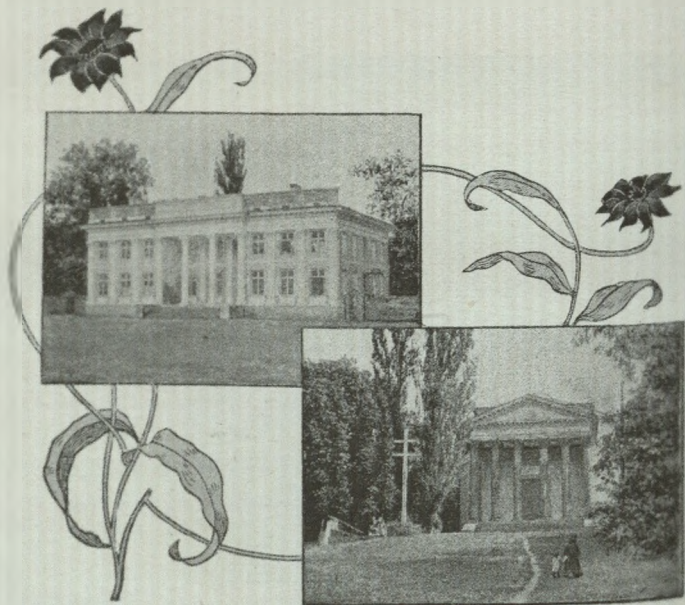


Brama parkowa i oranżeria.

ołtarzem w bogatej puszcze przechowywało się to niegdyś serce ks. Adama Czartoryskiego.

Mundury studentów instytutu, lub mundury konsystującego tu wojska, oto najczęściej spotykana tu szata. Drobną garstką ludności miejscowej nie mogła wytworzyć objawów zbiorowe-

go życia. Nie ma tu nietylko już klubów, lub stowarzyszeń sportowych, lecz nawet tyle niezbędnego w każdym miasteczku zreszenia, jakim jest straż ogniowa ochotnicza.



Pałac „Marynki” i kościół.

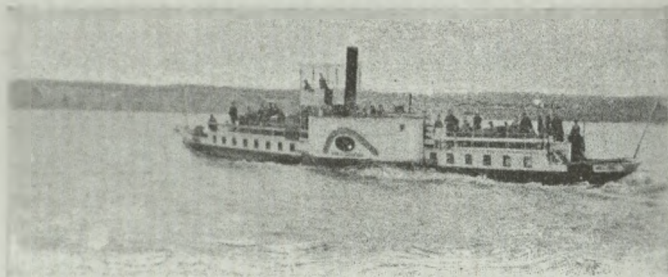
Tuż za parkiem, przy drodze do Włostowic po lewej ręce widać wdzięczny pałacyk o klasycznym perestylu. To pałac zwany Marynki. Było to bowiem mieszkanie ks. Marji Wirtemberskiej. Znajdowała się tam piękna sala z arty-

stycznym plafonem, lecz dzisiaj wewnątrz pałacyka jest przerobione.

Przez długą kolonję Mokradki, ulubioną rezydencję studentów, ciągnie się droga Nowo-Aleksandrja—Kazimierz.



Na drodze!



Droga Nowo-Aleksandrja — Kazimierz.

Do Kazimierza prowadzą dwie drogi, obie pełne uroku. Jedna z nich, to statkiem parowym po Wisle, trwa ona bezmała 2 godz. płaci się I kl. 30 k. II kl. 20 k. Statek wychodzi około 6 rano.

Druga zaś 13 wiorst szosą; za konie płaci się od r. 1 k. 20—rb. 1 k. 50 do rb. 2.

Droga statkiem, jakkolwiek bardzo interesująca i tańsza, ponieważ jednak krępuje turystę godziną, jest mniej dogodną; można zatem za bardziej poręczną uważać drogę koniami.

Jest to bezwątpienia najpiękniejszy kawałek szosy w całym kraju.

Droga ta idzie przez głęboki parów pod mostem łączącym park z ogrodem owocowym i warzywnym. Za parkiem po prawej ręce mijamy znany już nam pałac „Marynki“ i wśród

przepysznej alei lipowej wiedzie nas droga przez długą kolonję Mokradki, gdzie schludne domki wśród ogródków radują oko swym miłym spokojem. Kilka większych willi wznosi wyżej dość gustowne swe dachy, a nad wszystkim panują owe stare rozłożyste lipy; nawet w największy upał panuje tu miły cień i łagodny półmrok zielonawego światła.

Kolonja Mokradki łączy się prawie bezpośrednio z dużą wsią Włostowice.

Wiadomości, dotyczące tej wsi, łaskawie raczyli mi nadesłać dzisiejszy Dziekan ks. Dębiński, autor wielu prac z zakresu historii naszych kościołów.

Włostowice, założone przez jakiegoś Włostę, czy Włastę, są bardzo starą i dużą wsią, bo figurują już w Liber beneficiorum Długosza, jako placzące znaczną dziesięcinę. Wieś ta należała do obszernego klucza Końskowolskiego i wraz z nim przechodziła drogą wiana do Tęczynskich, Lubomirskich i na koniec Czartoryskich.

Włostowice zdawna miały kaplicę drewnianą, w której odprawiał nabożeństwo w niedziele i święta wikary, przybywający z za Wisły z Jaroszy, a dopiero w XVII wieku oddzielono tę wieś od parafji Jaroszyńskiej, i w r. 1723 zbudowano tu kościół parafjalny.

Kościół jest niewielki, budowany w stylu odrodzenia, a przyozdobienie swoje zawdzięcza głównie Czartoryskim, którzy o swej parafji mieli troskliwe staranie. Zwłaszcza obrazy tutaj są

przepiękne i z chlubą mogłyby zdobić najwspanialszą świątynię stołeczną. W wielkim ołtarzu Św. Rodzina, a w bocznych św. Barbara i św. Teresa, są dziełem Kazimierza Wojniakowskiego.



Kościół we Włostowicach.

go, ucznia Bacciarellego. Według podania, twarze tych dwu świętych portretowane są z kobiet rodziny Czartoryskich, co zwłaszcza uderza w postaci św. Barbary, która i twarzą, i uczesaniem, i wdziękiem udrapowanych szat wybornie reprezentuje wykwintną damę z końca XVIII wieku.

Prócz tych zwracają tu uwagę dwa prześliczne obrazy sepiowe, które malowała ukochana

krewna i wychowanica ks. Izabelli; Zofja z Matysiewiczów hr. Kicka. Mają one prawdziwie artystyczną wartość i są dowodem wielkiego talentu młodej malarki. Jej ręką też malowany jest obrazek na skarbonie do ofiar, wiszącej w kruście

z napisem:
„Ialmużna o-
śmierzagnień
Boży”. Skar-
bona ta wisi
tuż obok bar-
dzo oryginal-
nej kropielni-



cy w stylu cesarstwa.

Figurki apostołów, zdobiące ściany kościoła, pochodzą z kaplicy instytutowej, a w zakrystji przechowuje się piękny ornat gobelinowy.

Osobliwością jest też tu duży kawał kła mamuta.

Skarbona i kropielnica w kościele Włostowickim.

Cały kościół w r. 1900 za staraniem proboszcza gruntownie został odnowiony i odmalowany przez Towarzystwo Artystyczne Warszawskie, a obraz św. Rodziny troskliwie odświeżył art. mal. Br. Wiszniewski z Warszawy.

Dawni mieszkańcy Włostowic zajmowali się dużo flisostwem i nawet mieli swój cech, zado-

żony w 1653 roku; dziś żaden z nich nie płynie „z tratwą po szumiącej fali,” a sama 2000 ludność wsi przedstawia dużą oryginalność, gdyż dzieli się na dwie dość wyraźnie odmienne grupy. Ku Kazimierzowi mieszkają stare chłopskie rodziny, jak Capała, Jerzyna, Raczek, Przepiórka, i trudnią się rolnictwem; ku Mokradkom zaś osiedli potomkowie dworzan książęcych, o cudzoziemskim brzmieniu nazwisk, jak Spooz, Cech, Masny, Bartuzi, i ta połowa wsi nie ma gruntów ukazywanych, lecz tylko domki i ogrody, uprawiane przez kobiety, — mężczyźni bowiem trudnią się mularstwem, stolarstwem, ciesielstwem, sztukatorstwem i spędzają lato na robotach.

Lud tu nie należy do bardzo pracowitych, goni za lekkim a dużym zyskiem, do czego ma łatwość dzięki „letnikom” i studentom, gęsto tu mieszkającym; stare stroje ludowe zarzucone zupełnie, — czasem tylko starszy wieśniak zjawi się w sukmanie i „wścielkicy”.

Pomimo istnienia szkoły ludowej, fundowanej jeszcze przez ks. Izabellę, we wsi przeszło 40% jest analfabetów, a w wielu rodzinach z licznych cnót staropolskich została jedna: „choć bieda, ale hoc! jutro jakoś to będzie”; hulają sobie tedy za zebrane na robocie, lub otrzymane za lokale pieniądze. Starych zwyczajów nie przechowują, a nawet wesela odprawiają na sposób miejski.

Mimo tych wad mieszkańców, schludne tutaj domki i duże, łatwo na żywej madzie po-

wisła wyhodowane ogrody, czynią na przejeździe bardzo miłe wrażenie, a jeżeli droga wypada podczas upalnego dnia to wybornie ugasi mu pragnienie źródło kryształowej wody, bijące przed kościołem po prawej stronie drogi.

Za Włostowicami wjeżdżamy w aleję potężnie wielkich topoli nadwiślańskich, które tu na wybornym gruncie i zabezpieczone przez wzgórze od zimnych wiatrów rozrosły się do prawdziwie zdumiewających rozmiarów. Niektóre z nich dochodzą do 8 metrów obwodu, a w górze rozgałęziają się potężnie. Ta-



Kieł Mamuta w Kościele Włostowickim.

kich kolosów nie spotkałem dotąd nigdzie w kraju.

Ta część drogi jest najpiękniejszą: po lewej stronie zamykają widnokrąg wyniosłe wzgórza, pokryte gęstwiną krzewów i drzew,—przed nami ginie w najpiękniejszej perspektywie długa aleja topoli, po prawej ręce obszerne łąki i ogrody warzywne sięgają aż do Wisły, która siwą pręgą obejmuje cały ten obraz.

Daleko na silnym stoku wzgórza sterczy samotna baszta Kazimierska, a za Wisłą sinieją wysokie wzgórza lewego brzegu.

Droga przecina wieś Parchatkę, gdzie ukazują się już owe charakterystyczne sady Kazimierskie, rodzące słynne węgierki.

Za Parchatką droga przybliży się do wzgórz po lewej ręce; nęci tam oko tajemnicza zieleni popłatananej gęstwinie, a całe płaty wzgórz zaściela kolczasty berberys (*berberis vulgaris*), który pod jesień swemi czerwonymi jagodami rdzawo plami zieleni wzgórz.

Na 9 wiorście pasmo wzgórz rozrywa nagle obszerna dolina rzeki Bochoćnicy, która w malowniczych skrętach płynie ku Wiśle i wpada do niej, tworząc dużą deltę. Na wzgórzach duży odłam murów wskazuje, gdzie stał zameczek Bochoćnicki, a otaczający go las sosen i brzozy tworzy dlań nadzwyczaj piękne tło.

Tuż za Bochoćnicą zaczynają się po obu stronach drogi słynne sady Kazimierskie, kędy

granatowe węgierki i różowe jabłka zdobią gałęzie drzew.

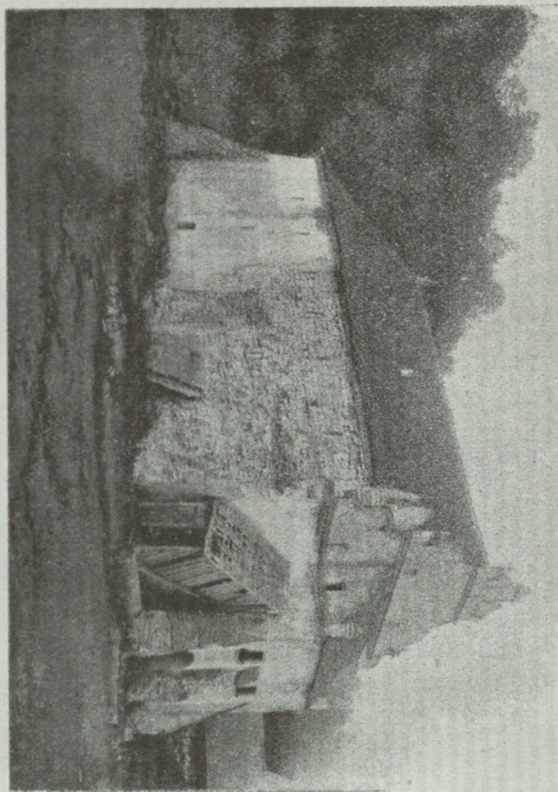
Nareszcie ukazują się owe tyle opisywane śpichrze. To już Gdańskie przedmieście Kazimierza. Wiele z tych śpichrów padło już w gruz, inne przerobiono na magazyny i fabryki,—parę tylko pozostało w swej pięknej szacie Kazimierzowskich budowli i te dźwigają swe zębate szczyty, swe kręte esownice, pustemi oknami patrząc na Wisłę, kędy spłynęła ich chwała i zażyłość.

Oparte plecami o wysokie wzgórze, otoczone bujną roślinnością powikłanych krzewów, czynią rzeczywiście fantastyczne wrażenie; nie też dziwnego, że żywa wyobraźnia ludowa wiąże z niemi legendy i podania, jakie tylko do starych zamczysk lub podziemnych lochów bywają przywiązywane.

Przewoźnik Abram Tancerman, który przewozi gości do Janowca, opowiada takie zdarzenie:

W jednym ze śpichrów p. Kleniewski (właściciel Opola) miał skład cukru ze swojej cukrowni. Składu tego pilnował stróż, ogromny i mocny mężczyzna. Póki było ciepło, stróż sypiał na dworze tuż przy śpichrze, gdy jednak nastały chłody, położył się w samym śpichrze. W nocy zbudził go ruch w składzie: cukier ustawiano na półkach, windowano do góry, układano w pakiki, — bieganiiny i krzątaniiny było tak dużo, że stróż bał się odezwać lub ruszyć.

Rano z wielkim niepokojem zajął stróż do wnętrza składu i zastał wszystko na miejscu



Śpiężnik pod Kazimierzem.

nietknięte, żadnych też oznak czyjegoś pobytu nie było. Na drugą noc stróż położył się w śpiężniku tuż przy drzwiach i zaledwie zdrzemnął

się trochę, gdy usłyszał ciężkie kroki jakiegoś mężczyzny, a pochwili uczuł, jak przybyły chwycił go silnie za kołnierz i krzyknął: „co tu masz do roboty?“ Struchlały stróż odparł, że pilnuje cukru, a jednocześnie chciał schwycić rękę trzymającego. Pomimo jednak wielkich usiłowań ani ręki tej chwycić nie mógł, ani też uwolnić kołnierza, wciąż silnie trzymanego.

Tajemniczy незнаjomy, potrząsając silnie stróżem, krzyknął: „wynoś się stąd natychmiast, jeżeli chcesz żywym wyjść, ty tu nie masz nic do roboty, tu do nas wszystko należy.“ Stróż ledwo żywy zwał się z posłania i wyszedł na dwór, a w śpiężniku zaczęła się znów gospodarka duchów.

Stróż nie chciał za nic dłużej pozostać i podziękował za służbę. Teraz nie słyhać, żeby coś przeszkadzało.

Na wstępie do miasta wita turystę bogata facjata kościoła farnego, wózek stacza się ze wzgórza na rynek, a widz ma przed sobą żywą kartę, wydartą z życia XVII-go wieku i rzuconą nad brzegi Wisły. To jest więc ów tyle opisywany i licznie zwiedzany Kazimierz.

KAZIMIERZ.

Osada powiatu nowo-aleksandryjskiego, gub. lubelskiej, 3000 mieszkańców, w tem 89% żydów. Odległość od Nowo-Aleksandrji w. 13, od Lublina 36, od Warszawy 132. Urząd gminny, szkoła elementarna, przystań statków parowych.

Przemysł. Garbarnie (30,000 r. produk.) browar (22,000 r. produk.) prócz tego mieszkańcy wyrabiają dużo obręczy około 2½ miliona szt. za sumę 20,000 — 25,000 rubli.

Przybywszy do miasta, należy znaleźć sobie w niem jakiś punkt oparcia dla złożenia rzeczy, chwilowego wypoczynku i posilenia się. Jedynym takim punktem jest Gospoda Chrześcijańska p. Berensa, tuż obok kościoła po lewej ręce od wjazdu. Nocleg kosztuje tu 50 kop. od osoby, obiad 30 kop. Zaraz tu zajrzy i przewodnik Berek, który wygląda gości i zabiera ich na wędrowkę po mieście.

Nim jednakże pójdziemy oglądać poszczególne pamiątki starego grodu, przypomnieć nie zawadzi, jak się przedstawia jego.

Historja. Zawiązkiem tego dziś zubożalego miasteczka miała być osada zwana Wietrznia Góra, należąca do wsi Skowieszyn. Już w 1008 r. nadał ją Chrobry Benedyktynom z Łysej Góry, później zaś drogą zamiany przeszła ona do Norbertanek na Zwierzyńcu. Kazimierz Wielki, upatrując w wiosce tej wyborny punkt na port handlowy, odkupił od zakonnic wioskę, zamienił ją na miasto i od swego imienia nazwał Kazimierzem; dla odróżnienia zaś od Krakowskiego, dodano mu przydomek „dolny“. — Wielki król chłopków, co jak pisze Bielski „i sam był dobry budownik i rad to widział, gdy kto co zbudował“, wznosił nad miastem na szczycie wzgórza zamczysko obronne, a dalej pojedynczą strażnicę wysoką, co i za latarnię dla płynących po Wiśle statków pono służyć miała.

Mądre były plany króla budownika. Chciał on do jednego punktu ściągnąć plody swej żyznej ziemi, by stąd naturalnym jej gościńcem — Wisłą, spławić je aż na siwe fale Bałtyku. Szła więc do nowego portu złota pszenica sandomierska, szły zboża całej Małopolski, a i od Rusi bogatej ciągnęły tabory, wschodnim towarem ładowne.

Umiał wielki budownik artystycznie połączyć piękność położenia z ważnością handlową, a ukończone jego dzieło rozwijało się pomysłnie. Miasto rosło w dostatki, rozłożyło się bogato na parowiorstowej przestrzeni i jak duże ręce wyciągnęło nad Wisłą dwa długie przedmieścia: Krakowskie

w górę, a Gdańskie w dół rzeki. Na przedmieściach pobudowano owe do dziś zdumiewające wielkością i smakiem słynne śpichlerze, gdzie skrzętna czeladź zsypywała złote strumienie pełnego ziarna, a po rynku i najwspanialszych uli-



Przed gospodą.

cach Zamkowej i Senatorskiej, przechadzali się bogaci mieszczaństwo, radząc o sprawach handlowych.

Różne języki brzmiały między murami tego „małego Gdańska”: holendrzy, Niemcy, Anglicy, mają tu swoje faktorie, wre życie całą pełnią

a gdy jakie niesnaski między mieszkańcami są, nie starosta, ani kasztelan, lecz sam król sprawiedliwość wymierza.—Wziąwszy po Piastach koronę, prowadzili Jagiellonowie dalej niektóre plany ostatniego potomka odwiecznej dynastji. Sam Jagiello, jego synowie, wnuki i prawnuk, ponawiają przywileje mieszczańskie Kazimierskich, a miasto rozwija się i dochodzi do najpełniejszego rozkwitu za dwóch pierwszych Wazów.

Zabójcze wojny szwedzkie i upadek materialny kraju podkopały pomyślność miasta. Zniszczone podwakroć przez nieprzyjaciela, dotknięte morową zarazą, upada ono coraz więcej. Przywilej Sobieskiego, pozwalający osiedlać się tu grekom, ormianom i żydom, wprowadził trochę zamożniejszych żywiół, lecz odtąd ludność żydowska wypycha stale chrześcijańską i stają się oni zupełni panami miasta. Wszystko sprysnęło się na zgubę Kazimierzowej myśli: nawet Wisła oddala się od miasta, szeroką ławą piaszczystą oddziela się odeń, a statek nie pod pływa już po ładunek ku opuszczonym śpichrzom.

Sejm czteroletni wstawia do budżetu sumę na reparację portu. Po uciszeniu się zawieruchy krajowej jeszcze parę promieni jasnych błysnęło nad miastem; jeszcze napęłniły się śpichlerze, jeszcze ładunek na grzbiet kapryśnej rzeki zepchnięto, lecz były to blade błyski zachodzącej zorzy. Nowe nastały warunki ekonomiczne. Zbudowano

drogę żelazną niedaleko, i ta zabrała staremu grodowi resztę jego klienteli.

Sowy zajęły śpichrze, od portu odbijają tylko galary z owocami, zamek już w ruinie zupełnej, stare domy patrycjatu miejskiego dążą do niej, rody mieszczańskie wyginęły, a miasteczkiem zawładnął biedny, nędzny proletarjat żydowski, który wlecze z dnia na dzień swą marną vegetację, oczekując biernie lepszej doli, lecz obawia się nawet palcem kiwnąć, aby ją przywołać. Będzie, co Bóg da—oto wschodnio-filozoficzne hasło ludności Kazimierskiej.

A teraz energiczniejsza trochę jednostko swego narodu coś, pojęła, że trzeba tu gościa oprowadzić, aby coś na utrzymanie licznej rodziny zarobić; prowadź, panie Berku, turystę i pokaż, z czego Kazimierz chlubić się może.

Berek, jak cała uboga ludność miasta, wszystkie pamiątki i budowle odnosi do epoki „Króla Kaźmirza.“ Coby to był za król, kiedy, gdzie i nad kim panował, — nie można wiedzieć, — ale był to w każdym razie Wielki król, dobry król, no i był protektorem Esterki. Dwa te imiona, to alfa i omega tradycji miasteczka. Lecz idźmy za Berkem, który z gospody Berensa prowadzi nas najpierw do kościoła farnego i dyskretnie zatrzymuje się przy furtce, czekając na powrót gości z wnętrza tegoż.

Kościół parafjalny już przy wjeździe zwraca uwagę podróżnego swą wspinałą strukturą. Przy-

pisują tej budowie niezwykle starożytność; Berek twierdzi, że pochodzi „od króla Kaźmirza“, — tak jednakże nie jest, gdyż kościół w tej formie stoi



Kościół św. Anny i farny.

dopiero od roku 1610. Przypisują jego fundację możnej rodzinie Kazimierskiej Przybyłów, lecz słynny Mikołaj zmarł już w r. 1598, a nagrobek jego mieści się w kościele reformatów; mogli więc Przybyłowie przyczynić się do wzniesienia świątyni, lecz nie byli jedynymi jej fundatorami. Kościół stawiany jest w stylu późnego renesansu, zlokalizowanego na ziemiach polskich, a stawiał go, jak świadczy napis w kościele: *Jacobus Balin italius murarius Lublinensis faciebat A. D. 1613.*

Wewnątrz świątynia ta przedstawia się nadzwyczaj wspaniale. Wysokie sklepienia, zdobne w bogate gzymsy, żebra i ozdobne gipsatury, wznoszą śmigle ku niebu swe stropy. Piękny wielki ołtarz z dobrze malowanym obrazem mieści się we wzniesionym o parę stopni prezbiterjum, kończą zaś nawę wspaniałe organy z roku 1627, jak świadczy umieszczona na nich data. W nawie głównej zasługuje na uwagę bardzo piękna drewniana kazalnica, tudzież świecznik, ozdobiony głową jelenia.

Bardzo ładne są boczne kaplice, zwłaszcza pierwsza kaplica po lewej stronie kościoła. Wchodzi się do niej przez pięknie rzeźbioną arkadę, a wewnątrz posiada ołtarz, ozdobiony starożytną rzeźbą. Podobno ołtarz ten i kamień o fundacji kościoła na pierwszym prawym filarze nawy, mają być przeniesione ze starego kościoła w Skowieszynie. Obie ściany kaplicy mieszczą historyczne

malowidła: po prawej stronie król Kazimierz trzyma do chrztu dziecię kmiotka, po lewej szlachta



Wnętrze kościoła farnego.

polska podczas podniesienia wydobywa szable ku obronie ewangelji.

Po prawej stronie mieści się kaplica Borkowskich, fundowana przez Elżbietę Borkowską w 1610 roku. Ławki tu stojące są tej samej roboty, co i ambona, i mają bardzo bogate desenie arabeskowe.

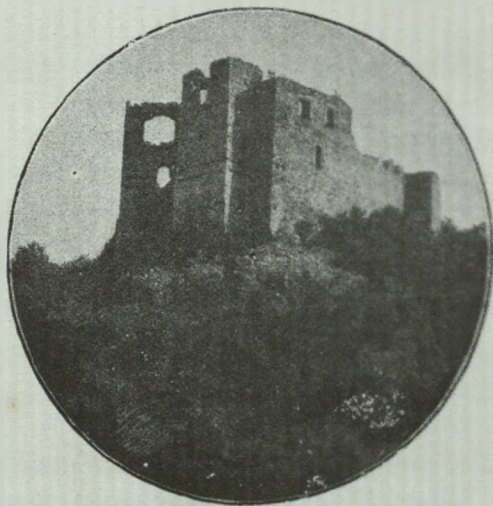
Parę nagrobków w kościele mieszczan i rajców Kazimierskich, oraz kamienna chrzcielnica, jako zabytki sztuki nie mają wielkiej wartości.

Po prawej stronie prezbiterjum leży książka do wpisywania nazwisk zwiedzających. Jest to bardzo dobra u nas nowość, gdyż po wpisaniu się do książki odchodzi już turyście ochota do uwieczniania swego nazwiska na ścianach, ołtarzach, murach, posagach, lub ławkach, co, niestety, jest u nas w powszechnym zwyczaju. Z tego też powodu książki do wpisywania nazwisk powinny być umieszczone wszędzie w liczniej zwiedzanych miejscach, a owe pisaniny, szpecące i niszczące pamiątki historyczne, zarówno opiekunowie nad niemi, jako też i sama publiczność, winni starannie usuwać i karcieć niewzględnych turystów.

Czekający u furtki Berek wita zapytaniem: „czy państwo tam widzieli, jak król Kaźmir krzci dziecko chłopskie?”—Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi, po stromej ścieżce koło cmentarza wspinać się trzeba do ruin, w jakie popadł piękny królewski zamek.

„Wielki budownik“ wzniósł go na szczycie wzgórza nad miastem. Jako materiał budowlany

posłużył wyborny trwały wapniak tutejszy, a białe jego kontury wybornie harmonizują z zielenią bujnej roślinności wzgórza.—Zamek nie był zbyt obszerny, mieścił tylko 4 izby na dole i tyleż na



Zamek.

górze. Jedna z izb mieściła kaplicę. Odnawiany parokrotnie dotrwał on do pierwszej wojny szwedzkiej, lecz w 1656 r. został przez Szwedów zburzony i począł zupełnie rozpadać się w gruzy. August II rozpoczął jego naprawę, chcąc mieć punkt oparcia przeciwko Szwedom, lecz wojska Karola XII znów go zdobyły. — Gorszymi jednak rabusiami od Szwedów, byli sami starostowie grodowi, do których utrzymanie i reparacja zamków

należała. Nie darmo pisał w swoim czasie Staszic: „Przejeżdżając przez kraj, widziałem w starostwie N. jeszcze przez Bolesławów stawianego zamczyska cztery kąty i baszty kawał piąty. W tem bez okien, bez drzwi, bez dachu, w niewygodnem sowy i kuny mieszkaniu, archiwum butwieje. W starostwie N. na bakier pochylony odwieczny lamus, szczurów i myszów stolica, obywatelskimi papiery swe żywi mieszkańce. W starostwie N. N. A. A. w karczmie obok starościńskiej wódki leżą pod ławą szlacheckich majątków wywody. Patrzyłem z żalem, jak brzydka żydowica manifesta J. W. podskarbiego N., że mu już kraść zabroniono, J. W. hetmanów, że odebrano im władzę czynienia gwałtów spółobywatelom, i manifesta księcia N. A. pod swoje szabasowe mace lepila“...

Ten zgrzyt ironji w słowach wielkiego obywatela dowodzi, jak rozpaczliwą była gospodarka starostów. Nic tedy dziwnego, że zamki u nas wogóle, a więc i Kazimierski, nie mogły dźwignąć się z ruiny.

Gdy strudzony drapaniem się na górę podróżny usiadzie w oknie zamkowem, przed oczyma widzi rozległą panoramę miasta: kościół farny, rynek, kościół Świętej Anny, klasztor Reformatów, ruiny śpichrzów tonące w zieleni sadów Krakowskiego-Przedmieścia, dalej szeroko rozlana Wisła, a dalej jeszcze wzgórze Janowca i bie-

lejący tam kościół — oto są szczegóły rozległego widoku miasta.

Widok to zaiste niezwykły, a pełen powabu. Gdybyśmy się też przenieśli myślą z górą o pół tysiąca lat,—gdy rynek wrzał życiem, gdy Wisłę pokrywały statki, czekające na ładunek lub dźwigające już złote zboże małopolskie, gdybyśmy na tło tego krajobrazu, zamkniętego w ramy odwiecznych puszczy, rozrzucili owe fantastyczne, barwne i ruchliwe postaci średniowiecznego mieszczaństwa, obraz ten byłby tysiącokrotnie piękniejszym. Toć nie jedną zapewne godzinę w oknie tem przedumał i przepatrzył wielki król, ten lubownik piękna i poloru.

Rzadko doprawdy trafia się, by w krótkich słowach tak wybornie scharakteryzować różnicę epok Łokietkowskiej i Kazimierzowskiej, jak to uczynił J. Kochanowski w szkicu „Kazimierz Wielki“.

„Żaden może z rozsianych po Europieabytków przeszłości i sztuki, nie ilustruje również jaskrawo przełomów dziejowych, jak dwa, prawie współczesne sobie, a najstarszytniejsze z grobowców, dochowanych pod sklepieniami katedry na Wawelu. Niegdyś stały te grobowce u wrót prezbyterjum królewskiej świątyni, próżki późniejsze usunęły je do naw bocznych, które od nawy głównej odgradzono ścianami, zastępującymi dawne filary. Przegrody te, wzniesione ręką dbalego o całość sklepień architekta,



Kazimierz Wielki.

nabierają dla dzisiejszego spostrzegacza jakby znaczenie symbolu: jeden bowiem z grobowców wspomnianych, to ostatnie schronisko króla Władysława Łokietka; drugi — syna jego, Kazimierza, któremu potomność miano Wielkiego przyznała. Jedno dzieli ich tylko pokolenie, jeden życia ludzkiego przeciąg, kilka zaledwie dziesięcioleci, które nie miałyby znaczenia wybitniejszego, gdyby nie wpływ potężny, preradzający i twórczy, jakie czyny w tym okresie czasu dokonane na dalszą wywarły przyszłość. Pomiędzy obu temi pokoleniami: pomiędzy wielkich zasług ojcem i wielkim synem, stanęła, poczęta przez geniusz ostatniego, tak silna i niezmierzona przegródą, że symbol architektoniczny stałoby tylko o niej dać może wyobrażenie.

Skromny grobowiec Łokietka, na którym Król-tulacz, o rysach polskiego chłopca, w chłopskiej jakby spoczywa sukmanie, której — skromnego charakteru zatrzeć nie potrafią oznaki monarszej godności, — to ostatni słup graniczny, rodzącej się z chaosu słowiańskiego Polski. Jest to symbol jej dziejów bajecznych, jej wewnętrznych rozterek, podziałów, wysiłków i bólów nowego z średniowieczny narodzenia.

Cudownem zaiste zrządzeniem, które, czem głębiej wnikać w dzieje, tem więcej podziwiać i czcić trzeba — nowa forma polityczna i budowniczy, który miał ją należycie wyzyskać, zjawiają się razem w momencie stanowczym.

A był to moment, w którym zagrożona wsząd w swym istnieniu, daleka od jednolitości, a nieświadoma jeszcze samej siebie, pomimo centralizacyjnych czasów Przemysława, Polska stała wobec problemu: być albo nie być?

Zbawca miał jej stworzyć byt i formę dla dalszego istnienia; miał osłabiony wewnętrznie kraj wzmocnić i wydrzeć na zawsze z rąk dominujących wówczas w Słowiańszczyźnie Czech, lub, co rychlej jeszcze, ocalić ziemie Piastowskie od szponów naturalnego ich wroga, świata germańskiego. Nadto, zaszczepienie pierwiastków cywilizowanego życia i zapoczątkowanie tych idei, które stworzyły w następstwie piętno politycznego i cywilizowanego indywidualizmu Polski — jednym słowem, pchnięcie jej na tory dalszego a istotnego rozwoju, — jest niewątpliwem i wiekopomnem dziełem geniuszu Kazimierza.

Grobowiec tego króla, świetny i bogaty, ozdobnością ornamentyki pieścący oko, jest nie tylko pięknem dziełem sztuki. Piękniejszy to jeszcze o wiele, symbol potężnego przełomu, jaki w dziejach monarchiji Piastowskiej stworzyło tych kilka dziesięcioleci, wypełnionych tchnieniem geniuszu zmarłego króla. Grobowiec ten, w którym uderza tak niezmierna nowość szczegółów. w porównaniu z sarkofagiem Łokietka, to symbol narodzin Polski prawdziwie historycznej, Polski cywilizującej się i cywilizowanej, Polski — jako części składowej europejskiej kultury.

Rzec bowiem można, że cały nieomal zrab tych idei historycznych, jakie w wewnętrznym i politycznym bycie późniejszej Rzplitej, występują, znajdujemy już w zarodku w wieku XIV, za rządów tego wielkiego króla. Świadczy to najwymowniej o ich żywotności i wielkiej potędze, a zarazem i o geniuszu ich twórcy i siewcy.

Ten mąż wspaniałej urody i postawy, o włosach i brodzie misternie trefionej, na której osiadły — zda się — szczątki zachodnich balsamów; ten król w majestacie, o oku i czole rozumem i poważnem; odziany w szatę z bogatej materji, opasany szeregiem baszt i murów, ukoronowany misternym diademem, obuty w rycerskie ciżmy, wsparty na lwie, symbolu potęgi, jaką ufundował, a spoczywający snem wiecznym pod strzelistemi wieżycami gotyckiego baldachimu; — ten król — olbrzym wprowadził młodocianą Polskę do cywilizowanego świata zachodu i nie tylko od zagłady ją uchronił, ale rozniecił na dziejowej drodze słabego słowiańskiego plemienia pochodnię siły, cywilizacji i potęgi, która przez tyle wieków opromieniać miała daleko — hen poza granicami słowiańszczyzny — chwałę szybko rozwijającego się państwa“.

Za zamkiem, wyższe jeszcze wzgórze, wieńczy wyniosła samotna baszta.

Wątpić należy, czy baszta owa była kiedykolwiek złączoną bezpośrednio z zamkiem, gdyż odległość między niemi jest znaczna; czy rzeczywi-

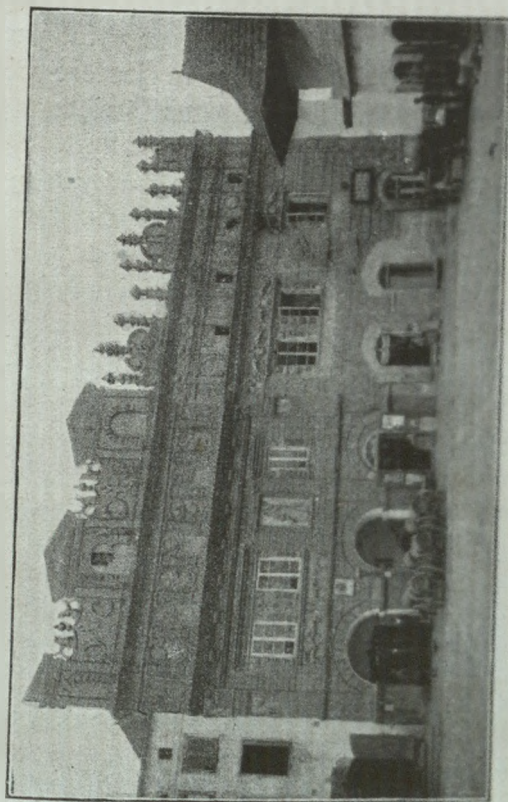
sie jest między nią a zamkiem podziemne przejście, o którym ludzie bają, tego też napewno nie wiadomo. Prawdopodobnie baszta służyła za strażnicę, a pono płonący na szczycie jej ogień stanowił latarnię dla płynących po Wiśle statków. Baszta jest zbudowana z miejscowego wapniaka, ma 26 metrów obwodu, a wejście do wnętrza ma dopiero na wysokości przeszło piętra. Bardzo prawdopodobną jest rzeczą, iż dolna izba stanowiła więzienie. Nawet podanie twierdzi, że w tej baszcie zginął głodową śmiercią Maćko Borkowicz, jednakże toż samo mówią o baszcie zamku w Olsztynie i Chęcinach.

Za basztą stało parę domków dla letników, którym zaiste można pozazdrościć dłuższego pobytu w tem miejscu.

Wracać od baszty trzeba ku miastu bądź wygodniejszą drogą przez wąwóz, którądyśmy przyszli, bądź szczytem wzgórz do Kalwarii z trzema krzyżami, stojącej tuż nad miastem. Droga to cokolwiek uciążliwa, ale dająca przepyszny widok na miasto z pod owych krzyżów. Zeszedłszy do miasta, przechodzimy rynek, a tu zachodzą nam drogę dwa stare domy, które mogłyby być prawdziwą ozdobą starej dzielnicy Augsburga lub Norymbergi.

Berek twierdzi, że są to budowle „króla Kaźmirza“ i tak o nich trzyma przeciętny widz; tak jednakże nie jest. Za króla Kazimierza panował u nas w architekturze gotyk, silnie znaczący

ówczesne budowle, tu zaś mamy przed sobą w całej pełni rozkwitły, a nawet już przekwitający renesans, co epokę wzniesienia tych budo-



Domy w rynku Kazimierskim.

wli przenosi na koniec XVI lub początek XVII wieku, na panowanie Zygmunta III. Domy te były zbudowane z podsieniami na trzech arkadach, lecz

te obecnie są zamurowane. Pierwsza z tych kamienic była własnością bogatego patrycjusza kazimierskiego Mikołaja Przybyły. To też frontową ścianę zdobi obraz świętego Mikołaja.

Prócz bogatej ornamentyki przy futrynach okien, drzwi i gzymsów, mamy tu jeszcze wizerunki czterech ewangelistów, oraz świętego Jakoba i Tomasza, nad gzymsem zaś parteru na szerokim fryzie przedstawione są sceny z życia zwierząt; rok 1625 wskazuje datę wybudowania gmachu. Dziś mieści się tu urząd gminny.

Kto był właścicielem sąsiedniej kamienicy, nie wiadomo; zowią ją zwykle kamienicą pod świętym Krzysztofem,—znaczną bowiem część frontowej ściany pokrywa olbrzymia postać Świętego. Szata jego krótka, nogi w wodzie zanurzone. Ryby i raki igrają w lekko zmarszczonych falach. Święty podpira się całym drzewem, a na ramieniu niesie przez wodę małe Dzieciątko. Ze zdumieniem zwraca znużoną głowę, w jego stronę, jakby podziwiając, skąd tak wielki ciężar barki jego ciśnie. — Prócz tego, zapewne swego patrona, dawny właściciel, mniej widać pobożny od sąsiada Przybyły, więcej świętych nie umieścił, rzucił za to na ściany swego domu trochę obrazów z mitologii i garść sentencji z Seneki. Dowodzi to znacznego poloru i kultury humanistycznej u owego mieszczanina kazimierskiego.

Teraz niechaj Berek prowadzi do kościoła Reformatów.



Dom pod św. Krzysztofem.

Na szczycie wzgórza przeciwległego zamkowi pono niegdyś stał kościół parafjalny, stąd wzgórze to zwano Plebanją, a dotąd droga obok wzgórza nazywa się plebańską. Po wybudowaniu obecnego kościoła parafjalnego, na górze plebańskiej Henryk Firlej „człek co się nigdy nie gniewał“, późniejszy prymas, ufundował klasztor i kościół dla OO. Reformatów. Znaczną pomoc materialną niósł i ów tyle wspominany rajca Mikołaj, który też ma swój nagrobek w tym kościele. — Jest tu też nagrobek Teresy Tarłowej wojewodziny lubelskiej i jej synka Hieronima z roku 1724. Innych ciekawości w kościele tym niema. Za to godne podziwu są podziemia kościoła, które zwiedzać można, a w których są pochowani dawni zakonnicy tutejsi. Suche i chłodne podziemia tutejsze wybornie przechowały ciała nieboszczyków do tego stopnia, że nawet skóra jest nienaruszona, a zczerniałe twarze zachowały całe rysy. Niektóre typy są tak charakterystyczne, że zostają w pamięci, i zda się, że przy pierwszym spotkaniu tej postaci na ulicy, możnaby poznać tego znajomego z grobów reformackich. Została też ładna biblioteka poklasztorna, — na szczegółowe jednak zwiedzanie jej potrzeba dużo czasu, a Berrek pod furką klasztorną niecierpliwi się zapewne. Charakterystycznym długim, krytym kurytarzem wychodzimy z klasztoru, polecając Berkowi, aby nas wiódł na górę za klasztor Reformatów, skąd znów prześliczny otwiera się widok na miasto,

zamek i basztę. Cały stok wzgórza i pobrzeża do Wisły pokrywają owe słynne sady Kazimierskie. Sady te przynoszą właścicielom po paręset rubli rocznie, a przepyszne węgierki tutejsze wyrobiły sobie sławę w całym kraju. Ponieważ ten delikatny owoc nie może być wywożonym



Zamek i rynek.

w zbyt znacznych ilościach, to ogromne masy suszą go tu, a następnie suszony już sprzedają na korce. Cwierć suszonych sliwek płaci się tu od 1 rb. 20 kop., do 1 rb. 50 kop. Ciekawie wyglądają pod jesień te sady, z każdego bowiem z pomiędzy gęstwiny drzew snuje się w górę niebieskawy dymek z suszarni. A suszarnia taka urządzona jest sobie bardzo prosto

i niekłopotliwie. Kopia w ziemi dół, gdzie drobne gałązki i wióry tłą się małym płomykiem. Nad dołem położonych jest parę lass jedne nad drugimi, a na nich rozsypane są cienką warstwą sliwki.

Lassy są to ramy drewniane, przeplecione wierzbowymi prętami, 3 m. długie, a 1,5 m. szerokie. Roczny wywóz suszonych sliwek wynosi około 1500 ćwierci.

Świeży owoc splawiany bywa przeważnie na galarach Wisłą. Galar taki mieści 50 korcy owocu, co przy średniej cenie 5 rb. za korzec reprezentuje wartość około 250 rubli towaru. Galarów takich odpływa z pod Kazimierza rocznie od 20 do 40. Nie sam jednak Kazimierz dostarcza tego owocu, zwożą go bowiem i z sąsiednich wsi nadwiślańskich, a zwłaszcza z głośnego ze swych sadów Zastowa. Jaki rzeczywiście zysk przynosi okolicy sadownictwo, nadzwyczaj trudno jest określić, gdyż inteligencja tutejsza mało się tem zajmuje, a od samych właścicieli, drobnych mieszczań, a tem bardziej od dzierżawiących sady żydów, nie można nic pewnego dowiedzieć się. Zawsze tu przychodzi na myśl anegdotka o owym delegacie komitetu statystycznego, zbierającym dane o handlu. „Ile pan ma obrotu rocznie”? „Na co panu tego wiedzieć”? „To do statystyki”? „Aha! (na stronie) podatki, kahałowe, patentes, fajerkase mit noch a statystykie?! (głośno).

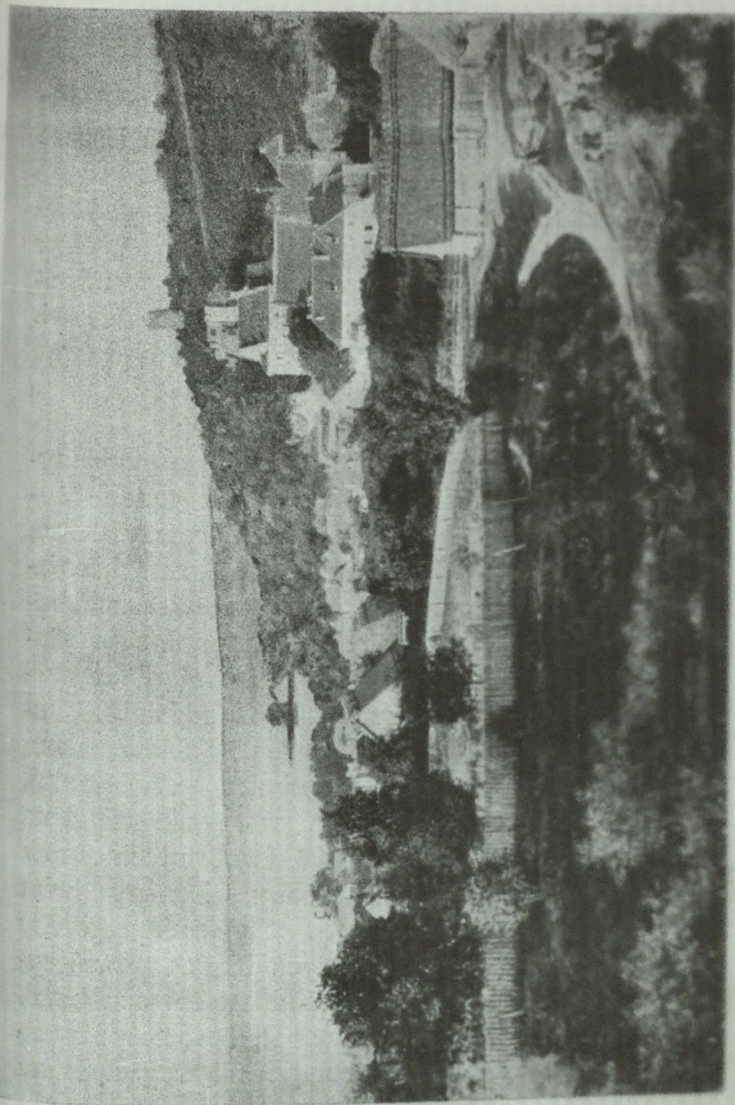
Bardzo małego jest obrotu, czasem to sze obróci, a czasem to nawet wcale sze nie chce obrócić”.

Ogólne jednak wrażenie sadownictwa tutejsze czyni następujące: drzewa rodzą bardzo obficie dzięki jedynie błogosławionym warunkom naturalnym—wybornemu powiślu i ocieniającym je wzgórzom. Gatunki owocu są wogóle dobre, ma to być wpływ pobliskiej Nowo-Aleksandrii, skąd niegdyś Czartoryscy, dziś zaś instytut, dostarczają dobrych szczepów. Po za samą naturą praca właścicieli ogranicza się do wydzierżawienia sadu żydowi i odebrania dzierżawnej należności. Żadnego starania o sady i pracy koło nich nie widać. Żadnego trzebieńia, obcinania, malowania pniów, oskrobywania mchów, ani śladu. Sad robi wogóle wrażenie dzikości i zaniedbania. Drzewka śliwkowe rosną gęsto, ale wątło i wiotko. Bardzo byłoby pożądane oddziaływanie na właścicieli, aby więcej postępowo prowadzili swe sady, gdyż w tych warunkach mogą one stopniowo dziczeć i wyradzać się. Być może, że nowe sady, racjonalnie zakładane na wzgórzach przez inteligencję, oddziałają dodatnio na obecnych właścicieli; w każdym jednak razie jakiś delegat Towarzystwa Ogrodniczego, które powinno stać na pieczy tej gałęzi produkcji krajowej, miałby na wiosnę i pod jesień dużo do pracy w tem zaciszu nadwiślańskim. Właściciele sadów nigdy sami nie zajmują się zbiorem i sprzedażą owoców, lecz wydzierżawiają sady na całe lato ży-

dom, ci zaś mieszkają w nich całemi rodzinami, aż do późnej jesieni. Przyjętym też jest tu zwyczaj, że ojciec miast posagu za córką daje zięciowi w używalność swój sad na umówioną liczbę lat np. dwa lub trzy lata; wtedy zięć pobiera dzierżawne, a po upływie wskazanego terminu sad wraca do rzeczywistego właściciela.

W sadach śliwkowych jest ukrytych trochę ruin po starych śpichlerzach, które tu są nawet o wiele ciekawsze, niż na przedmieściu Gdańskiem; zwłaszcza jedna facjata śpichrza, gdzie mieszka garncarz, jest prawdziwie piękna. Można tam wejść, lecz będzie też ją widać podczas drogi do Janowca.

Ze szczytu góry nad klasztorem piękny jest widok na miasto, ale też i w przeciwną stronę, na plebańską drogę i lasy należące do miasta—nie mniej są piękne widoki. W lesie miejskim stoi parę potężnych dębów, a jeden z nich blisko sterczy na wzgórzu. Dąb ten według Berka ma „więcej, niż tysiąc lat“, gdyż „sadził go król Kazimierz“. Kto wie jednak, czy rzeczywiście nie pamięta Jagiellonów ten olbrzym. Niestety jeden z mieszczan tutejszych, ze zwykłym u nas poszanowaniem dla starych pamiątek i ogólnej własności, podpalił kiedyś wewnątrz olbrzyma, aby zebrać rój pszczół, który tam osiadł. Dąb wypalił się wewnątrz, kilka konarów uschło, kilka zaś jeszcze się zieleni. Robi też dziś wrażenie owego drzewa, o którym mówi Kochanowski.



„Dąb, choć miejscy przeschnie, chocia ma list płowy, przed się stoi potężnie“.

Zeszedłszy ze stromego wzgórza na drogę plebańską, a tą — do miasta, należy zejść jeszcze do kościoła świętej Anny.

Gmach ten niewiadomej fundacji, poświęcony w r. 1671, ma piękną facjatę i stare w olów poprawne okienka. Ma też stary obraz, przedstawiający zaślubienie świętej Cecylii Chrystusowi. Nic pozatem ciekawego, chyba również dobrze zachowane ciała, jak u Reformatorów.

Wracając już do gospody Berensa, można polecić Berkowi, aby zaprowadził do starej synagogi. Jest to bardzo ciekawy budynek o oryginalnej kopule drewnianej, gdzie rozrzuciła się ciekawa symbolistyka. Konie, jelenie, zamki, kwiaty, gęsi, wagi, gołębie i cała przebogata symbolistyka unosi się w górze nad rozmodlonym tłumem; małe zakratowane okienka galerji o bardzo charakterystycznym rysunku oddzielają kobiety od mężczyzn. Wzniesienie z drewnianą balustradą, mosiężne wieloramiennne świeczniki, jedwabna haftowana zasłona, olbrzymie księgi na pulpitych i kilka przepysznych siwobrodych typów na wzniesieniu, to jakiś osobny, nieznany świat o silnej odrębności rasowej. To wschód gorący i fanatyczny. Wschód w swych długich powłóczytych szatach ze srebrnymi nad czołem ozdobami. Te tęskne, namiętne śpiewy pełne prostoty i smutku, te westchnienia za straconą ziemią, za górą Sionu

i grobem Dawida, za wodami Jordana i cedrami Libanu, to coś tak dziwnie przejmującego i rzewnego, że na chwilę można zapomnieć o lenistwie



Wnętrze synagogi

i brudzie, o ciemnocie i fanatyzmie „wybranego ludu“. Po wyjściu z bóżnicy wrażenie ginie, tłum znów jest szary, brudny i posępny, leniwy i ciem-

ny. Często jednak między żydówkami Kazimierza trafiają się prawdziwie piękne typy, przypominające żywo ilustracje Dorego do Biblii. Tradycja pięknej Esterki przechowała się w pięknych typach kobiet, a pamięć królewskiej kochanki i protektorki ludu żywo tętni w pamięci żydów tutejszych. Nawet w święta „kusaków“ w bóżnicy modły odprawiają za jej pamięć; nie wiem tylko, czy nie pomieszano jej z biblijną Esterą, Mordocheuszem i Amanem.

Całą wędrowkę po mieście należy uskutecznić przed południem, po obiedzie zaś ruszać do Janowca, dokąd wiezie przewoźnik Wisłą z przystani. Do przystani jednak niech Berek poprowadzi przez ulicę Senatorską, gdzie przepływa, dawniej podobno obfity, dziś ledwie sączący się strumień, zwany Grodarz, albo Stokowy. Dla tego należy kierować się na Senatorską, że tam stoi najpiękniejszy i najstarszy dom w mieście, przepiękna kamienica renesansowa.

Ta stanowczo jest wcześniejszą od kamienic w rynku i bezporównania więcej artystyczną. Bogate desenie i rzeźby zdobią każdy kawałek ściany, w pięknych muszlowanych niszach stoją posągi świętych. Futryny okien plotą się w prawdziwie piękne sploty roślinne. Attyka nad piętrem, rodzona siostra Sukiennic, ratusza sandomierskiego, lub sztylbowieckiego, rwie się w niebo strzeliście, a fantastyczne paszcze potworów zajadłe otwierają się naprzeciw siebie. Niestety dom ten



Dom przy ulicy Senatorskiej.

jest w największej ruinie. Jeżeli nie będzie rychło podjęta jego naprawa, runie bezpowrotnie w gruzy. A jednak takiej perły pozazdrościłoby mogło nam najpierwsze miasto Europy. Czemuż tutaj pozwolimy konać inu powolnie, czemuż pozwolimy, że rzeźby odpadają, dach przecieka, a okna deską zabite. Paru przymierających z głodu nędzarzy marnie wegetuje za tą rzeźbioną ścianą, wlokąc swe powolne konanie. Podtrzymanie tego cennego zabytku architektury odrodzenia, tej włoskiej latorośli pod surowym niebem północy jest tak nagłą potrzebą, że nie można czekać na sklejenie się nareszcie tak dawno projektowanego towarzystwa archeologicznego, lecz należy kołatać do prywatnej kieszeni zamiłowanego w tem amatora. Czy taki znaleźć się nie może? Ej! chyba, że znaleźć się powinien. Kazimierz dziś zaniedbany i opuszczony ma przed sobą przyszłość.

Szanowny Dr. J. Zawadzki w sprawozdaniu z Wycieczki po kraju pisze: „Kazimierz dziś przestał być nawet miasteczkiem i tworzy gminę: Kazimierz lubelski, zamkniętą w sobie, a więc nader ubogą i nader zaniedbaną. Kazimierz ma jarmarki co tydzień, mało ożywione, odbywające się na rynku napół zabrukowanym, zanieczyszczonym od wieków.

Grunt jest tu mało przepuszczalny: na podkładzie z opoki glina z piaskiem zmieszana, skąd w czasie deszczu w dolinie i wąwozach jest błoto tem większe, że o uprzątnięciu nikt nie myśli.

W całej okolicy grunt falisty z pagórkami, o pochyłości znacznej, co ułatwia spadek wód ku Wiśle.

Skutkiem właściwości gruntu okolice Kazimierza posiadają grunt urodzajny, zadrzewienie jest tu obfite, przeważnie drzewami liściastymi, między którymi przeważają drzewa owocowe, głównie jabłonie i śliwki. Łąk wogóle mało, mało gruntów ornych.

Woda zaskórna na znacznej głębokości od 15—20 i więcej łokci.

Wodę do picia czerpią mieszkańcy przeważnie ze studni miejskich głębokich na 15—20 stóp, zależnie od tego czy studnia jest w dolinie czy na górze. Studzien w mieście jest 3, wszystkie cembrowane drzewem, rzadko oczyszczane, stąd często posiadają zapach nieprzyjemny i dużo ich. Czerpią z nich wodę za pomocą kołowrotka kulbami. Studnie nakryte są deskami w odległości 5 łokci nad ziemią. Jedna studnia urządzona jest z pompą, jednak jest nieszczelnie zamknięta i zanieczyszcza się błotem, którego na rynku na pół brukowanym nie brak nigdy.

Po za studniami publicznymi są studnie prywatne nieco płytsze, odległość ich od ulic i śmietników 15—30 łokci.

Na Wiśle poniżej garbarni urządzone 8 kąpielni do kąpiel, urządzenie ich wiele pozostawia do życzenia.

W wąwozach około Kazimierza jest kilkanaście źródeł, najbliższe w odległości wiorsty: woda zimna, czysta kryniczna o temp. 10° C., przyjemna w smaku. Obfitość źródeł znaczna, tworzą one liczne strugi.

Od lat kilkunastu osoby przeważnie ze sfer urzędniczych oraz średnio zamożnych udają się do Kazimierza na letnie mieszkanie. Zwabia ich tu zarówno historia jak i estetyka, są tu bowiem krajobrazy nader piękne, piękniejsze, niż w górach prawdziwych.

Od lat kilku zaczęto kupować od mieszczan działki pojedyncze lub całe osady, Kazimierz bowiem, acz gmina, zamieszkała jest przez mieszczan, stąd kupno nie jest utrudnione. Morga gruntu wynosiła wtedy 150 rb., a że materiału była obfitość, można było bardzo tanio nabyć lub wybudować willę na lato.

Jak dotąd ceny mieszkań są niskie: za 2 pokoje na sezon płaci się 60 rubli, co u nas wobec cen podmiejskich jest istotnie tanio, domków jednak jest bardzo niewiele. Był czas gdy Kazimierz miał las własny, obfitujący w budulec, z lasu miał prawo korzystać każdy mieszczanin na użytek własny, wobec takiego zastrzeżenia większość lasu znikła już z powierzchni i dopiero ochrona leśna położyła kres gospodarstwu rabunkowemu. O ile więc dawniej o budulec było łatwo, o tyle dziś jest trudno, stąd stawianie domków napotyka na pewne trudności.

Najlepsze domki stoją na pagórkach, jest tu najlepsze zadrzewienie, otwarta przestrzeń, duże spadki dla wód gruntowych, oraz najczystsze studnie. Jedna z tych studzien ma głębokości około 60 łokci i stoi, podobnie jak wszystkie inne, na poziomie Wisły.

Wogóle w Kazimierzu jest 350 domów, 10% oddają z nich na letnie mieszkania czyli 35, z tych 7 jest murowanych, 28 drewnianych. Każdy domek ma 1—6 pokoi, razem jest pokoi 82. Przeciętna wielkość pokoi jest $5,6-10 \times 10$, wysokość $4\frac{3}{4}-6$ łokci, pokój więc przeciętnie ma $5 \times 10 \times 5,75 = 238,5$ łokci sześciennych t. j. 305,9 metr. sz.

Oświetlenie pokoi wogóle dobre: okna z 6 szybami, wysokość 1 m. do 1,5 m. Wentylacja za pomocą lufcików w jednych domach górnych w innych dolnych, piece przeważnie kaflowe, zdarzają się i z cegły.

Werend brak, zaledwo kilka domów ma niezłe werendy.

Kuchnie mieszczą się w tym samym budynku i łączą się z mieszkaniem przez sien.

Co się tyczy podwórza, jest ono zazwyczaj brukowane; wiele domków stoi w sadach, niektórzy jednak mają w bliskości obory i stodoły. Domy stoją w niejednakowej od siebie odległości bez planu, jedne tuż przy sobie, inne w odległości 100 kroków i więcej.

Ustępy urządzone zle: przeważnie doły nieocembrowane, oczyszczane za pomocą kubłów, stoją niekiedy blisko domu i studni. Śmietniki również w nieocembrowanych dołach nieprzykryte, do śmietników zlewają wody nieczyste, co jeszcze wzmacnia w nich gnicie i butwienie.

To, co jest, najpobłażliwiej traktowane, za znośne nawet uważane być nie może, miejscowość jest odpowiednia, ale dla podniesienia jej nic nie zrobiono.

Przez swe położenie malownicze nad brzegiem szerokiej rzeki, na wzgórzach z licznymi i dobrymi spadkami, mimo mało przepuszczalną glebę, Kazimierz, jako siedziba letnia, ma dużą przyszłość przed sobą, tembardziej, że mimo wytrzebienia lasów, w okolicach i w samym Kazimierzu jest drzew obfitość wielka, a glina, stanowiąca podstawę nadglebia Kazimierza, wybornie się do uprawy drzew nadaje.

Powietrze jest tu wyborne, obfitość źródeł górskich wielka, a nieprzepuszczalność gruntu ułatwia w połączeniu ze spadkami naturalnymi i bliskością rzeki, przeprowadzenie kanalizacji prawidłowej kosztem stosunkowo małym.

Wszystko są to warunki, które przemawiają za Kazimierzem i dobrą rokują mu przyszłość.

O ile mogłem zmiarkować z rozmów z mieszkańcami, mimo, że większość ich chętnie czyta pisma i oświata jest względnie wysoka, solidar-

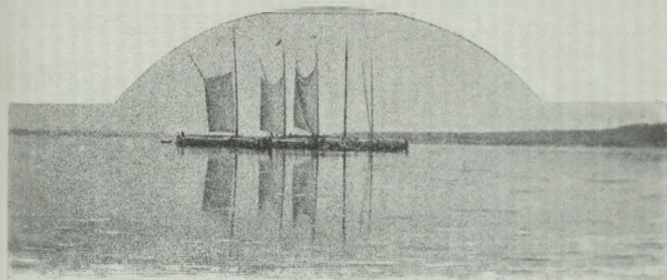
ności nie ma i uchwały gminne bynajmniej nie dowodzą, aby istniało tu poczucie dobra ogólnego. Mieszkańcy środka osady krzywym okiem patrzą na swych sąsiadów z gór i na ich dochody od „letników“ i odwrotnie; nie ma poczucia, że z chwilą rozwoju osady, wszyscy na tem zyskują. Kazimierzanie są nieodrodnymi synami swych przodków, sejnikowanie na rynku, polityka wszechświatowa, to ich ulubione zajęcie—swemi sprawami zająć się nie chcą i nie umieją. Zapomnieli o świetności miasta w dawnych czasach, stan obecny zadawalnia ich i, byle tylko nie ponosić ciężarów, gotowi znosić wszelkie niewygody. Tem się dzieje, że drogi są w stanie opłakany, że dotąd w Kazimierzu niema stacji telegraficznej, że o oczyszczanie studzien trzeba kłotać latami, że o asenizacji jakiegokolwiek bądź nikt słyszeć nie chce i t. p.

Jednem słowem wszędzie widać brak inicjatywy, a co gorsza niechęć do ulepszeń. Gdym mówił z mieszkańcami o przyszłości Kazimierza zapalali się do tej myśli, skoro jednak wspominałem, że dla rozwoju potrzebne są przedewszystkiem nakłady na uzdrowotnienie osady, zapal zmalł i zaznaczano, że lepiej zaczekać z ulepszeniami, aż się Kazimierz rozwinie.

Z moich rozmów wyniosłem przekonanie, że miejscowi obywatele nic nie robią, dla miejscowości trzeba szukać dróg innych i obcych kapitałów.

W celu stworzenia z K. miejscowości letniej musi się zawiązać spółka, która wykupić powinna wszystkie, a przynajmniej większość posiadłości, nadających się w tym celu i, mając głos w radzie gminnej ważny, przeforsować konieczne ulepszenia.

Dziś brak nam przedewszystkiem tego, co Niemcy *Sommerfrische*, a my schroniskami letnimi zwiemy i K. nadaje się w tym celu znakomicie, siły więc w tym kierunku wyteżyć należy i starać się wszelkimi siłami o urzeczywistnienie tego."



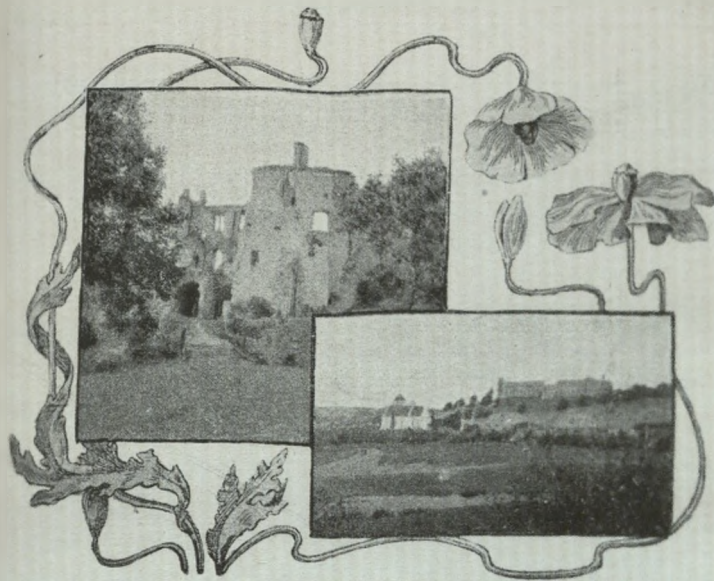
DROGA KAZIMIERZ-JANOWIEC.

Uprzejmy Berek nad brzegiem Wisły oddaje podróżnego pod opiekę swych współwyznawców Bendytów, utrzymujących przewóz przez Wisłę z Kazimierza do Wojczyna. Przewoźnicy ci wiozą gości do Janowca na łódce, za co płaci się zwykle rubla. Na łódkę siada gondoljer kazimierski, Abram Tancerman, prawdziwe dziecko Wisły, rosły, smagły, przystojny chłopak; przez dziurawe rękawy koszuli przegląda jak z brązu odlane ciało, spalone przez słońce i hartowane przez wiatry nadrzeczne. Mądre oczy błyszczą sprytem, a po polsku mówi prawie zupełnie czysto. Ma też zawsze dużo do opowiadania swoich przygód na przewozie, oraz wrażeń z transportowania różnych „państwa“.

Przy miłym jego opowiadaniu płyniemy w górę rzeki, a przed nami sunie cała panorama

Kazimierza, więc miasto, kościoły, potem sady sliwkowe, a w nich owe piękne facjaty śpichrzów, dalej stoki wzgórz wapiennych, kędy łania kamień, potem domki wsi Męcwierz, gdzie znów jest drugi przewóz przez Wisłę do Janowca. Gdy takie widoki przedstawia nam brzeg prawy i na lewy też rzucić okiem należy. Wzgórza tu bodaj więcej strome, również krzakami porosłe, wśród nich czerwienią się mury nowej willi Janówek, a za zakrętem w całej wspaniałości ukazują się Janowiec. Droga z Kazimierza trwa około trzech kwadransów lub godziny, co jest bardzo zależne od stanu wody. Przy niskim poziomie ukazują się liczne mielizny, które trzeba okrążyć, co bardzo przedłuża drogę. Jeżeli poziom wód jest znaczny, to można podjechać łódką pod samo miasteczko, jeżeli zaś wody spadną, to trzeba iść pieszo od brzegu rzeki do miasta i zamku około wiorsty drogi. Droga to jednak przyjemna, ocieniona dosyć drzewami i prowadzi nas ona, gdzie rozsiadł się ów tak piękny Janowiec.

Na rozległym pastwisku żerują stada białych gęsi. Mała błotnista rzeczulka, szczątek dawnego koryta Wisły, sączy swe wody tuż przed domami miasteczka. Te fantazyjnie się rozrzuściły, a imponująco nad niemi zasiadł kościół.



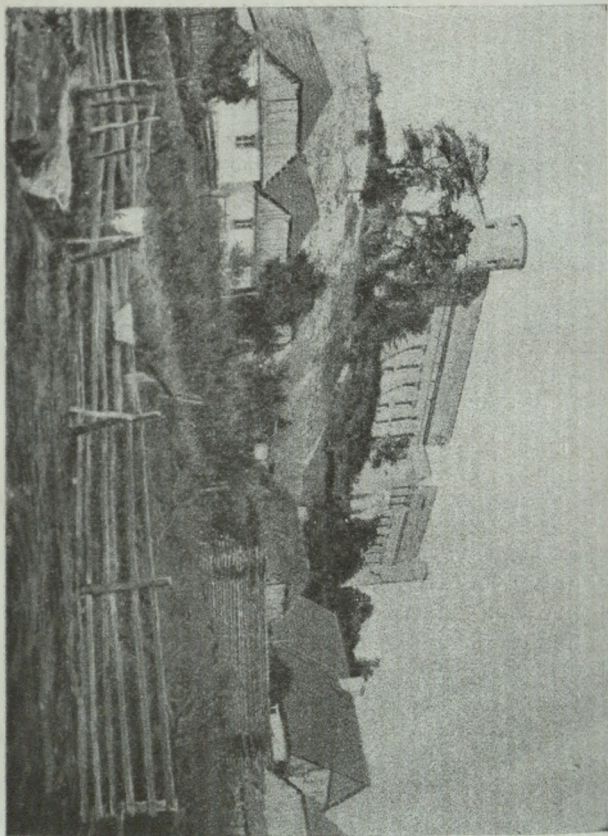
JANOWIEC.

Dawniej miasteczko, dziś osada pow. Koziemkiego, gub. Radomskiej odległa od Kazimierza 2 w., do Zwoleń 20 w., od Radomia 50 w., 1,200 mieszkańców, w większości chrześcijan. Posiada urząd gminny, szkołę elementarną. Znajduje się tu zajazd i restauracja, utrzymywana przez właściciela majątku.

Historja. Miasteczko to zawdzięcza swe istnienie możnemu rodowi Firlejów, tak bardzo wpływowych na dworze Zygmunta Starego. Firlejowie powołanie swe i potęgę swego domu oparli na łaskach Bony, skąd przeszli w przysłowie „stroji baba Firleje“. Piotr Firlej, kasztelan Wiślicki, w r. 1537 otrzymał od Zygmunta I przy-

wilej na utworzenie miasta na gruntach wsi swej Serokomli. Miasteczko otrzymało nazwę

Widok Zamku.



Janowca, a założyciel dał mu za herb „wieze na skale z liewarthy dwiema”. — Jan Firlej,



Kościół.

kaszt. Lubelski, ustanowił jarmarki i wydał w roku 1580 szczegółowe prawa i przepisy porządków miejskich. Miasteczko rozwijało się pomyślnie, lecz

ważniejsze zdarzenia historyczne rozgrywały się tu nie w mieście, lecz na zamku. Ustawodawca dał mieszczanom plac pod budowę ratusza, czy jednakże ten był kiedykolwiek wybudowany, trudno znaleźć śladu, przynajmniej na planie u Puffendorfa ratusza nie widać. Za to na wspomnianym planie widzimy dwa kościoły, dziś zaś jest tylko jeden.

Budowla to z wieżą czworoboczną i typową krakowsko—renesansową facjatą, tym niezawodnym znamięm budowli z XVI wieku. Firlejowie sprzyjali wielce nowym prądom religijnym. Odebrali więc kościół katolikom i urządzili w nim zbór kalwiński. Dopiero Stanisław Tarło, star. Sochaczewski, oddał go z powrotem katolikom.

Wewnątrz kościół przybrał owe pospolite u nas barokowe linje, przedstawia się jednak wspaniale i wyniosłe. Posiada też kilka prawdziwie pięknych dzieł sztuki. Naczelne miejsce zajmuje pod tym względem wspaniały pomnik Tarłów.

Jeden to z najpiękniejszych zabytków renesansu w Królestwie. Pomnik stoi po lewej stronie ołtarza. Leżące postacie: Stanisława Tarły, starosty Sochaczewskiego i jego małżonki w okazałych strojach z końca XVI stulecia wyobrażone są w naturalnej prawie wielkości. Nadzwyczaj ciekawe jednak są boczne i dolne ornamentacje



pomnika, zwłaszcza paszcze lwów u podstawy jego. Kto był autorem tego pięknego pomnika, nie można znaleźć śladów, musiał to być jednak artysta nieposledniej miary, biegły nadzwyczaj i pomysłowy w kombinacji ornamentyki renesansowej. Napis u góry pomnika wskazuje, że: Illustr. Stanislaus Tarło, Capit. Sochaczov. qui Ecclesiam Janovicensem ab Arianis profanatam, spoliatam, ac per plures annos detentam, Ecclesiae Cat. Romanae restituendam et in ea corpus suum tumulandum Fabulis supremis sit Sibi ac curae Uxori hoc monumentum posuit, Anno, D-ni. 1599 D-ie 14 mensis Junii (Stanisław Tarło star. Sochaczewski, który kościół Janowiecki, przez Arjanów znieważony, obdarty i przez wiele lat przez nich trzymany, do kościoła rzymsko-katolickiego przyłączył i ciało swoje w nim pochować polecił sobie i ukochanej żonie tę pamiątkę postawił R. P. 1599 dnia 14 czerwca). Na prawym filarze przy prezbyterjum wisi na ścianie piękny zegar w stylu rococo robiony u sławnego Gegenmusa w Warszawie. Wyrób to w niczem nie ustępujący francuskim z owej epoki, a bogate ozdoby ze złoconej blachy na zielonem tle są nadzwyczaj gustowne.

Zegar ten, jak również stolik okrągły marmurowy między ołtarzem a pomnikiem Tarłowa, dwa lustra z motylami przy ołtarzu w lewej nawie i parę foteli przy wielkim ołtarzu niewątpliwie pochodzą z zamku. Może też stamtąd pocho-

dzi piękny gobelin, wprawiony w antepedjum pierwszego od wejścia ołtarza po prawej stronie.

Ciężka kamienna renesansowa chrzcielnica stoi w lewej nawie, duża monstrancja i parę starych ornatów mieści się w zakrystji; nad zegarem — portrety, z których górny przedstawia dawną właścicielkę Janowca — Piaskowską, starościnę Taraszczeńską, oraz pomnik jej męża pod amboną, — oto wszystkie osobi-



Zegar w kościele w Janowie.

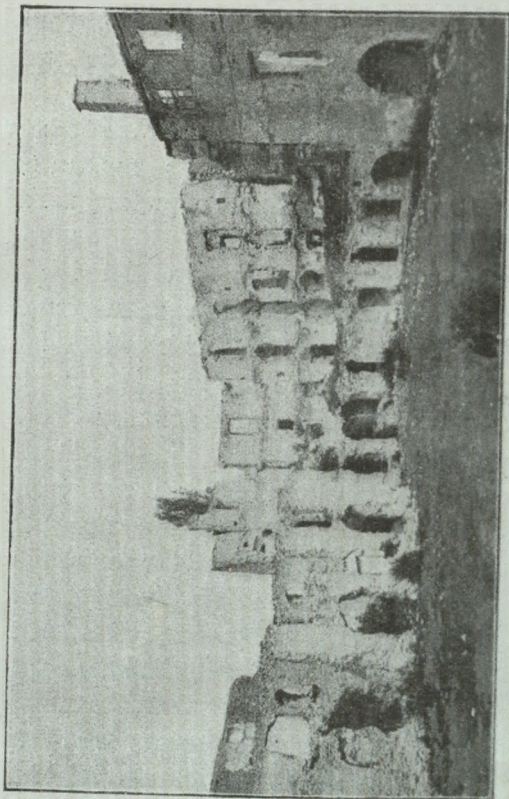
wości kościoła. Można zwiedzać jego podziemia i groby. Duży odpust w dniu patronki kościoła św. Małgorzaty, ściągają tu licznych wiernych, lecz i w każdą niedzielę kościół jest napelniony ludem. Ten w miasteczku trudni się rolnictwem i rzemiosłami (mular-

stwo, szewstwo); ani miejski, ani wiejski lud nie zachował strojów właściwych. Rzadko, i to na starym chłopie, pokaże się sukmana lub barania wścieklica. Za to czekające przed kościołem czwórki dworskie z krakowiakami na kozle wyglądają buńczucznie i chwacko.

Wyszedszy z kościoła należy piąć się po wąskiej ścieżynie na wzgórze, gdzie rozsiadł się wspaniały zamek. Ludność miejscowa odróżnia nazwę miasteczka od zamku: miasteczko—to Janowiec, a zamek—to Oblasy. Całe zaś terytorjum tutejsze nazywają zwykle Janowiec-Oblasy. Wywniosłe wapienne wzgórze, usypane rumowiskiem, wznosi się stromo nad doliną, która niegdyś była dnem Wisły. Wzgórze to wapienne, porośnięte krzakami tarniny i berberysu, wystawione na południe, uwieńczone jest ruinami zamku, jednego z największych w kraju. Wzgórze zamkowe oddzielone głębokim wąwozem od całego pasma sąsiednich wyniosłości, nadawało się wybornie do wzniesienia obronnego zamku, być więc może, iż od bardzo dawna był tu obronny zameczek, ale wiadomości historyczne o tem miejscu nie sięgają po za wiek XVI.

Możni Firlejowie, wykształceni na wzorach wykwintnego odrodzenia, musieli poznać się na piękności i obronności nadwiślańskiego wzgórza, a że środkiem mieli — ni potężne, gdyż królowa Bona:

Co się przy pańskich dworach dość zwy-
[czajnie dzieje
Tem, co zdarła od drugich, stroiła Firleje,—
(Krasiecki).



Dziedziniec zamkowy.

mogli więc pozwolić sobie na iście królewski przepych. Powstał więc zamek olbrzymi o 7

wielkich salach, a 98 pokojach. Kolumny, złocenia, marmury i obrazy, cały wykwintny ton renesansowy przeszczepiony tu został z Krakowa. Bogate małżeństwa faworytów królowej z najposażniejszymi w koronie dziedziczkami, jak np. Bonarówną, posażną jedynaczką, co wniosła mężowi miljonowe wiano, pomogły do rozwinięcia przepychu w urządzeniu zamku.

Wąska ścieżka po stoku wzgórza wiedzie nas do trochę nadpróchniałego mostu nad fosą, a tuż za mostem wznosi swą piękną arkadę brama zamkowa.

Brama ta wiedzie nas na dziedziniec zamkowy. Dzisiaj sterczą tylko zewnętrzne ściany zamku, wewnętrznych zaś brak wielu i przez to trudno dziś zdać sobie sprawę, jak wyglądał ów zamek, gdy jeszcze był zamieszkanym. Południową stronę od Wisły zajmowały najpiękniejsze komnaty i sale. Zwłaszcza stojąca po środku sala, wysunięta na front przed fasadę zamku, jest imponującą w swym obszarze i wymiarach okien, sklepionych półkolisto. To była bezwątpienia najglówniejsza sala zamkowa. Idąc dalej przez szereg komnat, gdzie często kawałek gipsatury, lub parę plam starego malowidła rzuca się w oczy, dochodzimy do narożnej okragłej baszty. Tu jakby dla ironji i kontrastu z ogólną ruiną, dochowało się trochę śladów dawnej świetności. Musiał to być buduar, lub zaciszny gabinetik do poufnych wizyt i pogawędek. Bardzo bogate

gipsatury ścielą się po rogach, gzymsach i suficie, w medaljonach nad drzwiami i oknami widnieją nieźle malowane sceny mitologiczne: to Leda omdlewa w uścisku łabędzia, to Europa mknie w zupełnym zapomnieniu na grzbiecie potężnego zwierza. Wszystko tu kiedyś musiało tchnąć ciszą, wykwintem i miłością. Tu przesiadywać musiała i owa Firlejowa, jedyne dziecko przemożnych żupników wielickich Bonarów, zacna wojewodzina lubelska, nad której grobem śpiewał Kochanowski:

Tu różę, tu fiołki, tu mieście leliją,
Ten marmur świątobliwy zamyka Zophiją,
Zophiją Bonarównę, której żywot święty
Godzien, aby wszem paniom za przykład
[był wzięty.

Przez tę komnatę przeszły w kolejki wieków i inne damy wielkiego świata Rzeczypospolitej, więc: Tarłowe, Lubomirskie i inne. Może tu jeszcze siadywała piękna Piaskowska, której portret widzieliśmy w kościele.

Dziś i do tego zacisza miłości dotarła złowroga ręka czasu: niszczącym swym palcem obtłukł on rzeźby, zatarł malowidła, wyrzucił rozkoszne sprzęty, a tak jest ów los zawzięty, że dławii każdy objaw życia w tem zaciszu. Oto gałązka berberysu, ciekawa zapewne tajemnic buduaru, zajrzała tu ciekawie i zbladła z trwogi

czy zalu. Wyciąga swe anemiczne listeczki ku ciepłu i światłu. Prawie tak jak w Bakczysaraju, gdzie:

Sofy, trony potęgi, miłości schronienia
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina,
Skróś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Baltazara głoskami: „Ruina“.

Szczęśliwsi od biednej gałązki, co drży jakby pod wiatrem westchnień i słów pieszczonych, możemy wyjść stąd i zobaczyć cały dziedziniec zamkowy, który kiedyś otoczony był dokola krużgankami, jak to ma miejsce w zamku na Wawelu; dziś to wszystko w ruinie. Po lewej stronie zwraca wewnątrz dziedzińca uwagę duża część muru sklepionego w półkole. To szczątki kaplicy. Dotąd jeszcze na ścianach zostały ślały malowideł al fresco. To zapewne św. Jan Chrzciciel, odziany w skórę wielbłąda, obok inny, dzisiaj trudniejszy do rozpoznania święty namalowany był na słupie między oknami. I tu więc nie lepiej, niż w świeckich komnatach, i tu Baltazarowe słowa już dosięgły.

Widok zamku wewnątrz jest tak piękny, że nie można odmówić sobie dłuższego tu wypoczynku, na co zresztą podróżny, znużony drogą od Wisły do miasta, zwiedzaniem kościoła i zamku,

zupełnie zasłużył. Przy tym wypoczynku możemy przypomnieć sobie historję zamku.

Po bezpotomnej śmierci Firlejów, zamek dostał się w posiadanie Tarłów, a potem Lubomirskich.

Pod Janowcem oparł się ścigany z pod Wisłicy dowódzca rokoszu, marszałek Mikołaj Zebrzydowski w r. 1606. Zygmunt III z wojskami królewskimi nacierał nań i byłoby przyszło do strasznego rozlewu krwi bratniej, gdyby nie udało się senatorom skłonić marszałka do upokorzenia się przed królem. Hej, musiał ci gorzko mieć w ustach ów dumny pan, ta majestatyczna postać, jak ją widzimy na samym środku Kazania Skarżi, gdy w nocy, przy krwawym blasku pochodni kroczył piechotą do obozu królewskiego, aby pokornie ucałować dłoń znienawidzonego przezeń człowieka.

Gdy wyniosły i przykry pan cierpko przyjął upokorzonego rokoszanina, ten, całując podaną rękę, rzekł: „Tego Boga, przed którego sądem stanąć miałem, gdy się przed chwilą do boju gotowałem, biorę na świadka, że wszystko, com czynił, czyniłem z chęci dobra publicznego, obiecuję wiarę, w silnej nadziei, że W. K. M. do żądania narodu przychylić się raczysz“.

Jego K. M. do żądania narodu przychylić się jednak nie raczył i na tym upokarzającym fukcie skończył się ostatni poryw świetnych czasów Zygmuntowskich i legł ów tolerancyjny duch

pod murami Janowca i na Guzowskim polu, a ponura i fanatyczna reakcja objęła płomieniem przesładować kraj cały.

Pięćdziesiąt lat później zagrzmiały znów surmy bojowe. To drapieżny szwed łupił ziemię polską. W r. 1656 w dniu 7 lutego złupili i spalili szwedzi zamek Janowiecki, którego nieliczna załoga, mimo warowności terenu, obronić nie mogła. Wcale dobrze przedstawiony jest Janowiec u Puffendorfa (*De rebus gestis Caroli Gustavi*).

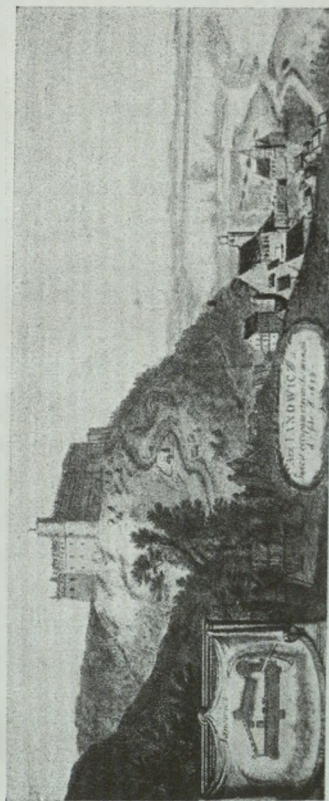
Zamek i kościół widzimy bardzo podobny do obecnego, brak tylko dziś drugiego kościoła w miasteczku.

Michał Korybut w r. 1672 bawił tu dość długo i stąd wyjechał do Gołębia, gdzie szlachta w jego obronie zawiązała konfederację.

W zamku tutejszym przebywał też i August II w r. 1716 z posłem rosyjskim ks. Dołgorukim, który był pośrednikiem między królem a konfederatami, żądającymi ustąpienia z kraju wojsk saskich. Blisko też stąd przeprawiły się owe wojska przez Wisłę.

W XVII wieku właścicielem Janowca był ks. Marcin Lubomirski, nadzwyczajny fantastyk, hulaka i rozpustnik. Ten zamek Janowiecki odbudował, lecz, nie mogąc utrzymać obdłużonej fortuny, sprzedał dobra tutejsze podkomorzemu krzemienieckiemu Piaskowskiemu. Nowi właściciele, nie dorównujący fortuną Lubomirskim, nie

mogli konserwować olbrzymiego zamczyska, które też poczęło chylić się ku upadkowi, a gdy



Widok Janowca w r. 1656
(według Puffendorfa „*De rebus gestis Caroli Gustavi*“).

w roku 1809—1813 wyrwano z zamku wszystko żelazo i stare modrzewiowe drzewo, pozbawione łączników mury popadły w zupełną ruinę. Pó-

źniej posiadaczami Janowca byli hr. Mieroszewscy, obecnie właścicielem jest p. Ćwirko-Godycki.

Oto i cała historia zamku. Dziś w ornamentach ściany frontowej zamek ma charakter saskich rokokowych budowli, nad oknami w ładnych splotach roślinnych wikłają się i szyszaki rycerskie, i fletnie pastusze i tyrsy bachiczne. Nad piętrami jednak nie zbyt malowniczo ciągnie się monotonna gładka ściana, nie ożywiona ani otworami, ani ornamentami. Wewnątrz jednak od strony dziedzińca widać jeszcze na tej ścianie piękne renesansowe kontury, w które lekko i gustownie przybrał swe gniazdo „wielki budownik” Piotr Firlej. Zamurowanie owej gustownej attyki i zamiana jej na gładką parkanową ścianę, to jakby żywa ilustracja do owego strasznego upadku kultury i smaku artystycznego u nas, po złotym wieku Zygmuntońskim.

Po wypoczynku należy wracać na noc do Kazimierza. Abram rad pośpieszyć, bo pod miastem często trafia się robota i zarobek. To przeprowić kogo za Wisłę, to przewieść łódką do kąpieli pod ławice piaskowe, lub pojechać z gośćmi na spacer po Wisłę.

Rażno mknąć łódką z biegiem rzeki, Abram bawi nowymi opowiadaniem, a nad spiętrzone mury Kazimierza, nad jego sady zielone, cienkimi słupami pną się ku górze błękitne dymy. Nareszcie wysiadamy w przystani, a trzeba dążyć na spoczynek, aby nazajutrz rano wyruszyć w dal-

szą drogę do Nałęczowa. Konie należy zamówić wieczorem, aby na rano już były gotowe. Teraz zaś pod opieką Garibaldiego, co zdobi ścianę Gospody Chrześcijańskiej, spocząć należy po pracowicie, lecz jakże przyjemnie spędzonym dniu!

Na wysokim szczycie po prawej stronie drogi nad wierzchołkami drzew, panuje wysoko duży

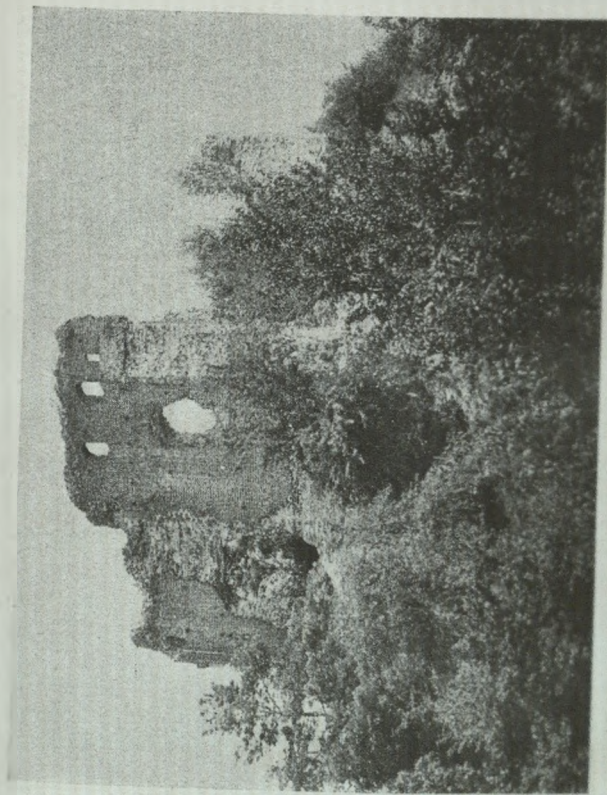
Droga Kazimierz-Nałęczów.

Konie płaci się 1,20 1,50—2,00 rb.

Dwie są drogi, prowadzące z Kazimierza do Nałęczowa: jedna z nich idzie wzgórzami, zowią ją tu czasami „górną“, druga zaś ciągnie się doliną Bochohnicy na Celejów i tę nazywają „dolną“.

Należy wybierać tę drugą, jako bardziej malowniczą, zwłaszcza zaś, że po drodze zwiedzić można szczątki zamku w Bochohnicy.

Wyjeżdża się z Kazimierza szosą ku Nowej Aleksandrji, a od 4-ej wiorsty droga skręca naprawo w dolinę Bochohnicy. Otwiera się tu wspaniała panorama. Dolinę zamykają dwa pasma wyniosłych wzgórz, pokrytych gęstwiną krzewów i drzew. Wśród doliny rozłożona jest wioska Bochohnica, a między jej chatami w malowniczych skrętach wije się rzeczka Bochohnica.



Ruiny zamku w Bochohnicy.

kawał murów, fantastycznie poszczerbionych. To szczątki zamku Bochohnickiego.

Widok z dołu jest prawdziwie piękny, ale po trochę mozolnem wdrapaniu się na szczyt, aż

do ruin, podróżnemu mimowolnie wyrywa się okrzyk podziwu, na widok rozłożony u jego stóp.

Dolina mieni się barwami traw i zbóż, szarzej chaty wśród zielonych sadów. Srebrzystą wstęgą przewija się rzeczulka, a brzegi jej znaczą zadumane olchy, lub wiotkie wiciny. Na pastwiskach pstre bydło leniwie się przechadza, brodząc w bujnej paszy, a tu na górze gęsto wśród krzaków słychać drewniane klekotki krów.

Przeciwnie wzgórze sinieją powagą sosnowego lasu, a czasem urozmaica je polanka zasianej nowiny.

Gdy sięgniemy myślą w te odległe wieki, gdy leniwa rzeczulka dzisiejsza ostro pędziła swe obfite wody ku Wiśle, całą niemal szerokością doliny, gdy po wzgórzach szumiały niebotyczne modrzewie i jodły, gdy miast krów ryczały tu dzikie zwierzęta, przedmiot ulubionych łowów, gdy odbudujemy w myśli mury zameczku i zapełnimy go barwnym orszakiem dworu, otaczającego tutejszą panią,—to zaiste musimy przyznać, że trudno było znaleźć odpowiedniejsze miejsce do usłania rycersko-romantycznego gniazda.

Stawiał je też król romantyk według podania dla długoletniej swej faworyty, wpływowej Esterki.

Tu ulubienica królewska, przeniesiona z dusznego Opoczna, z piaszczystych równin nad

Drzewiczką, na to wyniosłe wzgórze, spędzała czas, czując się panią zameczku, okolicy i serca królewskiego oblubieńca, który chętnie spędzał w tem zaciszu chwile wolne od burz politycznych i niepowodzeń rodzinnych.

Jakże było nie miłować tej pięknej, ognistej córy izraelskiej; toć ta kobieta zostawiła mu pono synów, których tak pragnął gorąco schodzący bez następcy ostatni Piast, ten wspaniały koronowany kwiat, wybujały na drzewie rodu ubogiego kołodzieja.

Tutaj podobno zamknęła powieki zanedba—na po latach kochanka, a król kazał ją po—grzebać na sąsiednim wzgórzu. Dotąd istnieją wyżej od zamku szczątki murów, które miały podobno być kiedyś grobem Esterki.

Jednakże prawdopodobnie była tu kaplica, czego nawet kształt tych ruin dowodzi, a starzy ludzie tutejsi twierdzą, że pamiętają jeszcze kopulkę z krzyżem nad budowlą.

Po obejrzeniu ruin należy ruszać w dalszą drogę, która ciągnie się w dolinie, przeważnie po lewym brzegu Bochońnicy wśród bardzo pięknych krajobrazów. Zobaczmy też jak się przedstawia obszar i ludność powiatu Nowo-Aleksandryjskiego.

Ma on 30,2 mil. □ obszaru. Mieszkańców liczy 143.168, czyli po 96 ludzi na wiorstę □ (pow. Biłgorajski liczy tylko 65 na wiorstę). Ludność

według wyznań w 79% katolicka, a 19,7% stanowią Żydzi. Powiat przeważnie rolniczy, bo 79% ludności trudni się pracą około roli, ma jednakże i trochę fabryk (cukrownie, młyny, garbarnie, tartaki, olejarnie, cegielnie), których roczna produkcja wynosi 1.470.519 rb. (pow. Chełmski produkuje tylko za 862.199 rb.). Dzieli się na 18 gmin, szkół ludowych ma mało, jedna szkoła wypada na 6359 mieszkańców (w Norwegii jedna szkoła na 270 mieszkańców, w Szwajcarii — na 366 głów).

Koło Wierzchaniowa dolina rozszerza się, formuje duży staw, przy którym stoi młyn, a z pod samej drogi bije obfite źródło przepysznej krynicznej wody.

Tu droga przerzuca się na prawy brzeg rzeki i poczyną wspinać się na szczyt wzgórz, aż pod Celejowem zupełnie uroczą dolinę opuszczamy.

Teraz już droga jest więcej monotonna, ciągnie się ona po lekko falistych wzgórzach, dopiero koło Wąwolnicy przybiera ciekawszą postać.

Na szczycie wzgórza stoi kościół i dzwonnica, dalej zaś ciągną się ubogie domy miasteczka. Znow z pod góry wytryskają nader obfite źródła wybornej wody, którą każdy rad pić, choć nawet nie czuje pragnienia.

Wąwolnica to bardzo starożytne miasto. Kazimierz Wielki opasał je murami, a Elżbieta Ło-

kietkówna uwolniła obywateli Wąwolnickich, więzących towary, od wszelkich cel i opłat na mostach, groblach i przewozach. W połowie XVI wieku miasto do szczytu zgorzało i nigdy się już z ruiny nie podniosło. Był tu na wzgórzu obro-



Widok z Wierzchaniowa.

ny zamek i klasztor Benedyktynów, filja opactwa z Łysej Góry. Dziś z zamku nie ma żadnego śladu; kościół utrzymany schludnie i starannie, posiada w wielkim ołtarzu rzeźbę, przedstawiającą N. M. P., uznaną za cudowną, stąd też na święta Matki Boskiej ściągają tu liczne rzesze odpustowe.

Rzadko można spotkać u nas podobnie ubogie miasteczko. Nędza wygląda z połamanych dachów i wytłuczonych szyb. Biedni, obdarci mieszkańcy sennie wałęsają się po rozległym ryn-



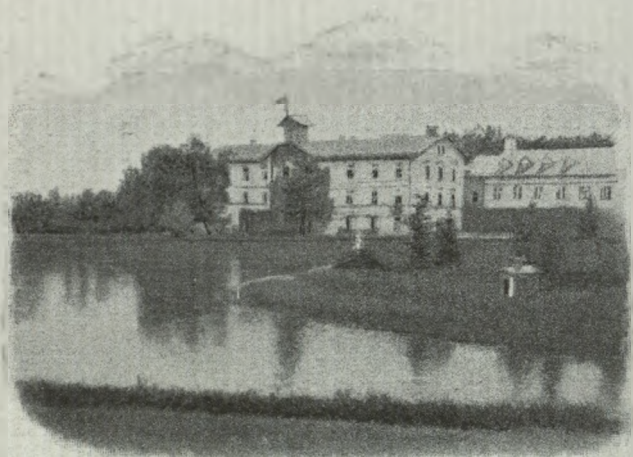
U źródła.

ku, parę mizernych sklepików znaczy się jaskrawymi reklamami czekolady lub papierosów.

Te błyszczące łaty na nędznych ścianach domów wyglądają wprost rozpaczliwie, to też z uczuciem ulgi odetchnąć można, minąwszy już ostatnie domy miasteczka, i koło młyna wyjechawszy na wolną drogę.

• Ta znów podnosi się w górę, ciągnie się jeszcze przez pola, a już z oddali widać duże za-
drzewione przestrzenie, — to Nałęczów.

Wjeżdżamy do wioski, zwanej Chruszczów, który się właśnie łączy z Nałęczowem. Po obu stronach drogi ukazują się ładne wille, duże domy mieszkalne, potem ogrodzenie dużego parku, w którym tonie głośny zakład kąpielowy Nałęczów.

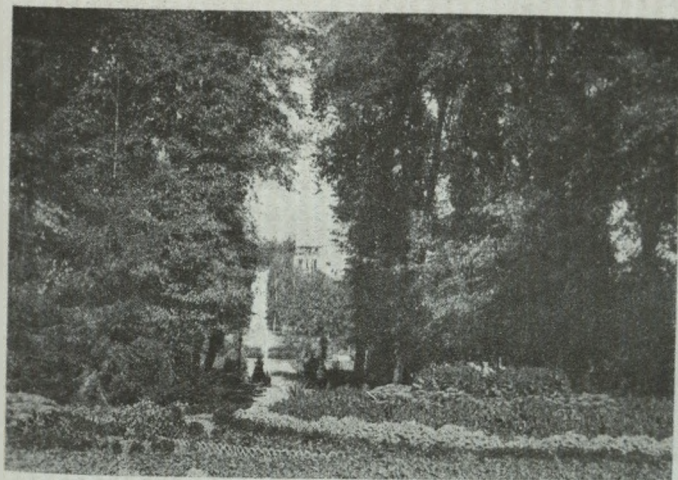


NAŁĘCZÓW.

Sama natura zgromadziła tu wszystkie warunki sprzyjające rozwojowi zakładu kąpielowego: więc malownicza okolica lekko falista, pełna jarów i wąwozów, urocza dolina rzeki Bochoćnicy, wijącej się wśród szmaragdowych łąk, pod cieniem olch i wierzby, stoki wzgórz pokryte wysokim lasem, lub gęstwiną krzewów, wioski tulące się u ich stóp wszystko to składa się na niezwykle piękny krajobraz.

Olbrzymi park pełen wyniosłych świerków i cienistych lip otacza sam zakład. Po przybyciu do Nałęczowa turysta winien skierować się do pałacu, (kursalu) gdzie mieści się na dole kance-

larja, tam zaś Inspektorka mieszkań, lub Administrator zakładu udzielają informacji gdzie można się zatrzymać, czy są pokoje w zakładzie, willach lub hotelu.



Z parku.

Dobra tutejsze długie czasy były w ręku Małachowskich, stąd otrzymały od ich herbowego Nałęcza swą nazwę.

Sam zakład za wdzięcza swą egzystencję obfitym źródłem Szczawy żelazistej. Występuje ona w źródle Celińskiego u podnóża góry Ar-

matniej i zbiera się w marmurowym zbiorniku, skąd odpływa kanałem podziemnym. Używaną jest ona zarówno do użytku wewnętrznego, jako też i do kąpieli.

Prócz kąpieli żelazistych zakład wydaje kąpiele błotne, czyli borowinowe.

Zakład leży wśród płaskowzgórza Lubelskiego w okolicy wzniesionej 210 metr. nad poziom morza. Płaskowzgórze to utworzone jest przez pokłady wapienne formacji kredowej, które tu występują bądź w postaci przepuszczalnej „opoki“, szybko schnącej i zdatnej na materiał budowlany, bądź w postaci „siwaka“ wapienia glaukonitowego, który zatrzymuje pewną ilość wilgoci. Na tych podstawowych pokładach miejscami osiadły grube warstwy loesu, który tworzy w kilku miejscach całe wzgórza. Dno dolin między wzgórzami stanowi ziemia torfiasta, skąd właśnie czerpią borowinę do kąpieli błotnych.

W tych różnych warunkach gruntu rozwija się bujnie roślinność tak różnorodna, że naliczono tu 400 odmian roślin jawnokwiatowych.

Własności lecznicze wód Nałęczowskich znać już były na początku XIX, a może i w końcu XVIII wieku. W roku 1817 prof. uniwersytetu Warszawskiego Celiński dokonał pierwszego rozbioru chemicznego wody tutejszych źródeł i gorąco zachęcał do korzystania z ich dobrodziejstw.

Do zakładu przybywali kuracjusze, jednak z biegiem czasu, wskutek zmiany właścicieli, zakład upadał, aż dopiero w r. 1880 Dr. Fortunat Nowicki wraz z doktorami: Lasockim, Chmielew-

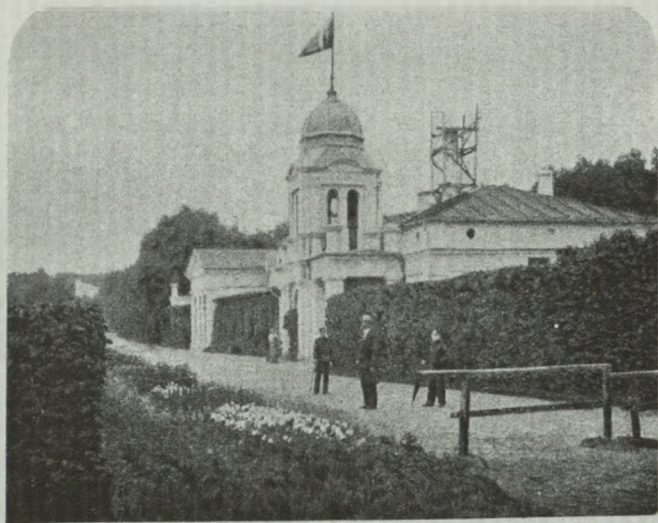


Na stawie.

skim i Sipniewskim nabyli pałac i park Nałęczowski, otwierając tu zakład hydropatyczny.

Po pewnych burzliwych początkach zakład zyskał sobie liczną klientelę, a ilość kuracjuszków szybko wzrosła ze średniej cyfry za pierwsze pięciolecie (1880—1884), 295 osób rocznie do 529

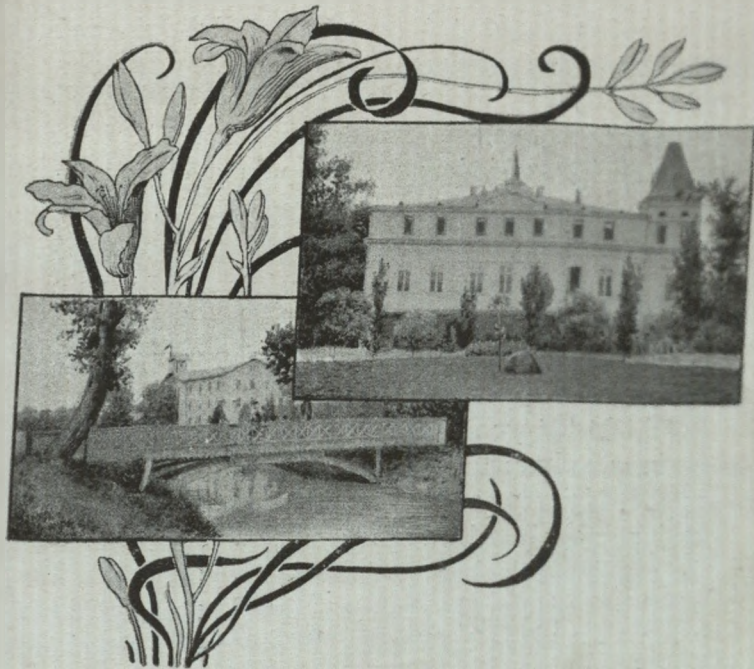
osób rocznie średnio za ostatnie pięciolecie (1895 do 1899), a już w roku ubiegłym 1900 leczyło się 772 osób, przyczem wydano 7,500 kapieli.



Łazienki.

Zakład otwarty jest w ciągu całego roku. Letni sezon bywa bardzo ożywiony. Codziennie grywa tu orkiestra, odbywają się często koncerty, teatry amatorskie, co tydzień odbywają się reuniony w sali balowej pałacu, majówki i wycieczki uprzyjemniają pobyt. Te ostatnie zwłaszcza cieszą się uznaniem, a częste spacery do

wąwozów, lasu zakładowego, na górę Krzyżową, Poniatowskiego, do Czesławic, Cynkowa, Antopola, oraz dalsze do Wąwolnicy, Kazimierza lub



Most i pałac.

Wojciechowa, stanowią ulubioną rozrywkę mieszkańców Nałęczowa.

Nawet krótko bawiący tu turysta winien koniecznie oprócz parku zakładowego zwiedzić wą-

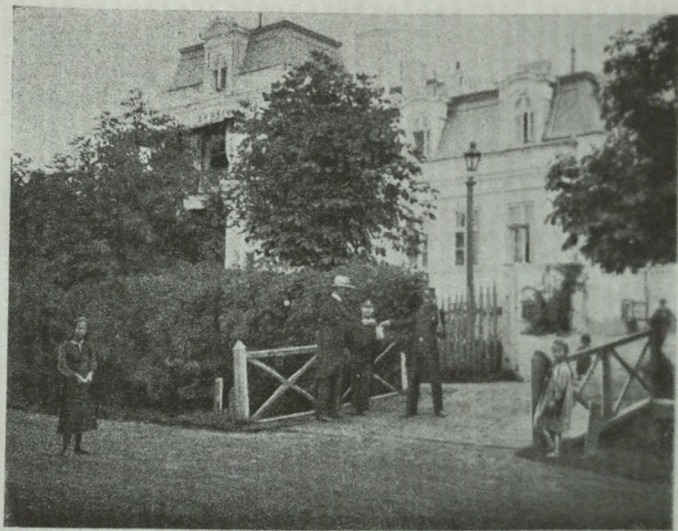
wozy, (zwłaszcza Łukoszyński), oraz zrobić wycieczkę w dolinę Trypy, zwanej słusznie Ojcowem Nałęczowa (jakkolwiek skał tu nie ma).

Kuracjusze, przybywający tu, lokują się bądź w zakładzie, bądź też w willach, lub chatach włościańskich i domkach prywatnych. Wille niektóre są bardzo gustowne i wygodne. Podobno jednak niechętnie właściciele ich biorą udział we wspólnych z zakładem pracach dla ogólnego dobra mieszkańców, jak konserwacja dróg, sadzenie drzew i t. p.

Kuracja w zakładzie i malowniczość położenia ściągają tu wielu przyjezdnych, zarówno na całe lato, jako też i na parodniowe wycieczki. Nałęczów ma wielu swoich stałych dorocznych gości, do których zaliczyć można pp. Karłowicza i Prusa. Stale też przebywa tutaj jeden z założycieli Nałęczowa Dr. Lasocki, pracujący obecnie nad pamiątkami swego życia, a będą one ciekawe, bo szlachetny doktor przeszedł bardzo ciężkie i niezwykle koleje. Dr. Lasocki posiada bardzo ciekawą bibliotekę, zbiory rycin, sztychów i dokumentów. Jeżeli czas mu pozwala, życzliwie pokaże młodemu turyście osobliwości swych zbiorów.

Stale też mieszka tu p. sędzia Wiercieński, niestrudzony badacz swych okolic, autor nadzwyczaj interesującego „Opisu statystycznego gubernji Lubelskiej”. Z benedyktyńską cierpliwo-

ścią zestawiona ta praca, przepełniona nadzwyczaj ciekawymi cyframi stanowi niesłychanie cenny materiał statystyczny, którego tak bardzo nam brakuje.



Willa Ukraina.

U pana sędziego również można zobaczyć niektóre osobliwości znalezione w okolicy, a te z serdeczną uprzejmością interesującemu się tem turyście bywają pokazywane.

Dyrektorem Zakładu jest obecnie energiczny i czynny dr. Puławski, pomocnikiem jego młody

sympatyczny dr. Malewski, prócz tych stałych lekarzy, w letnim sezonie bawi kilku przyjezdnych.

Zakład wywarł wielce dodatni wpływ na okoliczną ludność, która dzięki przybywającym letnikom dochodzi do znacznej zamożności, wi-



Willa Podgórze.

dać to i w wygodniejszych chatkach, i w koniach rośłych, i w ładnym bydle. Dobry ten wpływ wywierają i bardzo postępowo prowadzone gospodarstwa rolne na Antopolu, Palikijach, Wojciechowie.

Opuszczając Nałęczów do stacji kolejowej, idziemy przepyszną drogą lipową do wsi Bocho-

tnica kościelna, gdzie stary kościółek malowniczo wznosi się na szczycie wysokiego pagórka. Na tem samem wzgórzu znajduje się cmentarz grze-



Góra Poniatowskiego.

balny, gdzie między innemi spoczęły zwłoki Andriollego, stałego również gościa nałęczowskiego.

Z Bochoćnicy droga wiedzie na Antopol, Sadurki do stacji Nałęczów.

Konie do stacji płaci się: bryczka 1 rb. 20 kop. czasem można u włościan zgodzić i taniej.

Bilet z Nałęczowa do Warszawy wynosi kl. III 1 rb. 30 kop., kl. II 1 rb. 95 kop., droga trwa około 5 godzin.

Po zwiedzeniu Nałęczowa ukazują się dwie alternatywy: albo wracać do Warszawy ze stacji Nałęczów, albo też, jeżeli czas pozwoli, będąc już tak blisko, nie opuszczać starego grodu Lublina. W takim razie ze stacji Nałęczów należy jechać do tego miasta, którego zwiedzenie zajmie około dwóch dni czasu. Jako podręcznik do zwiedzania Lublina podobno wyszedł w roku bieżącym „Przewodnik po Lublinie“.



BIBLIOGRAFJA.

Ludwik hr. Dębicki Puławy (1762 — 1830) Lwów (1887).

Przewodnik Naukowo-Literacki (1884) Z kroniki politycznej Puław.

Przewodnik Naukowo-Literacki (1885) Z pamiętnika Izabelli z Flemmingów Czartoryskiej.

Czas 1885 (Nr. 180 i nast.) Cesarz Aleksander w Puławach.

„Gazeta Lwowska“ (1887 Nr. 55). Między Warszawą a Puławami.

Kisielewski Wł. T. Reforma ks. Czartoryskich na sejmie 1764 r. (Sambor 1880).

Łomiński Władysław. Pierwsi Galicjanie—Puławy.

Kronika Rodzinna, Seweryna Duchńska Księżna Wirtemberska.

Waliszewski: Potoccy i Czartoryscy.

Kraushar Al. Książę Repnin i Polska (Warszawa 1900).

Korzon T. Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (Warszawa 1897).

Nałęczów. Przewodnik informacyjny (Warszawa 1897).

H. Wiercieński. Opis statystyczny gub. Lubelskiej (Warszawa 1901).

ETNOGRAFJA.

Tyg. Ilustr. 1861 III kw. Wł. Wójcicki. Wieśniacy z Lubelskiego.

Zbiór Wiad. do Antropol. (Kraków 1885 IV) Kolberg O. Zagadki z Lubelskiego.

Wisła 1893 S. Jastrzębski. Notatki etnograficzne ze wsi Krzywo-Wola w gub. Lubelskiej.

Rittich. Prilożenje k materjałam dla etnografji Carstwa Polskacho gub. Lublinskaja. Petersburg (1864).

O. Kolberg. Lud. Serja XVI i XVII Lubelskie.

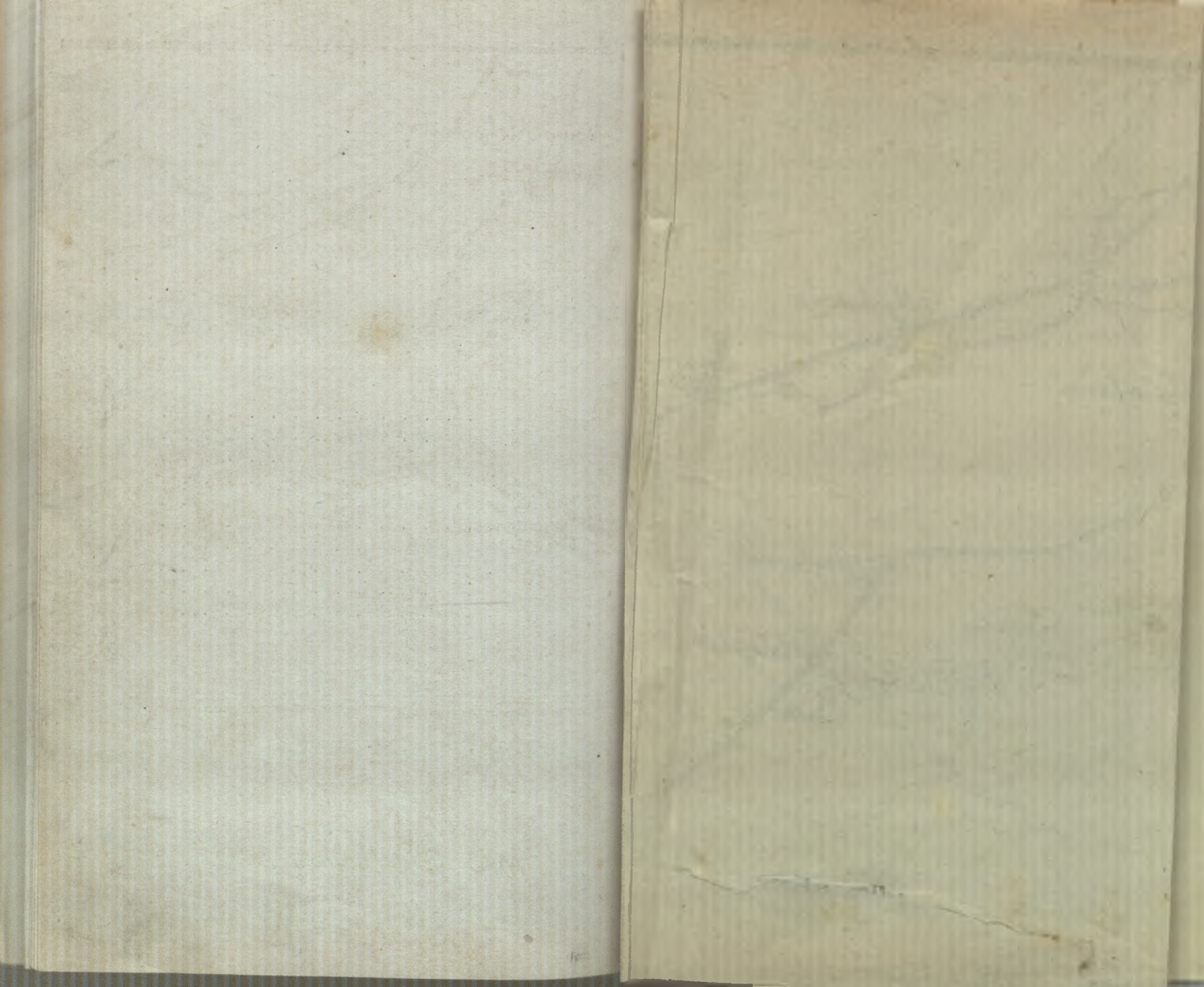
SPIS RZECZY.

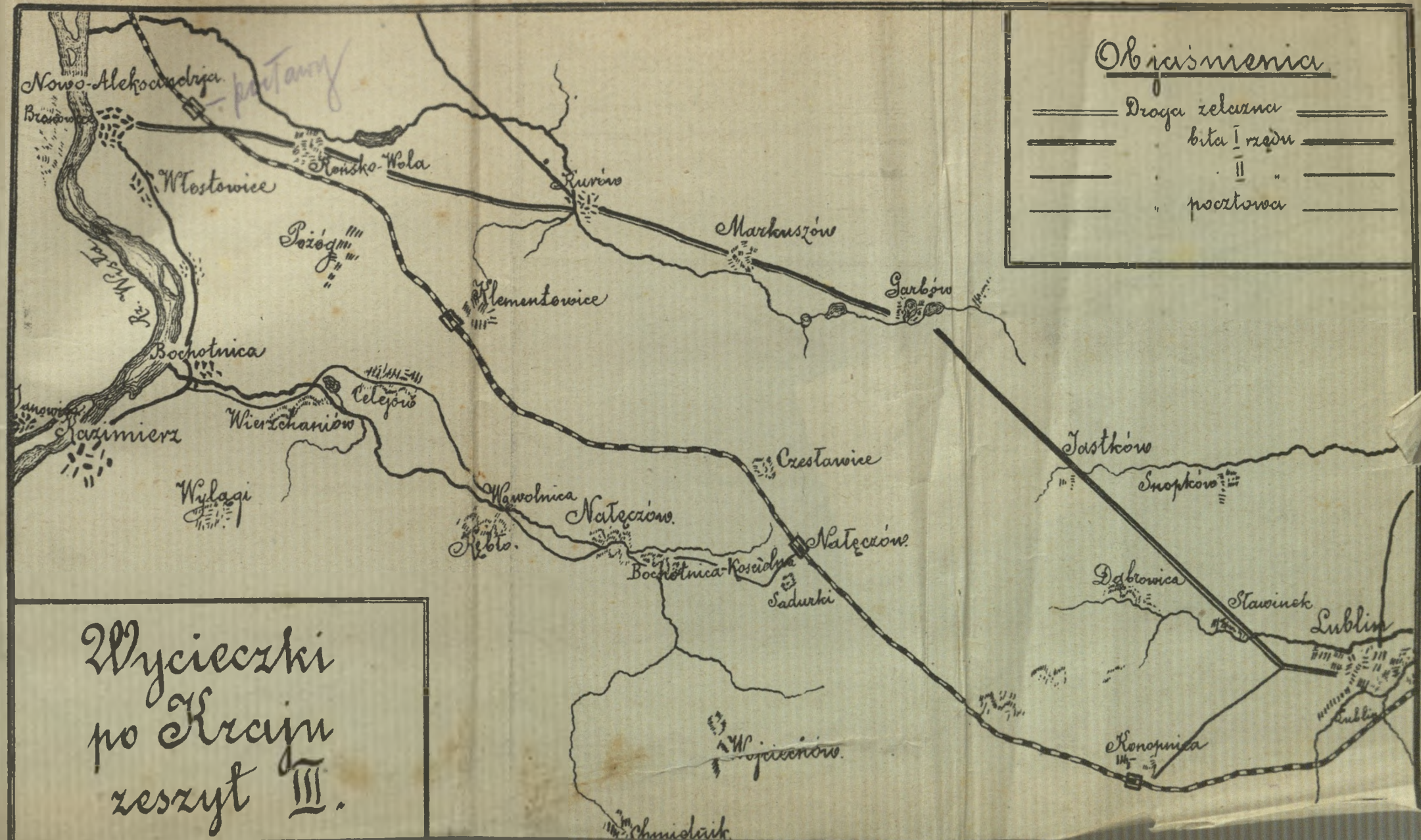
	Str.
Przedmowa	1
Nowo-Aleksandrja	5
Droga Nowo-Aleksandrja—Kazimierz	24
Kazimierz	34
Droga Kazimierz-Janowiec	71
Janowiec	73
Droga Kazimierz-Nałęczów	90
Nałęczów	98
Biblijografia	109
Etnografia	110

~~10821~~
 Cz. MIEJSKA Reg.
 BIBLIOTEKA PUBLICZNA

w Radomiu

~~3857~~ 8230





Wycieczki
po Kraju
zeszyt III.

SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
Przedmowa	1
Kielce	7
Karczówka	22
Chęciny	29
Góra Święto-Krzyska	44
Bodzentyn	62
Wąchock.	73
Ilza	84
Radom	96
Bibljoğrafja	113





